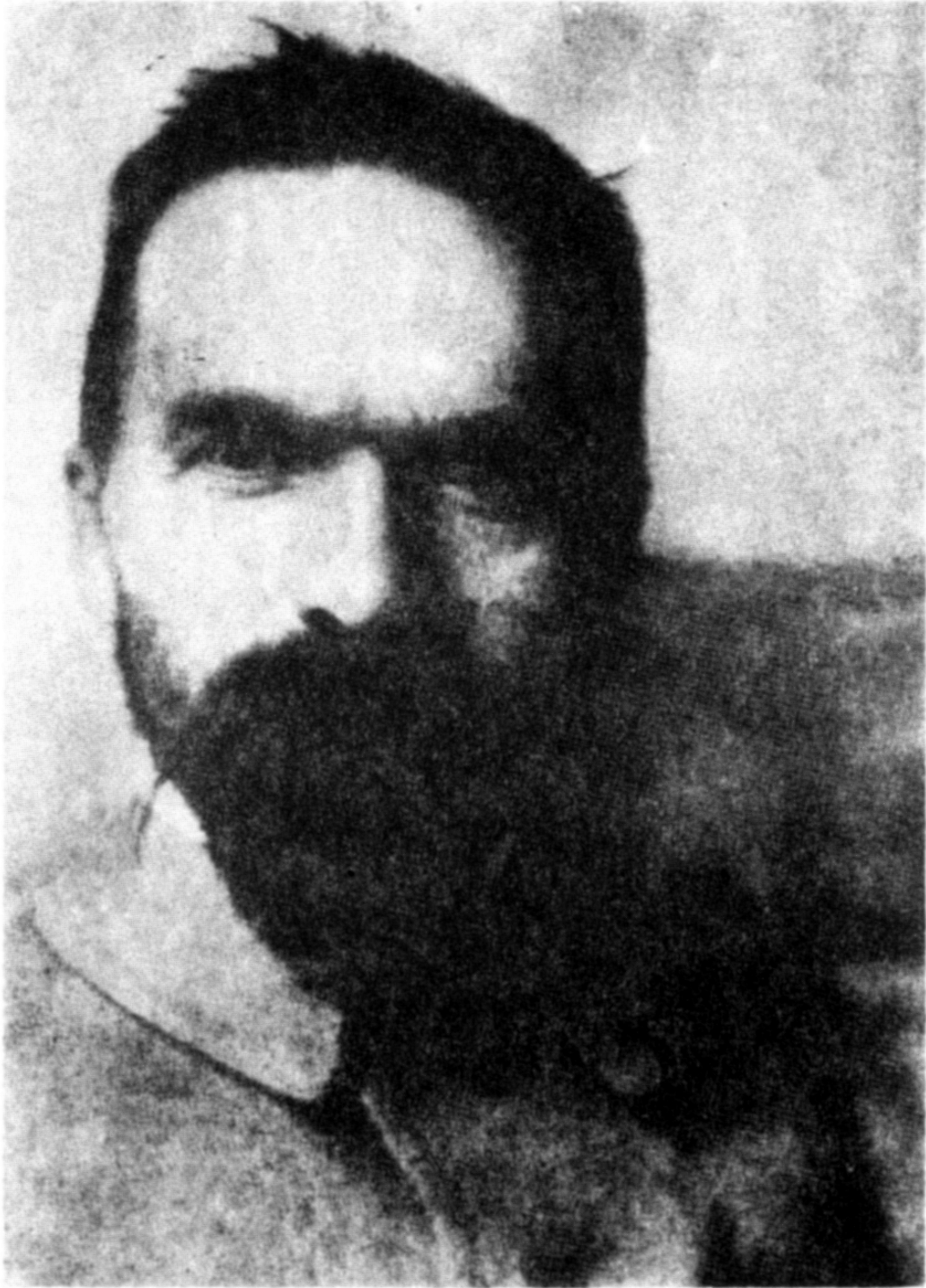


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.





JÓZEF PIŁSUDSKI

JÓZEF PIŁSUDSKI

22 STYCZNIA 1863



**ZARYS HISTORII MILITARNEJ
POWSTANIA STYCZNIOWEGO**

22 STYCZNIA 1863

OD WYDAWNICTWA „GRAF”

Oto oddajemy w ręce Czytelników kolejny tomik Józefa Piłsudskiego pt. „22 stycznia 1863” – po uprzednio przez nas wydanych „Roku 1920” i „Bibule”. Przyznajemy, że jesteśmy na bakier z chronologią pisania tych prac przez Autora, ale kierowaliśmy się przy ich drukowaniu emocjami towarzyszącymi dzisiejszym gorącym czasom, błyskawicznie zmieniającej się sytuacji Polski i Polaków. Postaraliśmy się za to o utrzymanie jednolitej szaty graficznej i intrologatorskiej wszystkich trzech tytułów.

J. Piłsudski napisał „22 stycznia 1863” rok przed wybuchem I wojny światowej. Praca została wydana jeszcze w 1913 r. przez ambitnego poznańskiego księgarza Karola Rzepeckiego, który z redakcyjną pomocą dr. Mariana Kukiela (historyka i późniejszego generała) zamierzył wydrukować cały cykl tomików uznanych autorów biegłych w historii pod wspólnym tytułem „Boje polskie. Ilustrowane epizody, obrazy, portrety historyczne z dziejów naszych wojen narodowych”. Zainaugurował ten cykl właśnie „22 stycznia 1863” – w samo 50-lecie powstania. Potem były dwie prace innych autorów i na przeszkodzie w realizacji zamierzeń edytorskich stanęła wojna.

J. Piłsudski bardzo głęboko interesował się losami powstania styczniowego. Poczytał w temacie obszerne studia, przewertował wiele dokumentów i materiałów. Badał ten okres skrupulatnie, szukając dowodów, że walka 1863 nie była z góry przegrana, tylko źle przygotowana, nieumiejętnie prowadzona i nie wykorzystano w niej wszystkich możliwości. Mówił o tym w cyklu wykładów w krakowskiej Szkole Nauk Politycznych w 1912 roku, 6 kwietnia 1913 r. na uroczystościach kościuszkowskich we Lwowie i zaraz potem w sierpniu w szkole oficerskiej Związku Strzeleckiego w Stróży koło Limanowej, kładąc nacisk na duchową stronę walki, szczególnie ważną przy niedostatku środków materialnych. Dowodził przy tym potrzeby tworzenia własnego wojska choćby w warunkach niewoli. Zagrzewał swymi wystąpieniami naród do podjęcia kolejnych polskich bojów, tylko mądrzej i skuteczniej, żartując po swojemu, dosadnie, z osłabłych duchem: „W trzech sosnach dzisiejszy nasz rodak zabłądzi, a do konia podchodzi jak do tygrysa”.

Działalność publiczna J. Piłsudskiego przed I wojną natchnęła historyków i pisarzy do chwycenia za pióra i publikowania znamienitych dzieł. W 1912 roku ukazały się „Dzieje wojen i wojskowości w Polsce” T. Korzona. Niejako ich uzupełnienie stanowiła praca M. Kukiela o dziejach oręża polskiego w dobie Napoleona. Grabiec ogłosił obszerne opracowanie „Rok 1863”, zaś W. Tokarz podjął prace nad monografią „Kraków w początkach powstania styczniowego i wyprawa na Miechów”. Historyków wsparła literatura piękna. W ciągu paru lat ukazały się „Gloria victis” Orzeszkowej, „Echa leśne” i „Wierna rzeka” Żeromskiego, „Ojcowie nasi” Struga, „Kryjaki” Wielopolskiej.

„22 stycznia 1863” stanowił zadatek większego dzieła na temat powstania, którego pisanie podjął J. Piłsudski wspólnie z M. Sokolnickim. Praca obydwu autorów przeleżała jednak w lwowskim Ossolineum – z niezbyt jasnych przyczyn – ćwierć wieku. Zaczęto ją drukować dopiero latem 1939 r. Nie zdążono...

Gdańsk, lipiec 1989

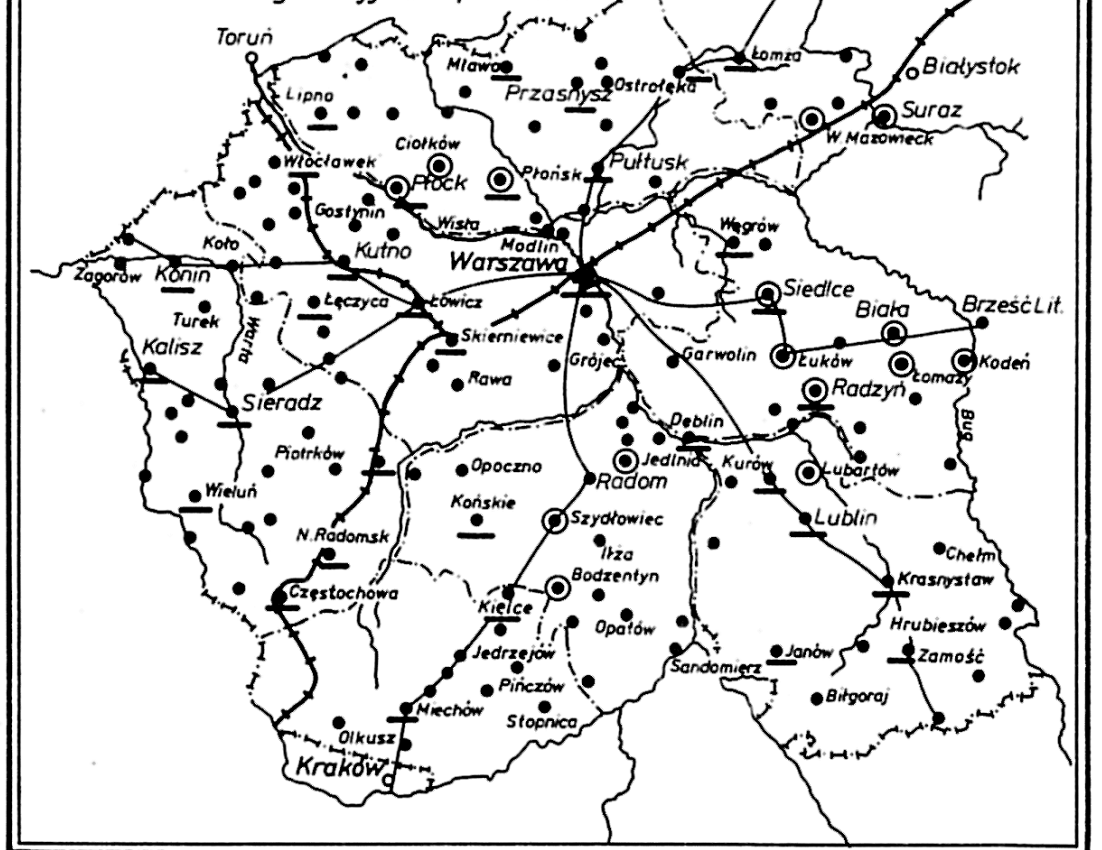
KRÓLESTWO POLSKIE 1863 r.

- +—+— Granica państwa
- Granice województw
- - - Linje kolejowe
- Szosy

• Załogi rosyjskie przed 23. I. 63 r.

⊙ Załogi na które został dokonany napad

— Załogi rosyjskie po 23. I.



22 STYCZNIA 1863

Praca Józefa Piłsudskiego p. t. „22 stycznia 1863” wydana została jako tom I wydawnictwa „Boje Polskie”, rozpoczętego w początkach r. 1914 przez księgarnię nakładową Karola Rzepeckiego w Poznaniu. Wydawnictwo to p. t. „Boje Polskie – ilustrowane epizody, obrazy, portrety historyczne z dziejów naszych wojen narodowych pod redakcją dra Mariana Kukiela” miało na celu zaznajomienie społeczeństwa z historią wojskowości polskiej, do czego Piłsudski przykładał dużą wagę. Z tych też powodów, mimo przeciążenia pracą organizacyjno-wojskową i polityczną podjął się napisania I tomu do powyższego wydawnictwa, w oryginalny sposób łącząc historyczną fakturę zdarzeń nocy 22 stycznia z literackim opisem. W liście do Aleksandry Szczerbińskiej z dnia 18. IX. 1913 r. pisze o tym w słowach następujących: „Nie mogę się zdobyć na plan, jak samą noc 22 stycznia opisywać, od czego zacząć, jak temat brać? Czy poszczególne sceny obrazować, czy dawać cyfry i dane z krytyką, a dopóki na planie i metodzie pisania nie zatrzymałem się – dopóty i pisać trudno...”

Książkę Piłsudskiego zilustrowali 12 rysunkami w tekście Henryk Minkiewicz i Edward Rydz.

Dnia 17 stycznia w polskiej kwaterze głównej dawano ostatnie, nieodwołalne rozkazy do boju. Rozkazy aż na 22 stycznia. Nieodwołalny rozkaz na całych pięć dni przed bojem! Już w tym jednym odczuć się daje ogromną osobliwość warunków wojny i boju. Stokilkadziesiąt godzin ma dzielić rozkaz od wykonania i to w położeniu, w którym każda z tych setek godzin przynieść może zmiany zasadnicze, zmiany, uniemożliwiające wypełnienie rozkazu. Bo też osobliwą była ta główna kwatera!

Nic w niej nie przypominało zwykłego obrazu wojennego miejsc, gdzie się ważą i rozstrzygają w ostatniej instancji losy bitew i wojen. Ani błyszczących mundurów, ani dźwięku ostróg, ani tętentu koni adiutantów, pędzących z rozkazami lub raportami, żadnej wreszcie osłony siłą zbrojną, żadnej, najkonieczniejszej bodaj, warty, strzegącej spokoju wodzów. Kwatera wyglądała, jak najzwyczajniejsze mieszkanie prywatne najbardziej cywilnych ludzi. Jeżeli co różniło ją od mieszkania jakiegoś urzędnika lub kupca, to chyba nieokreślony niepokój, który wiał z twarzy i ruchów obecnych, to zarazem nieco przyciszony sposób obcowania – szepty zamiast głośnych rozmów, wsłuchiwanie się w odgłosy ulicy, jakby ciche, lecz niespokojne zmaganie się z otaczającym niebezpieczeństwem. Od czasu do czasu z kwatery wymykali się adiutanci-kurierzy. Najczęściej były to – całkiem niewojenny obraz – kobiety, unoszące nieraz w najtajniejszych skrytkach damskiej garderoby rozkazy, pisane na cienkim świstku papieru. Od czasu do czasu błysnął mundur wojskowy, lecz – o, dziwo! – mundur wrogiego wojska; byli to oficerowie rosyjscy, należący do spisku.

Dziwna wojna, dziwna kwatera główna, której najważniejszym zadaniem zdawało się być utrzymanie tajemnicy i ukrywanie się przed okiem otoczenia. Nie było tam nic z tej buty i pewności siebie, jaką daje oparcie się o gotową i posłuszną na każde skinienie siłę zbrojną, zdolną do nagięcia otoczenia odpowiednio do planów i myśli wodza. Owszem, widoczną była chęć przystosowania się do otoczenia i rozplynięcia się w nim.

Bo też główna kwatera polska pracowała w sferze działania wroga. Ba, nawet oddalona była od głównej kwatery jego zaledwie o kilkaset kroków – o zwykły strzał karabinowy. Gdy jedna w każdej chwili mogła mieć na usługi tysiące tych karabinów, druga działać była w stanie tylko nie będąc dostrzeżoną, a nie mając nic dla swej osłony, w każdej chwili stawiała na kartę samo swe istnienie. Nic więc dziwnego, że twarze sztabu były niespokojne. Wódz ówczesnej Polski – Zygmunt Padlewski – nerwowo chodził po pokoju. Wahał się: jechać do puszczy kampinoskiej, czy też zostać w Warszawie? Po raz dziesiąty wracał do obliczeń, spisanych na skrawku papieru.

– Do Lewandowskiego na Podlasie rozkaz wysłany. Rozkaz trzymania się na szosie brzeskiej, przerwanie komunikacji z głębią Rosji, z Moskwą. – Czy rozkaz doszedł? Kto zaręczy? – przemknęło mu przez głowę.

– Ma w rozporządzeniu swym 3–4 tysiące ludzi. Jakie tam rozporządzenie? – Znowu wyrastała w głowie wątpliwość. Ludzie w chatach, po dworach, rozsypani, czy staną na wezwanie, by kłaść, ot tak, zdrową głowę pod ewangelię? Kto ich zmusi? A gdy musu nie ma, to ilu z tych niby liczonych da się policzyć już na placu boju?

– A wreszcie, co najgorsza, z czym ludzie pójdą do walki? Śmieszne! Z kijami, kosami, w dobrym wypadku z marną dubeltówką na karabiny i armaty! W ostatnim raporcie Lewandowski wymieniał nawet liczbę tej najlepszej broni – strzelb myśliwskich. Całych 300! To w najlepiej uzbrojonym województwie! A tych karabinów rosyjskich, nie licząc jazdy i artylerii, w województwie jest nie mniej, niż 5 tysięcy. Zresztą nawet ta marna broń, czy jest pewna? Może już dzisiaj, albo w jednej z tych setek godzin, dzielących nas od boju, wróg położy swą rękę na wszystko, albo na dużą jej część, zostawiwszy do boju dziesiątki, zamiast setek sztuk broni palnej? Może przez ten czas wyaresztują wybitniejszych spiskowych i reszta, zostawszy bez głowy, wcale do apelu nie stanie?

– Wszystko w tym przedsięwzięciu takie niepewne, takie chwiejne!... – mruknął z rozpaczą. Takie niepodobne do tego, czegom sam uczył innych! Czy to nawet wojna? Rzeź niewiniątek, klęska pewna!

Myślą przebiegał wszystkie województwa, cały kraj. Langiewicz w Sandomierskim, Kurowski w Krakowskim, Bończa w Płockim. Te same niepewne tysiące spiskowych, te same wątpliwości, gorsze, bo broni mniej jeszcze, niż na Podlasiu! Zaledwie 300 sztuk broni palnej w całym kraju, tyle, co w jednym województwie podlaskim. A cały zachód, nieorganizowany wcale wojennie, pewnie się nie ruszy bez wodzów i naczelników; to samo w Lubelskim.

– Czemuśmy o tym wcześniej nie pomyśleli? – myślał z goryczą. – Odkładaliśmy zawsze na potem przygotowania ściśle wojenne, baliśmy się, że dolejemy tym oliwy do ognia, gorejącego już w duszach ludzkich.

– A teraz...

Znowu czarna rozpacz osiadła mu w duszy; dręczyły go wyrzuty sumienia; przecież sam dawał rozkazy do powstania, przecież sam wysyłał na śmierć te setki i tysiące ludzi. A za tydzień, po niechybnie nieudanej operacji, jakimiż oczyma będzie spotykał pytania i wyrzuty? Jakie da rozkazy, jakie polecenia 23 czy 24 stycznia, gdy do Warszawy zbiegną się zwiastuny klęski? Nie, lepiej śmierć, śmierć razem z nimi! Raczej śmierć, niż ta odpowiedzialność i stapanie po chwiejnym, niepewnym gruncie!

Przez chwilę przemknęło mu przez myśl, że jednak ktoś na miejscu zostać musi; że na kogoś przecież spadną wszystkie pytania i wątpliwości dni, następujących po bitwie, dni ciężkich i trudnych, a tym trudniejszych, im bitwa będzie mniej szczęśliwą. Lecz górę brała rozpacz, zwyciężało zniechęcenie.

– Więc jechać! – pomyślał z westchnieniem ulgi.

Koledzy z Komitetu Centralnego proponowali mu, aby objął dowództwo nad zebranymi już w lasach okolicznych spiskowymi, którzy, uniknąwszy branki, koczowali teraz w puszczy kampinoskiej na lewym brzegu Wisły i w serockiej na prawym w oczekiwaniu wodza i... broni.

Z tą gotową już decyzją przyjął najbliższego swego przyjaciela i kolegę z Komitetu – młodego Stefana Bobrowskiego. Bobrowski przyszedł pożegnać się z wodzem i przyniósł mu dokumenty podrózne, mające go osłonić przed aresztowaniem podczas drogi.

– Śpieszyć trzeba, – dodał, – Potjebnia¹ mi mówił, że jutro rano wyrusza wyprawa dla wyłapania w lasach uciekinierów od branki. Bądź dobrej myśli! Ludzie są ożywieni dobrym duchem, a gdy dostaną wodza tej miary, co ty, dadzą sobie rady z wrogiem. A jedno zwycięstwo poruszy tysiące chłopów, wtedy pewnością górą nasza! Trudno nam tu będzie dać sobie rady bez ciebie, zostajemy przecież sami nie wojskowi, ale jakoś to będzie. Zresztą po opanowaniu Płocka tam przeniesiemy rząd i ty go osłonisz, wodzu! Ty lud wolny poprowadzisz do boju!

Mówił z zapałem i gorącą wiarą, nie przekonał jednak przyjaciela.

– Lud prowadzić do boju! – twierdził ze zniechęceniem, – cóż temu ludowi damy do ręki? Kije, marne kosy! Nie, mój drogi, z tym nie zwyciężymy. Nic nam nie pozostało, jak umrzeć z honorem i po to jadać. Jedna, druga bitwa, krwią własną i wroga zlejemy obficie pole, oto wszystko, co zrobić mogę, co zrobić obiecuję.

Bobrowski pozostał przy swoim.

– Nieprawda, Zygmuncie, nieprawda! Niechybnie położenie nasze ciężkie, ale nie wszystko stracone. Nie może być wszystko stracone, gdy z jednej strony do walki stanie człowiek wolny, o wolność walczący, z drugiej niewolnik, pędzony batem, a do wolności wdychający skrycie. Zapominasz o naszych przyjaciółach w obozie wroga.

Padlewskiemu twarz się nieco rozjaśniła. Przypomniawszy sobie zebranie spiskowych oficerów, wśród których sam, były oficer, czuł się pewniej, niż gdzie indziej. Wszystko tam wydawało się pewniejszym, stalszym, silniejszym wreszcie. Charaktery, opanowane przez wychowanie i dyscyplinę wojskową, nawet przy rozgorączkowaniu spiskowym, dawały grupom oficerów pozory spokojnej siły. Nieraz zmęczony krzykliwymi i burzliwymi zebraniem spiskowych cywilnych, gdzie nerwy szarpał mu gorący powiew podnieconego tłumu, gdzie tak łatwo było o niesłuszne oskarżenie, o zwycięstwo pustego słowa czy górnolotnego frazesu – nieraz Padlewski odpoczywał na spokojnych zebraniach kolegów wojskowych. Tam każde słowo zdawało się być opoką nienaruszalną, a szable przy boku zebranych dawały poczucie gotowej już siły zbrojnej, którą gdzie indziej budować dopiero wypadało, budować, przełamując ogromne trudności i olbrzymie przeszkody.

Jako wódz powstania – jedyny fachowiec wojskowy pośród członków Rządu rewolucyjnego – liczył na wojskowe grupy rewolucyjne, jako na niezawodną siłę, jako na wielki atut w polityce powstańczej. Główna, co prawda, nadzieja powstania – spisek oficerski w Modlinie, fortecy i składzie broni, – rozwiła się niedawno przez aresztowania i translokacje podejrzanych, lecz pozostało jeszcze całe mnóstwo oficerów, wciągniętych do spisku, szczególnie wśród artylerii, broni najgroźniejszej dla Polaków, chociażby dlatego, że sami jej nie posiadali i niełatwo mogli ją stworzyć.

I teraz więc, gdy myślał o tych swych sojusznikach, może przyszłych towarzyszach broni, – uspakajał się powoli. Zresztą oddziaływało nań zawsze towarzystwo młodszego kolegi z Komitetu, Bobrowskiego, rozkochanego w wodzu bez zastrzeżeń, a stanowiącego dlań oparcie moralne wobec siły charakteru i woli, którą się odznaczał.

¹ Oficer Rosjanin, stojący na czele spisku wojskowego w Królestwie.

– Śpiesz, śpiesz! – powtarzał Bobrowski – nie poddawaj się rozpacz! Nam cofać się nie wolno! Przedwcześnieśmy powstali do boju, ale lepiej tak, niż nigdy. Wierz w potęgę moralną powstającego ludu. Jedź do obozu, odzyskasz siły i energię. Zamówiłem już konie dla ciebie. Za chwilę ruszysz w drogę. Czy masz jeszcze jakie zlecenia?

– Żadnych, – odpowiedział Zygmunt – pamiętaj tylko o tym, że w fortecach Brześciu i Zamościu mamy przyjaciół oficerów. Lewandowskiego o tym zawiadomiłem i dałem mu odpowiednie wskazówki. Gdy do Lubelskiego wyznaczony będzie wojewoda, prześlij mu dane o Zamościu. Nie udaje się nam z Modlinem, może się udać z inną fortecą. To bardzo ważne!

Do pokoju wpadł, jak bomba, młodzieniec w czamarce. Był to Rogiński. Przyjechał z Białej, gdzie go rano zastał rozkaz powstania. Nie wierzył swym oczom, wydawało mu się to niemożliwym. Pędził ekstrapocztą, by sprawdzić rozkaz u źródła.

– Co czynicie? – zawołał. – Przecież nas rozbiją w puch! Nie mamy sił, ani oręża. Czyż nie wykladałeś nam w szkole, Zygmuncie, że tylko żołnierz z dobrą bronią zwycięża?

– Stało się! – odpowiedział spokojny już Padlewski. – Śpiesz z powrotem. Jeśli Bóg da, zwyciężymy. Niepodobna zresztą, by Europa dała nam zginąć. Bywaj zdrow! Być może, że ostatni raz się już widzimy, lecz pamiętaj, cośmy przysięgali, iż się nie cofniemy. Ja jadę natychmiast!

Przykrą mu była ta rozmowa. Z goryczą myślał, że jeszcze przed paru tygodniami ten sam Rogiński wspólnie z innymi spiskowymi oskarżał go i jego kolegów z Komitetu o brak energii, o rozmyślne odwlekanie powstania, niedołęstwo, ledwie nie zdradę. I wówczas te same argumenty przeciw natychmiastowemu wybuchowi padały z jego ust, by się odbić o rozgorączkowane, nie rozważające głowy, jak groch o ścianę. Teraz, gdy fakt był dokonany, gdy się stało podług myśli najgorętszych, własne jego argumenty wracały, ale już jako zarzut przeciw niemu.

– Tłum jest zawsze niesprawiedliwym i zna tylko dzisiaj, dzień wczorajszy dla niego nie istnieje... – myślał.

Po szerokim gościńcu, idącym wzdłuż lewego brzegu Wisły od Warszawy do Modlina, pędziła pocztowa bryczka z dwoma podróżnymi. W dali czerniała ściana dużego boru. Pomimo widocznego zmęczenia koni woźnica raz po raz zaciął je batem, nagłąc do pośpiechu. Wreszcie bryczka zagłębiła się w las, konie po błotnistej drodze zwolniły biegu; westchnienie ulgi wyrwało się z piersi wszystkich. Woźnica uśmiechnięty odwrócił się do swych panów.

– Udało się! – mówił – można szkapiskom dać trochę wytchnąć; przed nocą staniemy w obozie.

Był to Padlewski ze swym adiutantem Seyfriedem, których do obozu w puszczy kampinoskiej odstawiał pocztylion, należący do organizacji. Dopóki podróżni nie dostali się do lasu, byli wciąż zdani na łaskę i niełaskę patroli kozackich, włóczących się po okolicy. Przed wyjazdem z Warszawy kilkakrotnie zatrzymywały ich patrole; badano ich, rozpytywano: po co, na co jadą, jakie mają dokumenty? Ciągłe byli o włos od aresztowania, jechali cały czas z perspektywą spędzenia nocy nie w obozie powstańczym, dokąd zmierzali, lecz w więzieniu, którego unikanie stanowiło sztukę życia rewolucyjnego.

Znowu Padlewski czuł pod sobą ten dziwny, chwiejny i niepewny, grunt, na którym niesposób czynić zimnych obrachowań i spokojnych planów. Znow na każdym kroku czuł niejako oddech wroga, z którym miał wojować, znow był w zupełności w sferze jego działania. Przypominał sobie dowódców wojsk na manewrach – tych próbach wojny. Pamiętał ich, otoczonych licznym sztabem, osłoniętych oddziałem jazdy, pomimo, że byli od nieprzyjaciela oddzieleni jeszcze murem bagnetów własnych, tysiącami piersi żołnierskich, idących do boju. Tu on, wódz, nie miał nic podobnego, tu wróg zewsząd go otaczał, nieledwie dotykał go fizycznie.

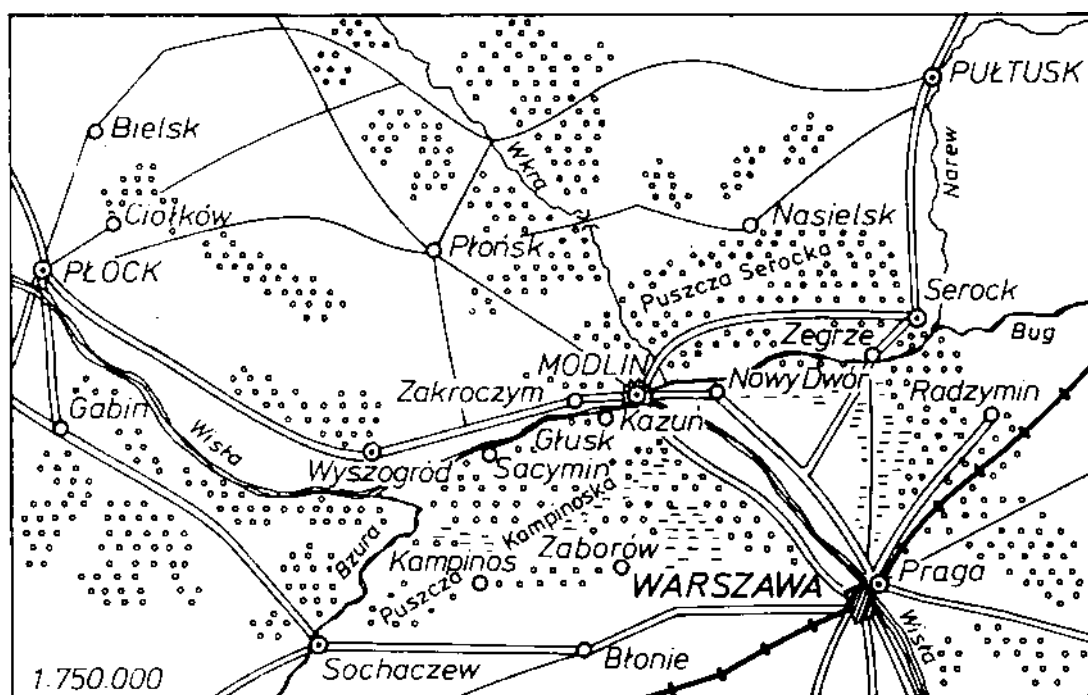
A zarazem, gdy jechał ulicami Warszawy i polami Mazowsza, spotykając człowieka, nieodzianego w mundur wroga, myślał o nim, jako jutrzejszym towarzyszowi broni, który go, jak swego wodza, będzie bronił i osłaniał. Tylko dzisiaj jeszcze brak ujawnionej zbrojnej siły stawiał początki działań ciągle pod znakiem zapytania, przewracając całkowicie wszystkie znane pojęcia o wojnie. Więc prędzej do obozu! Prędzej tam, gdzie pod sobą ma się trwały, niezdradliwy grunt siły zbrojnej pod nogami. Niech ta siła będzie mała, niech będzie źle uzbrojona, z nią jednak jawnie się walczy, choćby umierać przyszło!...

Z daleka poprzez drzewa błyskały rozpalone suto ogniska. Na polanie do pięciuset ludzi skupiało się koło ognia, przygotowując się do noclegu pod chmurnym niebem styczniowym. Ludzie gwarzyli. Koło niejednego ogniska panowało zniechęcenie. Zmęczeni, zziębnięci wylewali swą gorycz i niezadowolenie na władzę rewolucyjną, szukając w niej winy.

– Obiecywano broń, obiecywano wodzów, zwycięstwa – gdzie to jest wszystko? Sami tam wygrzewają się w ciepłych pokojach, śpią na puchach, a ty, człeczko, tułaj się, jak wilk, po lesie, śpij na gołej, zimnej ziemi, ba, nie miej często kawałka chleba marnego...

Szeptano o zdradzie władzy, zmawiano się do ucieczki, bąkano o oddaniu się w ręce wrogom, byle móc się wywczasować i najeść do syta.

Gdzie indziej młodzież wesoło się bawiła, zapominając przy żartach i dowcipach o wszelkich niewygodach i bawiąc się nawet tą zimową majówką w wiecznie zielonym lesie. Humor podtrzymywał wiarę i snuto przy trzasku palącego się drzewa rojenia równie fantastyczne, jak te płomyki, przeskakujące w ognisku wesoło od trzaski do trzaski.



O nieprzyjacielu nie myślał nikt, ani ci, którym było wesoło, ani ci, których dręczył smutek. Nie było to wojsko, co, znając zdradliwe prawa wojny, czujnymi się otacza czatami, co mechanicznie, jak zegarek, spełnia swą powinność. Nie było tam oficerów i podoficerów, przełamujących zmęczenie żołnierza, zmuszających do pracy rycerskiej, nieraz uciążliwej i nie milej. Nie było tam ładu i porządku, wciskającego każdego na swoje miejsce, jak niewielki trybik czy sztyfcik do sprawnej maszyny. Każdy robił, co chciał i jak chciał, nie dbając o innych. Nie było żadnej myśli kierowniczej, spajającej to zbiorowisko kilkuset ludzi w jedną całość, zdolną do jednolitego ruchu i życia.

To też, gdy Padlewski niespodziewanie zjawił się wśród tego towarzystwa – wojskiem tego nazwać nie można było – musiał podjąć ciężką i trudną pracę, by nadać tej zbieraninie chociażby pozory wojska i nauczyć ją najelementarniejszych form bytowania wojennego. Musiał wraz ze swym adiutantem być naraz i wodzem, i sztabowym oficerem, i podoficerem nawet.

Zapowiedział wymarsz na dzień następny. Wiedział, że z różnych stron dążyć będą jutro oddziały nieprzyjacielskie, by wyłapać poborowych, zebranych w lesie. Wiedział też, że nie mógłby stawiać oporu natarciu z tym wojskiem zaimprovizowanym, w dodatku lichu uzbrojonym: na pięciuset zebranych było zaledwie kilka sztuk broni palnej marnego gatunku, reszta była uzbrojona w kosy lub – gorzki śmiech zbiera – pałki i drągi. Postanowił więc szybkim marszem przerzucić się za Wisłę, dążąc do złączenia swego oddziału z innymi w województwie płockim, które obrano za główną podstawę dalszych działań wojennych.

Gdy nazajutrz kolumna oddziału wymaszerowała wylotem na północny zachód ku Secyminowi nad Wisłą, z różnych stron dążyło już wojsko nieprzyjacielskie obławą na lasy kampsoskie. Więc z Warszawy wyszedł podpułkownik Bremsen z kilku kompaniami piechoty i sotniami kozaków, więc z Płocka wyruszył major Sławin na czele paruset kozaków, a wreszcie po drugim brzegu Wisły maszerował, rozsypując wszędzie patrole, oddział jazdy pod pułkownikiem Riedieczkinem.

Nie była to właściwie wyprawa wojenna; jako taka nie miała prawie sensu. Chcieć bowiem, aby tysiąc kilkaset ludzi, z których połowa piesza, zamknęło szczelnie oczka olbrzymiej sieci, ogarniającej 300 kilometrów kwadratowych, i jeszcze dostarczyło dostatecznie silnej kolumny na bój przy spotkaniu z nieprzyjacielem – było to żądać od wojska roboty, graniczącej z niepodobieństwem. Tym bardziej, że konnica, służyć mająca do szybkiej posługi wywiadowczej, mało była przydatna wobec lesisto-błotnistej terenu, który przeszukać należało. Zresztą nie było jeszcze wojny. Było drobne zamieszanie i wojsko miało tu wyręczyć właściwie nieliczną i niesprawną policję – nic więcej.

To też oficerowie, którym zadanie poruczono, nie przyjęli go z zadowoleniem. Pomiędzy woli przychodziła im do głowy możliwość oporu, a na wypadek walki byli za słabi i ta włóczęga po lasach, w przypuszczeniu, że zwierzę osaczony nie ruszy się z miejsca, że będzie czekał, nim go z bliska osaczą, nie uśmiechała im się wcale. Przy jakiej takiej ruchliwości osaczonego uderzenie paść mogło w próżnię i wynik obławy nie rokował powodzenia.

Lecz pan każe, sługa musi. Nie wojskowe, ale cywilne władze, na których czele stał sam brat cesarza, tak były pewne swego, tak liczyły na łatwy i pewny tryumf, że nawet, dla uniknięcia rozlewu krwi i związanego z tym rozgłosu, nakazały wojsku iść na te łowy bez nabitej broni, chwycić osaczonego zwierza gołymi rękami, by tym bardziej go upokorzyć, tym większy wzniesić w nim szacunek dla siły władzy prawowitej. Pan każe, sługa musi! I po błotnistych leśnych drogach powoli wlokły się kolumny wojska, rozsyłając leniwie patrole, gdy zwierzę, na którego polowano, wiedząc o obławie, już się zbliżał do Wisły, za

którą zaczynała się przestrzeń, wolna od założonej sieci. Jeżeli co było przeszkodą, to nie pomyślana niedoleżnie i nieśpiesznie wykonana oblawa, lecz przeszkody fizyczne w postaci Wisły samej.

Wisła jeszcze nie puściła, lecz łód wobec cieplej pogody był słaby i trzeszczał pod nogami. Pierwsi, którzy na rzekę weszli, cofnęli się z przestachem. Lecz Padlewski w obozie odzyskał już swą energię i zdołał zapanować nad oddziałem. Dzięki niemu przeprawa pod Secyminem odbyła się bez wypadku. Szła wolno, drobnymi grupami, trwała całą noc nieledwie, lecz została dokonana i gdy wreszcie oblawa, idąc śladami, doszła do Secymina, Padlewskiego i jego oddziału już dawno nie było tutaj; zdążył już bowiem ujść dobry kawał drogi, z każdą chwilą oddalając się od niezręcznych łowców. W sieciach pozostali tylko ci, co tego chcieli; ci, których zniechęcenie i zmęczenie nie minęło pod wpływem zjawienia się Padlewskiego. Takich było niewielu – zaledwie dwiętnastu na 500, którzy byli w składzie oddziału.

Tak samo wypadły łowy, zorganizowane przez władzę cywilną w innej puszczy – se-rockiej koło Zegrza.

Popisowi z Warszawy, którzy się tam zgromadzali, przeszli przez Narew i Wkrę, a uniknąwszy niezręcznie zastawionej sieci, dążyli, jak i Padlewski, do województwa płockiego. Jeżeli zaś dodamy, że i z samego Płocka wyszło kilkuset ludzi, słusznie czy niesłusznie podejrzewających, że są na liście konskrypcyjnej rządu, zobaczymy, że w okolicach Płocka nagromadziła się w ten sposób większa ilość materiału palnego, zdatnego i przysposobianego do wstępnych kroków, wstępnego boju powstania.

Materiał ten, co prawda, znajdował się w strasznym chaosie; grupy bez organizacji wojennej, bez administracji, przygotowanego prowiantu, odzienia i, co główna, broni. Najpilniejszą więc pracą władzy powstańczej, a w pierwszym rządzie Padlewskiego, było jakie takie zorganizowanie grup i rozmieszczenie ich w okolicy do wyznaczonego terminu wybuchu – do 22 stycznia.

Włóczęga jednak tysiąca ludzi po wsiach i dworach, nieoswojonych z takim ruchem, nie mogła być utrzymana w zupełnej tajemnicy i niejasne, mętne opowiadania o tych zbiorowiskach dochodziły do Płocka, siedziska głównej władzy w tej stronie kraju. Wysłano więc stamtąd rekonesanse – nie w celu wojny, bo tej jeszcze nie było – lecz tak samo, jak nieudane łowy kampinoskie i zegrzańskie, w celach policyjnych, z tym samym rozkazem nienabijania broni, ale brania opornych popisowych żywcem.

Ten półśrodek – grzeczna surowość — jak zwykle półśrodki w czasie wojny, dał rezultaty nie nikłe nawet, ale wręcz ujemne. Wszystkie rekonesanse męczyły się bezcelowym łażeniem po drogach, dworach, wszystkim grzecznie usuwano zawczasu z oka ludzi obcych, by natychmiast po odejściu wojska tym swobodniej gościć i ukrywać popisowych w okolicy, zbadanej już przez wroga. Na czele tych bezpłodnych rekonesansów stał pułkownik Kozłaninow, człowiek, bolejący nad nieszczęściem kraju, nie chcący zadawać ran zbytecznych, jednym słowem, człowiek zasad humanitarnych. Nieszczęśliwy, znając brutalną szorstkość swych kolegów, sam prosił o dowództwo i siedł w burzę z gałązką oliwną pokoju. I trzeba było tej ironii losu, by właśnie jemu z godłem pokoju w ręku przyszło doprowadzić do pierwszego rozlewu krwi.

Przebiegając z drobnym, kilkaset ludzi liczącym oddziałem pola i wsie płockiego województwa, natrafił przy wsi Ciołkowie na setkę popisowych, rozlokowanych we dworze tamecznym, a spożywających w tej chwili obiad. Oddział polski, przewoźny przez Rogalińskiego, oficera z armii Garibaldi'ego, nie zdążył zgodnie z ogólną instrukcją usunąć się niepostrzeżenie z oczu Rosjan. Wycofał się do lasu, lecz tuż za nim podążał Kozłaninow.

I oto wreszcie oddziały stanęły naprzeciw siebie. Rosjanie z nienabita bronią, rozsypani szerokim łańcuchem dla oblawy – łapania według rozkazu żywcem; żołnierze, nie znajdujący się jeszcze w stanie wojny, a pełniący jedynie posługi policyjne. Polacy, skupieni w kolumnę, lichy uzbrojeni – zaledwie w dwie strzelby myśliwskie na cały oddział, reszta w kosy lub nawet kije. Kozłaninów zgodnie z pokojową misją, którą miał w sercu, zbliżył się do Polaków i zwrócił się do nich z sentymentalną przemową. Przekonywał o konieczności oddania się w ręce prawowitej władzy, obiecywał nieledwie bezkarność. Losy zależały zupełnie od tego, czy oddział polski uczuje się stroną wojującą, zdecydowaną na wojnę i świadomą jej wymagań, czy też przemoże w nim pokojowe przyzwyczajenie do posłuchu dla władz urzędowych. Każdy z tej setki ludzi Rogalińskiego jeszcze przed chwilą był nie żołnierzem i sama żołnierka zależała od jego własnej nieprzymuszonej woli, trzeba więc było, aby w duszy każdego z nich nastąpił nakaz „stań się!”; wówczas dopiero możliwymi będą jakiegokolwiek zjawiska wojny.

Nastąpiła więc krótka chwila wahania i wreszcie Rogaliński, jak gdyby wyczuwając wzmaganie się ducha wojny u swych podkomendnych, z okrzykiem rzucił się naprzód. Potyczka trwała tylko chwilę. Niewielka przestrzeń dzieliła przeciwników, a w starciu na białą broń zwyciężył, jak zwykle, atakujący zbitą masą, tym bardziej, że nieprzyjaciół, psychicznie do boju niegotowy, rozciągnięty w szereg, niezdatny do boju, stracił od razu dowódcę, który padł z rozplataną głową. Do 50 żołnierzy zostało na placu; reszta w popłochu uciekła, roznosząc wieść o porażce. Apostoł pokoju w czasie wojny padł ofiarą fałszywego zrozumienia rzeczy zarówno przez siebie, jak przez swych przełożonych.

Polacy mieli zaledwie kilku rannych, lecz pomiędzy nimi był ich dowódca, Rogaliński, który, straciwszy w starciu oko, musiał opuścić swe stanowisko. Jeśli oddział rosyjski, doznawszy porażki, rozprzegł się zupełnie, to jednak żołnierze, przyłączywszy się już tego samego dnia do innych drobnych oddziałów, w okolicy rozsypanych, zdolni byli nazajutrz do boju. Inaczej było z Polakami. Ich hufiec wyczerpał się moralnie nawet zwycięstwem. Ludzie, niespojeni w jedno długim wspólnym życiem żołnierskim, nie mający zaufania do siebie, musieli nawet dla krótkotrwałego boju zdobyć się na taki wysiłek energii i woli, że natychmiast po fakcie nastąpiła reakcja – zmęczenie i upadek na duchu, osobliwie, gdy zabrakło oficera, który zwycięskiej walce przewodził. Wojna, w zasadzie już pełna niespodzianek, staje się nimi przesycona, gdy samo wojsko jest niespodzianką, a nie organizacją, zawczasu przez długi czas przygotowywaną do wojny.

Był to pierwszy bój, pierwszy podmuch wichury, zwiastującej nadchodzącą burzę. Była to zarazem jakby ilustracja ogólnego położenia stron walczących. Rosjanie, nie znajdujący się jeszcze w stanie wojny i łudzący się nadzieją zażegnania niebezpieczeństwa środkami, będącymi mieszaniną łagodnej ustepliwości z terorem i surowością postępowania wojennego. Wykonawcą tej dziwacznej dyplomacji miało być wojsko, jako ostatni najpoważniejszy argument władzy chwiejącej się i chwiejnej. Szło więc wojsko wszędzie, gdzie ten argument niejako naocznie musiał być przedstawiony, szło w celu nastraszenia nieposłusznych, mając zarazem rozkaz postępowania grzecznego i możliwie zgodnego, nie jątrzącego stosunków wzajemnych z otoczeniem.

A że nieposłusznych było wielu, a jeszcze więcej takich, których o chęć nieposłuszeństwa posadzano, więc wojsko posyłać trzeba było nieledwie wszędzie. I oto powoli, stopniowo większe skupienia wojskowe topniały: drobne oddziały wychodziły na czasowe

postoje do tego lub owego miasteczka, czasowy pobyt się przedłużał i wreszcie cała duża armia, rozdrobniona na małe garnizony czasowe, stanowić zaczęła niewielkie wysepki wojskowe wśród morza obcego, najczęściej wrogiego otoczenia. Dyplomatami zaś z hasłem surowej łagodności stawali się najczęściej młodzi, nie znający życia subalterni-oficerowie, dowódcy kompanii, szwadronu lub baterii, nieprzyzwyczajeni do brania większej odpowiedzialności na swe barki.

Nie na wojnę szły te drobne oddziały, odrywając się, jak sądzono, tylko na czas krótki od macierzystych garnizonów, składów i magazynów. Nie na wojnę, lecz dla prowadzenia polityki państwowej! Więc nie zaopatrywano ich na wojnę – ani w dostateczną ilość naboju, ani w należyty tabor, ani w zapas odzieży lub instrumentów; wszystko to zostawało pod raz po raz malejącą opieką dawnych garnizonów z czasów spokoju. Pułki leżały bez osłony, artyleria stała często bez należytej asekuracji. Generałowie przestali właściwie dowodzić swymi dywizjami i brygadami, pułkownicy – pułkami, najczęściej nawet majorowie swymi batalionami. Kompanie, szwadrony lub baterie stały każda osobno, żyjąc życiem prawie samodzielnym, osobiście wobec braku nowoczesnej komunikacji w kraju. Oficerowie-subalterni i żołnierze chwalili sobie taki stan rzeczy, był on dla nich dogodnym. Zdaleka od oka i kontroli wyższej władzy, bez możliwości odbywania ciężkiej musztry, tonęli w słodkiej drzemce, do której zresztą ciągnął ich także charakter rasowy. Obok tego całe mnóstwo oficerów, Polaków lub Rosjan, wciągniętych do spisku, świadomie przymykało oczy na wszystko, co się działo dokoła, wybierając z nakazanej im łagodnej surowości pierwszą połowę formuły, jako najlepszy sposób wybrnięcia ze sprzeczności, zawartej w rozkazie.

Takich drobnych garnizonów, rozsypanych po Królestwie, było 180. A że cała armia liczyła 101.880 ludzi, więc przeciętnie wypadało na garnizon ludzi 566. Lecz główne miasta kraju, siedliska władz centralnych, nie mogły przecież pozostać bez silniejszej obsady. Sama Warszawa pochłaniała 21.503 garnizonu. Miasta Lublin, Radom, Kalisz i Płock, w których znajdowały się komendy dywizyjne, oraz fortece Modlin, Dęblin i Zamość miały też większą załogę, w sumie wynoszącą 13.370 głów. A wobec tego przeciętna załoga w innych miejscach spadała w przecięciu zaledwie do 390 ludzi.

I te drobne załogi w najbliższych czasach miały się rozdrobnić jeszcze bardziej. Wyznaczono pobór wojskowy i dla poparcia władz cywilnych od tych „dyplomatycznych” kompanii i szwadronów miały odejść „policyjne” plutony i sekcje dla asysty przy poborze, dla konwojowania rekruta i wszelkich czynności policyjnych, chociażby np. łapania po lasach uciekinierów, jak to robił nieszczęsny Kozłaninow ze swym oddziałem. Pobór był wyznaczony na 26 stycznia, na dziesięć dni po nieudanym poborze w stolicy – Warszawie.

I właśnie te dyplomatyczno-policyjne oddziały, nieprzygotowane do wojny ani psychicznie, ani technicznie, miały zgodnie z planem powstania być pierwszym obiektem ataku rewolucji. Przedmiotowo była może i dobrze wybrana, lecz jakież były środki i możliwości ataku?

Jeśli armia rosyjska była rozdrobnioną, to siły polskie były wprost w stanie luźnych atomów wojskowych, niespojonych w żadną organizację wojenną, związanych jedynie spiskowym, tajnym dla całego otoczenia, łącznikiem systemu dziesiątkowego. Każdy z tych dziesiątków pozostawał pod wszelkimi względami w zupełnej zależności od sumienia i umiejętności swego dziesiątnika, czy to pod względem napięcia rewolucyjnego i moralnej gotowości do boju, czy to pod względem szybkości mobilizacyjnej, czy też nawet pod względem samego istnienia, niekontrolowanego najczęściej przez nikogo dla przyczyn natury konspiracyjnej. Wszystkie więc obliczenia co do liczby i czasu wisiały niejako w powietrzu bez trwałego, widocznego dla wszystkich gruntu i podstawy.

Każdy, wróg czy przyjaciel, mógł siły rewolucji taksować, jak chciał, jak mu usposobienie i wyobrażenia nakazywały. Więc taksowano je rozmaicie, przeważnie jednak in plus, nie in minus. I jak zresztą mogło być inaczej, gdy na świecie działy się rzeczy i wypadki, które tylko siłą rewolucji wytłumaczyć można było? Nie co innego, jak ta tajna siła wymuszała raz po raz ustępstwa polityczne, pobudzała do pobłażliwego traktowania postępów, które jeszcze niedawno nie mogły nawet być pomyślane przez najodważniejszych. Ta siła jednak nie na wiele się zdała do boju, gdzie uczucie, namiętność i zapał tylko wspierają ramię, lecz samo ramię i broń przy nim jest nieodbycie koniecznym.

Jeśli armia rosyjska nie była dla wojny przygotowana i łatwo stać się mogła łupem umiejętnego i energicznego napastnika, to przygotowania wojenne polskie wyglądać raczej mogły na przygotowania do obławy na dzikiego zwierza w jakim leśnym ostępie, niż na zamiar wojny. Dubeltówki, kosy, drągi – to broń; żadnych składów i magazynów, żadnego zapasu odzieży i obuwia, żadnych środków do wyekwipowania żołnierza. Zdawało się, że ludzie wybierają się na kilkodniowe polowanie, po którym zdrowo i szczęśliwie wrócą do domu.

Lecz rozkaz był dany, termin boju wyznaczony. Pobór na całej prowincji miał nastąpić 26 stycznia, chciano go uprzedzić i jako pierwszy dzień wojny wybrano dzień 22 stycznia. Nie dzień, raczej noc, gdyż dla ukrycia swej słabości organizacyjnej i technicznej i dla wyzyskania w zupełności czynnika niespodzianki, nakazano nocne napady na garnizony rosyjskie. Szło więc przede wszystkim o utrzymanie tajemnicy, co niechybnie zmniejszyć musiało zarówno liczbę powstańców, jak i stopień ich przygotowania wojennego.

Zaczęły się więc w całym kraju ciche szepty, częste rozzjazdy kurierów i kurierek, gorączkowe przygotowania. Czasu było mało, a noc 22 stycznia szybko się zbliżała!

Pułkownik Lewandowski w Siedlcach otrzymał rozkaz z Komitetu Centralnego dnia 17 stycznia. Pomimo umówionych znaków na piśmie, pomimo, że był pewien kurierki, która rozkaz przywiozła, nie dał wiary poleceniom. Jeszcze niespełna dwa tygodnie temu – 5 stycznia – gdy wyjeżdżał z Warszawy dla objęcia stanowiska dowódcy sił zbrojnych Podlasia i Lubelskiego, zapewniano go, że wybuch nastąpi nieprędko. Padlewski rozmówił się z nim tylko ogólnikowo, licząc, że do czasu działań nieraz przyjdzie do szczegółowego omówienia planu. A teraz nagle ten rozkaz równie ogólnikowy, nie wchodzący w żadne szczegóły, jak gdyby Lewandowski miał być już czas i możliwość poznać i zbadać szczegóły tak rozległego terenu. Dziwny rozkaz!

– I jeszcze – myślał, – gdybym przy tym przelotnym obznajmieniu się z częścią podległych mi sił znalazł był dostateczne siły, dostateczne przygotowania! Ale, przeciwnie, wszystko jest raczej niegotowe do wybuchu!

Przypomniawszy sobie swą tygodniową podróż. Był w Siedlcach – organizacja nieliczna, możliwa pomoc od oficerów spiskowych. W Białej – okolica zrewolucjonizowana, oficer artylerii Zarzycki obiecywał rozdać ślepe ładunki żołnierzom i twierdził, że w 500 ludzi, nawet źle uzbrojonych, zdobyć można armaty. W Brześciu to samo – tam trzeba 5.000 ludzi. W Węgrowie i Sokołowie silne wpływy przeciwników powstania – białych. Przelotne rozejrzenie się w sytuacji pozwala przypuszczać, że nie jest tak źle, że dużo dałoby się zrobić, ale na to trzeba czasu, czasu, jeszcze raz czasu.

– Teraz dopiero mógłbym – myślał dalej – przystąpić do szczegółów, ułożyć je w system, dostosować go do okoliczności terenu i warunków lokalnych, i to tylko w tych

miejscach, gdzie byłem. Nie znam jeszcze dwóch trzecich swego terenu, ani zajrzałem na południe i nie wiem, co się tam dzieje. Szeptał z wściekłością:

– Jak – u pioruna! – mam działać?!

Przeczytał raz jeszcze rozkaz:

– Napadać na garnizony w nocy 22 stycznia, starać się utrzymać w swoim posiadaniu szosę moskiewską, przy niemożliwości dowiedzionej przenosić teatr małej wojny na wschód, na Litwę.

Przypomniało mu to rozmowę z Padlewskim:

– Wschód cały prowadzi ostrą demonstracyjną i partyzancką walkę, przecinając komunikację Warszawy z Rosją, a pod osłoną tej walki na południu, w Sandomierskim, i na północy, w Płockim zbierają się i organizują armie polskie do marszu na Warszawę.

Taki w ogólnych zarysach plan był mu przedstawiony w tych rozmowach, te same też ogólnikowe wskazówki zawierał rozkaz.

Opadały go coraz bardziej zwątpienie i niepewność.

– Przecież – myślał dalej – muszą tam w Warszawie wiedzieć, że świeżo tu przybył, że nie mogłem w dwa tygodnie poznać i obmyśleć wszystkiego dokładnie. Powinni byli wziąć to pod rozagę i dać mi lepsze i szczegółowsze rozkazy, dane, wskazówki. Niechbym miał za sobą miesiąc lub dwa pracy przygotowawczej, już wiele dałoby się zrobić!

Głęboko zamyślił się pułkownik i wreszcie po namyśle zasiadł do pisania. Pisał prośbę o odwołanie rozkazu, motywując ją niedostatecznym przygotowaniem województwa do walki, powołując się na rozmowy z Komitetem z przed dziesięciu dni, obrady, w których odkładano wybuch na czas późniejszy.

Jeszcze tegoż dnia wieczorem nadszedł powtórny rozkaz z zawiadomieniem, że Komitet opuszcza Warszawę i że cały kraj ma taki sam rozkaz, a zatem Podlasie nie może pozostać w tyle.

Pułkownik wzruszył ramionami: „Nieodwołalne – trzeba rozkaz spełnić, trzeba śpieszyć, bo czasu mało!”

– Być może – pomyślał, chcąc usprawiedliwić polecenie, – iż inne województwa zachodnie są lepiej przygotowane, niż moje. Ja mam demonstrować tylko, niechże będzie możliwie dobra demonstracja! Na szczęście spadło z mojej głowy Lubelskie, Warszawa sama się nim zajęła; nie wiedziałbym, co z tym zrobić, jak nadażyć w tym krótkim czasie z robotą na takich przestrzeniach! I z tym, co mam, daj Boże wydołać!

Tejże nocy z Siedlec popędzili kurierzy i kurierki z zawiadomieniem o terminie o rozkazie Komitetu do dowódców powiatowych, wyznaczonych zawczasu. Od nich wieść szła już wolniejszą drogą, drogą nieledwie ustną od człowieka do człowieka, omijając tych, których podejrzewano o gadulstwo, a których zostawiono na ostatnią chwilę. Droga powolna, droga zawodna! Niektórzy otrzymali zawiadomienie o punkcie zbornym zaledwie na kilka godzin przed terminem wyruszenia, a przecież trzeba było każdemu jakoś się opatrzyć na wojenkę, urządzić swe domowe interesy i sprawy przed wyprawą, z której często już się nie wraca.

Do niektórych rozkaz dochodził już po czasie; bywało tak nawet z naczelnikami, jak np. z Krysińskim, wyznaczonym do napadu na Międzyrzecz. Każdy przyjmował rozkaz tak, jak w danej chwili nakazywał mu nastrój jego: gdy była chęć – szedł na wskazane miejsce, gdy tchórz obleciał lub wprost ostrożność przeważała – zostawał spokojnie w domu, wiedząc, że nikt go do wojaczki nie zmusi i że za dezercję żadna kara nań nie spadnie.

Nazajutrz pułkownik Lewandowski ze swymi podwładnymi z powiatów siedział nad rozłożoną mapą. Wszyscy biadali, wszyscy źle tuszyli o sprawie. Zaczęto obliczenia.

Na szosie, wiodącej z Warszawy do Brześcia Litewskiego, cztery główne punkty były zajęte przez Rosjan: Siedlce z załogą jednego batalionu piechoty i setki kozaków, – Łuków, obsadzony dwoma kompaniami piechoty, Międzyrzecz ze szwadronem ułanów i wreszcie Biała z baterią artylerii konnej, setką kozaków i jedną kompanią piechoty. Wszędzie istniało porozumienie z oficerami, należącymi do spisku, więc wiadomym było nieledwie każde poruszenie w garnizonie i liczyć można było na pomoc w obozie wroga. W Łukowie i Białej po kilkunastu żołnierzy Polaków było w zmowie z rewolucją i miało natychmiast przejść do szeregów powstańczych.

Pomimo tych słabych stron u nieprzyjaciela przedstawiał tenże siłę 2 tysięcy kilkuset bagnetów i szabel z dodatkami ośmiu dział. Siła potężna w porównaniu z tym, co powstanie przeciw niej wystawić mogło.

Przeciwko Siedlcom postanowiono użyć organizacji z Siedlec, Sokołowa i Węgrowa z dodatkiem ludzi spod Łosic. Siły te każdy liczył inaczej; gorętsi spodziewali się 3-ch tysięcy, chłodniejsi doliczali się tysiąca. Dowodzić miał sam pułkownik Lewandowski. Łuków z okolicą, dobrze zorganizowaną, miał opanować ksiądz Brzózka¹; liczył, że zbierze 3.000 ludzi, co aż nadto wystarczało na słabą załogę łukowską, tym bardziej, że w spisku było sporo żołnierzy Polaków. Międzyrzecz oddano Krysińskiemu, którego na naradzie nie było; liczono tam na kilkuset ludzi; zadanie tu wyglądało tym łatwiej, że piechoty nie było wcale. Wreszcie Białą z artylerią poruczono młodemu Rogińskiemu, który najgorętszy ze wszystkich – był teraz pewien swego: cały powiat był zorganizowany – jego zdaniem – i na każde skinienie wszyscy gotowi tam byli stanąć!

Lecz piętą achillesową było uzbrojenie. Broń była w tak śmiesznie małej ilości i w dodatku tak licha, że na myśl o gwintowanych karabinach i armatach nawet odważniejszym ręce opadały. Trzeba wykorzystać zatem słabą stronę przeciwnika; kazać działać swoim sojusznikom w jego własnym obozie. Więc oficerowie, należący do spisku, wszędzie otrzymają nakaz, aby w naznaczony dzień urządzić jaką ucztę, tak, by wszyscy dowódcy, nawet pomniejsi, osobno od swych żołnierzy stać się mogli łatwym łupem napastników. Liczono na to, że żołnierze, pozbawieni kierowników i zaskoczeni nagłym napadem, nie będą w stanie wykorzystać w dostatecznej mierze ani siły swej organizacji, ani potęgi swej broni. W najgorszym razie mogło to zrównoważyć szanse nierównego boju. Nawet najchwiejniejsi sądzili, że przy takiej pomocy sprawa beznadziejną nie jest.

Resztę załóg, rozsypanych w województwie, leżących z boku głównej linii komunikacyjnej, przydzielono innym. Więc Deskur, obywatel ziemski, otrzymał Radzyń, punkt ważny, bo obsadzony artylerią i piechotą. Więc Nencki miał prowadzić napad na Kodeń, gdzie, na trzy mile od fortecy brzeskiej, stał prawie bez osłony pułk artyleryjski z magazynem broni i amunicji. Wreszcie na Łomazy z załogą kawaleryjską miał napaść Szaniawski. W każdym z tych miejsc liczono na kilkuset powstańców. Kilka wreszcie pomniejszych punktów, zaopatrzonych w drobniejsze załogi, jak Węgrów, Sokołów, Mroczyki, Serokomla, Kock, Ostrów i Łaskarzew, postanowiono zostawić w spokoju: zabrakło na to wodzów i sił spisku. Zresztą w razie powodzenia, choćby tylko częściowego, w głównych siedliskach władzy wojennej te drobne oddziały muszą stracić orientację i w każdym wypadku w trudnym znaleźć się położeniu, jeśli nawet nie przepadną zupełnie.

Jako dalszy, wspinały już etap rozwoju rewolucji, rysował się Brześć Litewski. Przyświecał on wyobraźni Lewandowskiego, jak gwiazda przewodnia. Po udanych napadach złączonymi siłami ruszyć pod fortecę, gdzie spiskowi oficerowie ułatwią jej zdobycie! Dałoby to od razu szeroką i pewną podstawą powstaniu nie tylko już na Podlasiu, ale w całym kraju i postawiłoby wojsko rosyjskie w Polsce w położenie groźne i trudne.

¹ Brzóska Stanisław (1832–1865), ksiądz i dowódca powstańczy, wybitna postać powstania styczniowego.

Na wypadek nieudania się napadów, zgodnie z poleceniem Komitetu, miano się przenieść na Litwę, rozszerzając ideę buntu i teatr wojny.

Role zostały rozdane, plan osnuty.

Do pracy! A pracy było jeszcze wiele!

Każdy z poszczególnych dowódców musiał obmyśleć szczegóły swego postępowania. Ba, gdyby tylko obmyśleć! Każdy miał na głowie też i przygotowanie wszystkiego do wybuchu nieledwie własnoręcznie. Wobec konieczności zachowania ścisłej tajemnicy, liczba ludzi, zajętych przygotowaniami, musiała być bardzo ograniczoną, by żadna liczniejsza grupa ludzi, nawet nieuzbrojonych, żadna furmanka z bronią czy amunicją nie spotkały na swej drodze czujnego oka wroga, nie wydały sekretu przedwcześnie. Koncentracja sił i środków tak łatwa, gdy siła zbrojna kroczy jawnie do swego celu, naginając całe otoczenie do swojej woli i potrzeby, napotykała tutaj liczne, nieraz zupełnie nie dające się przewidzieć przeszkody i wywoływała tarcie tak silne, jakiego nie zna armia regularna. Hasłem tu było nie przystosowywanie otoczenia do swej wygody, lecz wbrew swej wygodzie, a zatem ze stratą czasu i wysiłków, przystosowanie siebie samego do otoczenia, zniknięcie w nim, rozplynięcie się aż do niewidzialności. Tylko ta czapka-niewidka dawała gwarancję sekretu, tylko ona jakimś niewinnym pozorem osłaniała groźne przygotowania.

A ileż w takiej pracy niespodziewanych zagadek losu i ślepego wypadku? Zagadek, wypadków, których zgubnego wpływu niczym parować niesposób! Zdradliwymi są prawa wojny, zdradliwymi niechybnie, lecz przesiąkniętym zdradą staje się powietrze, gdy sama wojna inaczej nie może się przejawiać, jeno podstępem i zdradą.

Nadzwyczajny ruch panował w Horostycie, cichym zwykle dworku podlaskim. Pani domu wraz z fraucymerem przez cały dzień gotowała, smażyła i piekła, wieczorami zaś szyto jakieś woreczki, darto i szarpano bieliznę i płótna. Niezbyt wesołe widocznie były przygotowania, bo pani nieraz ukradkiem łzy ocierała i tuliła drobne dzieci do siebie. W całym dworze rozmawiano szeptem, oglądając się, by nikt nie słyszał, nawet swawolne dzieci przyciszonym głosem komunikowały sobie spostrzeżenia nad tą dziwną, nieznaną im dotąd krętaniną i nerwową, pośpieszną pracą starszych. Nie miały to być ani imieniny, ani częste dawniej przyjęcia sąsiedzkie. W kuchni nie robiono zwykłych w tych wypadkach smakołyków, lecz gotowano proste, chłopskie jedzenie i w takiej ilości, jak gdyby miano przyjmować wszystkie wsie okoliczne.

Pan domu, znany na Podlasiu obywatel ziemski, Bronisław Deskur, chodził z miną zakłopotaną po dworze, przynaglał wszystkich do pośpiechu, raz po raz zamykał się w swym gabinecie na cichą rozmowę z przyjacielem i dalekim sąsiadem, Teodorem Jasińskim. Po takiej rozmowie zwykle wychodził do izby folwarcznej i po chwili na drodze rozlegał się tętent cwałującego konia, wiozącego chłopca z posyłką do sąsiada, do miasta, czy okolicznej wioski lub plebanii.

Pan Deskur przygotowywał się do napadu na Radzyń. Dom jego stał się główną kwartelą, dla ułatwienia zaś sprawy i zarazem punktem koncentracji dla broni, amunicji, zapasów wojennych i żywności.

– Zawczasie, zawczasie – mówił do swego przyjaciela przy krótkim wypoczynku – nie myślałem nigdy, bym teraz właśnie miał taką niespodziankę. Trzy dni tylko czasu zostało. Swoje osobiste sprawy jużem zakończył. Ale z tą bronią, czy damy sobie radę? Dość nie kazałem nawet kos na sztorc przekuć, by Rosjan nie alarmować, a teraz boję się,

czy aby nadażą. I jak ja sam poradzę? Mianowali mnie majorem, ale co z tego majorstwa, gdy nie bardzo wiem, co robić? Umieję „ekspedite” regulamin kawalerii, czytało się coś niecoś o taktyce i strategii, ale niech mnie kule biją, jeśli wiem, co z tego wszystkiego wzięć do ataku na Radzyń. Widocznie czegoś nie doczytałem, czegoś się nie nauczyłem. Tu byłby potrzebny jakiś podporucznik, ale rzeczywisty, nie taki malowany major. Pamiętaj, Teodorze, musisz być ciągle przy mnie, bym się mógł kogo poradzić.

– Nie, za nic! – odrzekł Jasiński – jesteś majorem i musisz dowodzić. Pójdę na oślep, gdzie zechcesz, lecz nie zajmę się niczym samodzielnie, bo wyobrażenia nie mam, jak sobie radzić w tym położeniu. Mogę odpowiadać tylko za siebie! Zresztą i regulaminu żadnego nie umiem i żadnej książki wojskowej nie czytałem. Ty musisz to umieć!

Biedny pan Deskur choć musiał, jednak czuł, że nie umie. Podejrzał jakąś lukę w swym wykształceniu militarnym i prawdopodobnie by nie uwierzył, że dla napadu z garstką „kosynierów” i „dragalierów” na armaty i karabiny żadna książka wojskowa nie jest napisana i że każdy porucznik lub kapitan niemalowany, równie jak on, byłby zdany w tym wypadku na łaskę i niełaskę swoich zdolności i energii bez żadnego oparcia na nauce i regulaminach. Ba, czułby się gorzej, bo nie miałby tego oparcia, jakie miał pan Deskur w dokładnej znajomości otaczającego go radzyńskiego świata.

Lecz pan Deskur musiał, więc słał rozkazy, jak major rzeczywisty. Do Horostyty na 21-go rano niejaki Michałowski, kotlarz z profesji, szczerzy patriota i dzielny człowiek, mający wpływ duży w różankowskich dobrach hrabiego Zamoyskiego, miał przybyć z organizacją tameczną i bronią, ukrytą na wozach. Bronią tą były kosy, przez tegoż Michałowskiego przygotowane, i kilkanaście strzelb myśliwskich, będących w posiadaniu zorganizowanej straży leśnej. Do tejże Horostyty miano ściągnąć i resztę broni z okolicy, gdyż stąd część jej trzeba było oddać i panu Krajewskiemu, wyznaczonemu do zaalarmowania załogi w Ostrowie. W Horostycie też oddział zabierał żywność na dni kilka, woreczki do kul i prochu, uszyte rękami kobiecej połowy zaludnienia dworu.

Lecz dzień jeden cały ta gromada przebyć musiała na miejscu, następnie dzień cały maszerować siedm mil drogi pod Radzyń. Okoliczność ta niepokoiła głęboko p. Deskura. – Czy też to ujdzie niepostrzeżenie, czy też przedwcześnie zamiar nie będzie odkryty i udaremniony?

Ale jak postąpić inaczej? Wyznaczyć od razu miejsce spotkania dla wszystkich pod Radzyniem? Niemożliwe; trzeba by wyznaczyć termin wcześniejszy, licząc na opóźnienie i powolne ściąganie się ludzi. Gotowi będą ludzie – broń się opóźni, gotowa broń – ludzie przyjdą później. I potem ten jarmark na drodze pod samym miastem może zaalarmować, zaniepokoić załogę, a tego właśnie za wszelką cenę uniknąć trzeba. Wyznaczyć punkt zborny gdzie bliżej Radzyna, u innego obywatela? Lecz nie ma takiego, któryby się nie wystraszył, nie robił wielkiej rzeczy z każdej drobnostki, kto wie, czyby nie zepsuł wszystkich przygotowań jakimś niepotrzebnym niepokojem lub alarmem. Niech już będzie Horostyta! Przynajmniej tu się nie rozgada, tu się zna każdego dokoła i wie się dokładnie, czego i od kogo wymagać można. Tu zresztą przygotowują się wszystkie zapasy na drogę, tu nikt narzekać nie będzie na uciążliwe kłopoty, wydatki i strachy.

– Oficerowie, należący do spisku, już są zawiadomieni o terminie, mają ściągnąć wszystkich oficerów na wspólną hulatykę, tak, że armaty zostaną bez poważniejszej osłony, a żołnierze bez dowódców. Organizacja miejska w Radzynie ze swym naczelnikiem, Pyrkoszem, ma do ostatniej chwili mieć na uwadze wojsko i jego czynności, a na godzinę dziesiątą wieczór przyjść w umówione miejsce w okolicy miasta po broń i ostateczne rozkazy.

Tak, rozkazy wydane, wszystko już umówione, a jednak jakiś niepokój gryzie p. Bronisława, świeżego majora wojsk polskich. To nie tylko brak zaufania do własnych sił i

umiejętności i strach przed umiejętnością fachową wroga. Owszem, to działa swoją drogą denerwująco i przypominanie wszystkich mądrości regulaminu kawalerii wraz z urywkami taktyki i strategii nie uspakaja wcale. Lecz poza tym ten ogólny niepokój o to, czy wszystkie te szczegóły dopasują się dobrze nawzajem w ostatniej chwili? Wszystkie atomy – broń i ludzie – z których przed samym napadem złoży się siła zbrojna p. Deskura, dziedzica Horostyty, wszystkie te atomy są dotąd i do ostatniego momentu nie w jego bezpośrednim rozporządzeniu, lecz mają życie samodzielne, niekontrolowane czujnym okiem dowódcy. Każdy atom z osobna chodzi luzem, a tych chwil luźnego życia jeszcze takie mnóstwo! Toż to chaos jakiś, niepodobny do uchwycenia przez żadną, choćby najżywszą, wyobraźnię! Każda chwila jest niepewna, w każdej chwili nieprzewidywany postęp, wprost nawet kaprys wroga wprowadzić może płataninę i zamieszanie do misternych obliczeń.

I, jakby dla potwierdzenia tych niepokojów p. Deskura, spada nań grom nieoczekiwany. Oto w nocy z 20-go na 21-szy, akurat przed terminem zbiórki przynajmniej części sił zbrojnych, przybiega ze stolicy miejscowej, z Radzyna, goniec. Jest nim p. Prądyński, pomocnik naczelnika miasta. Przywozi on przykrą wiadomość, zasięgniętą od oficerów spiskowych, że żandarmeria miejscowa wybiera się z wizytą do Horostyty, że mają rozkaz aresztowania p. majora we własnej osobie. Grunt zaczynał palić się pod nogami!

W oczach biednego p. Deskura wszystko zawirowało; całe obliczenie stawalo do góry nogami. Horostyta – punkt koncentracyjny – był już niepewnym, chwiejnym, jak i wszystko dokoła.

– Wysłać kontrrozkazy, odwołania? – niesposób! Przy tych przestrzeniach i całym systemie luzaków byłoby to ryzykowne; do jednych trafi się w porę, do innych, prawdopodobnie większości, za późno, gdy poprzedni rozkaz już będzie wykonywany. A zresztą nawet tam, gdzie jeszcze na czas się nadaży, muszą też nastąpić odwołania dalsze, nowe rozkazy, które ten bezmierny już chaos zawikłają w tak niesłychany sposób, że o rozplątaniu go i ułożeniu w porządku chybaby mowy być nie mogło.

Nie pozostało więc nic innego, jak „delożować” tylko samego siebie, usuwając się spod ręki władzy. Reszta pozostanie po staremu, zdwojone będą tylko ostrożności, aby koncentracja nie wpadła w oko żandarmom.

P. Bronisław prawdopodobnie miał w tej chwili jedną pociechę. Przyjaciół jego – p. Jasiński – choć umiał mniej jeszcze od niego, lecz tym razem musiał zastąpić wodza. Prawdopodobnie p. Jasińskiemu w jego naiwności ani przez głowę nie przeszło, że biorąc w tym wypadku w swe ręce ostateczne przygotowania do wyprawy, wypełnia czynność wojenną najbardziej odpowiedzialną, najbardziej delikatną, czynność sztabowych oficerów, swą administracyjną pracą torujących drogę do zwycięstwa. Niechybnie złośliwa myśl o przyjacielu, bojącym się odpowiedzialności, a zmuszonym do niej, mogła być pociechą, lecz za to wątpliwość, niepewność, znaki zapytania co do samego przedsięwzięcia musiały wzrosnąć w myśli p. Deskura w trójnasób. Z ciężkim sercem wsiadał on o świcie na brykę, wyznaczony miejsce spotkania w lesku podmiejskim, na drodze z Wohynia do Radzyna. Na ganku dworku rzewnymi łzami płakała dziedziczka i czworo dzieci z przestraszonymi twarzyczkami tuliło się do jej sukni.

Ksiądz Nawrocki, proboszcz w Huszcy, śpieszył, drepcąc po błotnistej drodze zaścianka. Na twarzy miał rumieńce, oczy mu błyszczały, a chociaż zmuszał się do uważnego odmawiania modlitwy i myślenia o wzniosłych rzeczach niebieskich, jednak dnia tego

nie mógł wymóc na sobie uwagi i skupienia. Pacierze mu się plątały, a oglądając znane sobie od dawna zabudowania zaścianka, mruczał pod nosem: „Pojutrze! Pójutrze!”

Szedł do starego Macieja, kolegi z drugiego pułku ułanów z r. 1831, którego ongi był kapelanem. Teraz miał mu zwiastować nową pobudkę, nową wojenkę.

– Hej, nie tak szło się ongiś na wroga! Jawnie, buńczucznie, ze śpiewem wesołym, brzękiem ostróg, furkaniem chorągiewek, w jaskrawych mundurach, na koniach, parskających wesoło. Hej! Macieju, teraz na wojenkę wykładać się będziesz, jak złodziej, – jak zbój jaki, razić będziesz wroga z za węgła, z ukrycia. Pójdiesz, jak stoisz przy swej chacie, w siermiedze, a zamiast lancy i pałasza weźmiesz z sobą pracowitą kosę. Nie zagra ci do boju skoczna a dziarska muzyka, nie będziesz miał tego gwaru wojskowego dokoła, co cię za młodu cieszył i radował. Przekradać się teraz będziesz po lasach i błotach rodzimych, jak włóczęga bezdomny, a pieśnią twą będzie smutna, ponura, grobowa nuta tych pień żałobnych, co od lat paru w kościołach twej ziemi się rozlega.

Lecz bój jest bojem i serce prawego żołnierza rwie się doń, jak młodemu do miłej. Więc i Maciej, gdy od swego proboszcza i kapelana usłyszał, że już czas się gotować, nie myślał o dawnych rozkoszach bojowania, tylko wraz z księdzem jął deliberować o przygotowaniu rodzimego zaścianka do walki.

Mieli napaść na załogę w Łomazach; tam kwaterował drugi szwadron ułanów smoleńskich Jego Cesarskiej Wysokości następcy tronu.

– Na ułanów! – westchnął proboszcz, wspominając dawne ułańskie czasy.

– Psia mać, za przeproszeniem księdza jegomości, – obruszył się Maciej – takie i ułany! Nieboszczyk nasz rotmistrz na cztery wiatry rozpędziłby taki szwadron. Już to im się przyglądam ustawicznie. Pójdzie nam, jak z płatka, księżę dobrodzieju, ani to się pilnować umie, a wieczorem połowa pijana. Wyrzniemy, jak świnię, za przeproszeniem dobrodzieja, a tam taki szwadron sformujemy, że nieboszczyk pan rotmistrz w niebie się uraduje.

– Zanadtoś na krew łapczywy, – mitygował ksiądz – śpiących wyrzynać, nie żołnierza rzecz! Broń odebrać, konie, siodła pozabierać, a tych biedaków puszczać wolno, taki nakaz z Warszawy. Jakoby i oni będą się buntować przeciw rządowi. Słyszę, wśród Rosjan wielu jest takich, co nam sprzyjają.

Maciej z argumentami tymi nie zgadzał się i z zaciętej mazurskiej twarzy widać było, że krwi ani swojej, ani wroga nie będzie szczędził pomimo łagodnej perswazji księdza. Nie był on zdatny do stosowania sprzecznej w swej zasadzie formuły łagodnej surowości, jaką ze swej strony rewolucja chciała się kierować w stosunku do wojska.

Zaczęła się długa narada o sposobach podejścia wroga, ukrycia pierwszych kroków przygotowawczych. Brano w rachubę każdy krzaczek, każdy domek po drodze lub w miasteczku. Maciej się gorączkował, chciał iść wprost, jak ongiś na szarżę, impetem; ksiądz mitygował, doradzał ostrożność, dorzucał uwagi, świadczące zarówno o doskonałym znawstwie terenu, jak i rozumieniu życia żołnierskiego i działań wojennych.

We wszystkim szybka następowała zgoda; Maciej przeważnie poddawał się argumentom księdza. Jedna tylko kwestia wzbudziła dłuższy spór. Szło o to, czy zaraz w zaścianku rozpocząć przygotowania, czy czekać jeszcze dnia następnego. Maciej dowodził, że zaraz trzeba skrzyknąć ludzi – od dawna przecie są już spisani – przysięgli i są gotowi. Kazać przekuwać kosy, sposobić odzież i obuwie, gotować zapas żywności. Twierdził ze słusnością, że zwłoka odbije się na gotowości, że się nie nadąży potem, że ludzie muszą przecie i pozalać swą sprawę domową, i pożegnać się z rodziną, i pogodzić się z Bogiem, odbyć spowiedź świętą. Na to wszystko dnia nie wystarczy. Ksiądz upierał się, by na razie zachować w tajemnicy termin wybuchu, spuścić się z sekretu tylko najzaufanyszemu, a nazajutrz otoczyć zaścianek strażą z młodszych, by nikt z obcych i niepowołanych nie zastał szlachty przy dziwnej, niepokojącej robocie. Specjalnie obawiał się paru pijanic za-

ściankowych, którzy w karczmie rozgadać mogą przed Żydem, a ten mógłby o tym donieść władzy. Maciej na te argumenty doradzał wprowadzenie od razu nieledwie stanu wojennego, chciał Żyda z rodziną i ludzi niepewnych zamknąć pod straż i gospodarzyć w zaścianku śmiało.

Długo trwał spór, lecz wreszcie Maciej i w tej sprawie ustąpił. Ustąpił nie dla słuszności argumentów proboszcza, lecz dla jego powagi kapelana ułańskiego. Narady się skończyły.

Nazajutrz w zaścianku, otoczonym czujnymi strażami, wrzała praca. W kuźni na gwałt spajano kosy, w chatach baby, ocierając łzy fartuchem, piekły, gotowały i szyły, w kościele przy konfesjonalach tłumy młodych chłopców odbywały krótką, żołnierską spowiedź, po wsi całej urządzano uroczyste żegnania i błogosławieństwa. A w samych Łosicach aż do wieczora kręcili się starzy Huszczowie, wysłani przez Macieja i proboszcza na przespziegi, na pilnowanie wszelkich ruchów ułanów i ich dowódcy, którzy ani się spodziewali, jaka burza spadnie na nich tej nocy. Wieczorem zaległa w zaścianku niezwykła cisza. Tylko po chatach cicho i skrycie płakały młode i stare kobiety, tylko starzy dziadusię – wojscy nowocześni – próbowali łagodzić smutek zrządzeniem; wszystko, co było silnym, zdrowym, wzięwszy w tęgie, spracowane garście kosy i zatknąwszy za pas na siermiedze siekiery, wymknęło się cichaczem ze wsi pod wodzą Macieja. Proboszcz, już teraz kapelan i doradca techniczny wodza, ruszył też w pole. Zaścianek Huszcza ruszył na wojnę. Z sąsiednich zaścianków – Wiski i Tucza – tak samo wyprowadził młodzież na Kodeń stary Nencki, wysłany ongiś w żołdacy na Kaukaz i obdarzony tam szewronami podoficer-skimi.

Na plebanii w Białej u proboszcza księdza Mlecзки w bocznym pokoiku od paru miesięcy rozgospodarował się młody, nieznan dotąd nikomu młodzieniec. Proboszcz przedstawiał go, jako swego siostrzeńca, lecz dziwny był stosunek pomiędzy wujem a siostrzeńcem. Jeżeli szło o szacunek i poważanie, to korzystał z nich właśnie siostrzeniec, który w rozmowach używał tonu nakazującego i mówił do otoczenia, jak przełożony do podwładnych. Od czasu jego zamieszkania do niepoznania zmienił się tryb życia na plebanii. Drzwi się nie zamykały prawie; w pokoju siostrzeńca odbywały się ciche narady i szepty, do których niezawsze był dopuszczany sam gospodarz domu. Młodzieniec często uciekał na całe tygodnie, do proboszcza zaś zgłaszali się coraz częściej ludzie z odległych okolic. Była to główna kwatera rewolucyjna, z początku na całe województwo Podlasia, a potem na obszerny powiat bialski. Młodzieńcem zaś był młody Roman Rogiński, dawny komisarz pełnomocny Komitetu Centralnego na województwo, a teraz naczelnik powiatu.

Od czasu ostatniego powrotu z Warszawy i Siedlec, od 19 stycznia, nerwowo Rogiński nie miał odpoczynku. Wszędzie go było pełno, podwoił, potroił swe usiłowania, by jego duma, Biała z okolicą, wysunęła się na jedno z pierwszych miejsc w Polsce podczas napadów w nocy 22 stycznia. Był prawie pewien powodzenia. Wojsko pod komendą gen. Mamajewa nie spodziewało się niczego; i ślepy by to spostrzegł. Przed chwilą właśnie umówił się Rogiński z komendantem baterii, Suchodolskim, i jego subalternem, Zalewskim, co do szczegółów napadu. Na alarm nie wyjdą wcale z mieszkania, pozwalając spis-kowym kanonierom gospodarzyć, jak chcą, w baterii, ci zaś strzałami mają nastraszyć konie, tak, by nie zdołano dział zaprząć i by zamieszanie, w ten sposób wywołane, ułatwiło zdobycie armat. W okolicę już gońce rozestłani. Od Janowa podlaskiego ma przybyć 400,

tych przyprowadzi ksiądz Rozwadowski, proboszcz z Niemirowa; z Zalesia pod Bogusławskim stanie stu ludzi, spod Łosic, z jednego z zaścianków nauczyciel ludowy, Wolańin, ściągnie z 300 szlachty. To wszystko zaś jest tylko pomocą, rezerwą. Grunt to mieszczanie bialscy, spiskowi, zaprzysiężeni każdy osobno, nie tłum nieobliczalny. Dwustu ich stanie, dzielnych zuchów rzemieślników, chłopów na schwał, zdolnych i do tańca, i do różańca, jak to mówią; rzemieślnicy, to dusza spisku w Polsce. Dwudziestu razem z Rogińskim wpadnie do kwatery wodza sił wrogich, reszta, podzielona odpowiednio, uderzy na koszary baterii za miastem, na sotnię kozaków, wreszcie na kompanię piechoty. Wszystko obliczone, wszystko ułożone. Nie! Chyba nie może się nie udać!

Rogiński w duszy nawet się cieszył, że nie zastał Mrocza, oficera od saperów, wyznaczonego do komendy w tym napadzie. Wysłano go nagle do Kazania, hen, daleko nad Wołgę. Komitet Centralny liczył, że tam powstanie bunt chłopów rosyjskich, jak ongi za dawnych czasów Katarzyny wybuchł bunt Pugaczewa. Komitet tym łacniej temu dawał wiarę, że go w tym kierunku zachęcano gorąco ze strony najbardziej kompetentnej: ze strony wodzów duchowych rewolucji rosyjskiej, Hercena i Bakunina, którzy potężny wpływ wywierali na spiskowych oficerów rosyjskich w Polsce. Bez tego fachowca, któremu z konieczności komendy ustąpićby trzeba, cały talent wojenny Rogińskiego – a weń z pewną słuszością wierzył święcie p. naczelnik powiatu – zajaśnieć może w pełni. Uczeń szkoły wojskowej polskiej, szkoły rewolucyjnej, pokaże, co umie!

I nagle w maszynie, nakręconej tak dowcipnie przez młodego wodza, coś się psuć zaczęło. Właśnie, odpoczywając chwilę, marzył on o dalszym rozwoju działań po zwycięstwie w Białej, gdy do drzwi ktoś cicho zapukał w umówiony sposób.

– Proszę! – obudził się z marzeń Rogiński.

Do pokoju wsunął się młody, dwudziestoparoletni rzemieślnik z przekrzywioną od zgrozy twarzą i, nie zapomniawszy przyjąć wobec naczelnika postawy odpowiedniej, jednym tchem zaraportował:

– Panie naczelniku! Niestety! Księża reformaci rozgrzeszenia nie dają!

– Co pleciesz?! – zerwał się Rogiński. – Jakiego rozgrzeszenia?

Rzecz się wyjaśniła szybko. Stu kilkudziesięciu ludzi przed wyjściem do boju poszło do spowiedzi księży reformatów. Lecz tu nie poszło tak gładko, jak u kapelana drugiego pułku ułanów polskich w Huszcy. Zakonnicy przestraszyli się, że ich posadzą o współudział w napadzie i przy konfesjonałach jęli odmawiać swych penitentów od ryzykownego kroku, nie dając nawet rozgrzeszenia pod pozorem znajdowania się w stanie grzechu przeciw przykazaniu: nie zabijaj. Tłum skupiał się w kościele, zmieszany, zdemoralizowany, niepewny przedsięwzięcia. Więc zapaleńsi posłali po naczelnika.

Rogińskiemu, raptusowi z natury, zaiskrzyły się oczy. Narzucił kożuszek, schwycił czapkę i pędem ruszył do kościoła. Ręce mu dygotały, w kieszeni zaciskał nerwowo rewolwer.

– Zabiję, zamorduję, z dymem puszczyć! – przelatywało mu przez głowę.

Wreszcie dopadł do kościoła. Tłum ochotników powstańczych z uszanowaniem się rozstępował, dając przejście naczelnikowi. Już nie przy konfesjonałach, lecz w środku kościoła odbywała się dysputa. Z jednej strony zakonnicy z oburzeniem odpychali penitentów, z drugiej młodzież, jedni zapalczywie, inni na klęczkach, błagali lub nastawiali gwałtownie, żądając spowiedzi i rozgrzeszenia. Na to właśnie wpadł Rogiński. Ogniecie, chociaż niezbyt wymownie, zaczął zarzucać ojcom, że popełniają zbrodnię narodową, że gdyby szło o spowiedź żołnierza w służbie rosyjskiej, żołnierza, idącego wyrzynać własnych braci, toby mu rozgrzeszenie dali, a tutaj nie czynią tego jedynie z nędznego tchórzostwa. Wreszcie, coraz bardziej się rozgrzewając własnymi słowami, krzyknął:

– Żywcem tu was spalę! Z dymem puszcze klasztor, jeśli nie ustąpicie i nie wypełnicie obowiązku!

Musiła być w tej groźbie siła i jakaś prawda, bo księża cofnęli się i spowiadanie rozpoczęli.

Rozdrażniony Rogiński po chwili wrócił do domu. Nie miał już poprzedniego spokoju i pewności siebie, czuł, że część, może i znaczna część mieszczan ulegnie nastrojowi, wywołanemu przez księży reformatów, a naprawiać szkody już nie miał czasu, za kilka bowiem godzin należało stanąć do boju. Nie wiedział jednak, że już spadło nań nowe, kto wie, czy nie większe nieszczęście, które już w niwecz obróciło wszystkie jego rachuby.

Kapitan Suchodolski, dowódca konnej baterii nr 3, od kilku godzin siedział w swym mieszkaniu w ciężkiej zadumie. Należał on do kółek oficerskich rewolucyjnych, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, ot tak, dla mody, która opanowała inteligencję owego czasu, gdy być ugodowcem było to samo, co nosić żaboty, pończochy lub trzewiki ze sprzączkami. Rewolucja była hen, gdzieś daleko, jakaś nierealna, nie wkładająca żadnych obowiązków, a tym czasem przy spotkaniach z kolegami było tak miło drwiąco odezwać się o władzy, skrzywić się na wzmiankę o cesarzu, gorąco krytykować możnych tego świata, przed którymi było się takim maluczkim w życiu.

A oto przyszły realne obowiązki rewolucyjne. Jeżeli dotąd przymykał tylko oczy na szerzenie się spisku wśród żołnierzy swej baterii, to przecie widział to wszędzie naokoło. Czynił to cały rząd w swej łagodnej surowości, w swej uступliwości przed rewolucją.

Ale teraz trzeba było przejść przez Rubikon¹. Trzeba było zamknąć oczy na opanowanie przez powstańców baterii, za którą jest odpowiedzialny, trzeba było zamknąć oczy na rzeź swoich żołnierzy.

– A co będzie, gdy wojsko napad odeprze, a on jutro będzie musiał stanąć przed oczami komendanta, generała Mamajewa, i odpowiadać za niestawienie się podczas alarmu, za niespełnienie najkardynalniejszego obowiązku żołnierza?

Sąd wojenny, scena rozstrzelania mignęły mu w oczach.

– Brr!... Więc co? Czy można temu przeszkodzić? Przekonać Rogińskiego o niedorzeczności napadu?

– Ależ to niepodobieństwo, ten zapaleniec gotów go zabić, usunąć z drogi! Zresztą przekonać się nie da!

– Uprzedzić Mamajewa?

Wzdrygnął się narazie. Czarna to zdrada, wydanie na rzeź już nie swych żołnierzy, lecz kolegów ze spisku!

Rumieńcem wstydu spłonął narazie.

Lecz jest to właściwie jego obowiązkiem żołnierskim, tak mu nakazuje przysięga, którą składał po przyjęciu szlif oficerskich. Zresztą nikt o tym wiedzieć nie będzie. Pójdzie do Mamajewa, uprzedzi go o napadzie, wojsko stanie w pogotowiu, powstańcy nie ośmielą się napaść. Mamajewa zaś samego przekona o konieczności możliwie pokojowego załatwienia sprawy. Przecież znaną jest rzeczą, że namiestnik, wielki książę, mający duży wpływ na cesarza, jest stronnikiem łagodności rządów, stronnikiem reform liberalnych, główną podporą partii reformy i opiekunem urzędników, skompromitowanych za swe zbyt radykalne poglądy. Tak będzie i wilk syt, i koza cała. Jeżeli rewolucja ma w istocie siłę, to brak powodzenia w jakimś jednym miasteczku nie wpłynie na wypadki, a jutro, pojutrze najdalej będzie to widoczne.

¹ Rubikon – mała rzeczka, wpadająca do Adriatyku, na granicy starożytnej Galii Cisalpińskiej. Cezar, przekraczając Rubikon, rozpoczął decydującą wojnę z Pompejuszem i senatem rzymskim. Stąd „przejść Rubikon” – powziąć decyzję.

Jeszcze chwilką wahania – wreszcie pan kapitan drżącymi rękami przypasał szablę i, korzystając z wczesnego styczniowego zmierzchu, by nie być dostrzeżonym, wymknął się chyłkiem na ulicę. Za chwilę Mamajew przestrzeżony kazał uderzyć na alarm. Wszelkie plany Rogińskiego prysły, jak bańka mydlana!

Takich dworów, jak dwór pana Deskura, takich chat, jak chata Macieja w Huszczy, plebanij, jak dom księdza Nawrockiego, miasteczek, jak Biała, i ciężkich tragedij, jak los kapitana Suchodolskiego – było mnóstwo w dni owe w naszym kraju. Te same kłopoty, te same rozkazy i przeciwrzeczności, te same wahania i wątpliwości. Wszędzie to samo zmaganie się z okropnymi trudnościami wytworzenia z chaosu, a więc z niczego, jawnej, zorganizowanej siły zbrojnej. Przygotowania techniczne były zaniedbane już to dla braku środków, już to dla względów konspiracyjnych, dla uniknięcia rozgłosu i przedwczesnego wystawiania tych przygotowań na ciosy wroga, już to z przyczyn politycznych. Nie chciano dolewać oliwy do ognia i doprowadzić do wybuchów lokalnych, niezwiązanych z sobą w jakiś system. I teraz brak tej pracy, poprzedzającej wojnę, mścił się na każdym kroku, w każdej drobnostce. Tarcie przygotowań wojennych olbrzymiało, wywołane pośpiechem w sposób nieoczekiwany, zmniejszając niechybnie zarówno liczebność sił, jak i wartość ich techniczną. Tysiące malały do setek, setki topniały w dziesiątki, dziesiątki znikwały, rozwiewały się w mgłę nieuchwytną. A brak czasu – gdzie niegdzie rozkaz chwytania za broń przychodził na 12 godzin przed terminem wybuchu – potęgował grozę położenia, powodował rozpaczliwe szamotanie się w sieciach niemożliwości, wywoływał gorycz, brak wiary w powodzenie. W takich chwilach ludzie szukają oparcia moralnego. Jedynym tym oparciem była Warszawa, był Komitet Centralny, widoma głowa ruchu.

To też jeden gońiec za drugim pędził do stolicy z zapytaniami, wątpliwościami, z żądaniami. Pierwsi gońcy byli zwiastunami zdziwienia i przerażenia, które sam rozkaz wywołał. Zewsząd – z Podlasia, z Lubelskiego, z Kaliskiego, z północy i południa, ze wschodu i zachodu – słano zapytania: czy być może? Z czym pójdziemy? Nieledwie: czyście oszaleli?!

W Warszawie, jako zastępcy Rządu Tymczasowego, zostali trzej ludzie: Stefan Bobrowski, Władysław Daniłowski i Witold Marczewski: pierwsi dwaj młodzi, dwudziestokilkoletni akademicy, ostatni trochę starszy, inżynier kolejowy. Bobrowski, który rozumem, wolą i energią trójcy tej przewodził, odprawiał tych pierwszych gońców na razie łagodnym, lecz stanowczym słowem, potem ze złością i wzruszeniem ramion. Pamiętał, że ci sami ludzie, którzy teraz niepokoiли się i okazywali brak stanowczości, niedawno jeszcze argumentowali inaczej. Nie tylko zachęcali, lecz wprost wymagali, groźnie żądali wybuchu. Pamiętał, że wtedy w rozpacz, rozgoryczony brakiem zaufania, a przeświadczony o niemożliwości żądań, zdobył się na propozycję, by gremialnie z całym składem Komitetu Centralnego oddać się w ręce wroga. A teraz ci sami, ludzie tłumu bez pamięci, nastrojowcy, gdy wybiła godzina, ślą mu słowa mądrości, przezorności i... lęku. Wzruszył ramionami.

Lecz później przyszli gońcy ze sprawami technicznymi, z zapytaniami, które czuć było prochem, w których dojrzeć było można organizację wojenną, manewr bitewny. Tu bezradnie opuszczały się ręce wodzów narodu; żaden z nich najmniejszego o tym nie miał pojęcia; żaden nawet nie miał takiego odczucia luk w swym wykształceniu wojennym, jakie miał pan dziedzic z Horostyty.

Jeszcze gdy szło o pomoc materialną – parę groszy, kilka kozuchów, trochę prochu czy ołowiu – jeszcze w tych wypadkach energia i stosunki Rządu wystarczały. Lecz gdy miała być dana rada wojenna, wskazówka techniczna, gdy trzeba było uspokoić sumienia świeżych majorów i kapitanów, dodać im pewności siebie, gdy, słowem, szło o kierownictwo wojenne, o myśl przewodnią działań, brakło nie sił i energii, nie woli i serca, lecz głowy i zrozumienia rzeczy. W poczuciu więc własnej niemocy, w bezpłodnym wysiłku mózgów i nerwów malała wola, znikała stanowczość i decyzja. Impulsy z centrum życia rewolucyjnego były coraz słabsze i bledsze. Wkońcu w głównej kwaterze zwątpiono, czy w ogóle cokolwiek będzie, czy w ogóle rozkazy w jakikolwiek sposób będą wykonane i czy noc 22 stycznia, zamiast być Polski momentem dziejowym, nie będzie śmiesznością, przedmiotem dowcipów i drwin pokoleń następnych.

W posępnej trwodze oczekiwano wyniku, w trwodze tem większej, że tu na miejscu, w stolicy i sercu ruchu rewolucyjnego, wyglądało wszystko po dawnemu, bo w ogóle przygotowań nie poczyniono. Warszawa, promotor wojny, Warszawa, która dała do niej hasło, która wymusiła na Komitecie Centralnym ogłoszenie powstania, Warszawa wreszcie, najdotkliwszy, najbardziej cenny dla wroga punkt w całym kraju, – Warszawa zepchnęła cały ciężar wojny na drobne miasta, miasteczka, wsie nawet; sama niczem nie miała zadokumentować swej siły rewolucyjnej.

Tu, gdzie pracował mózg organizmu wojennego wroga, sztaby wojenne i kierownicy polityki nieprzyjaciela, gorący oddech walki bezpośredniej nie miał mu zamącić spokoju pracy, nie miał osłabić decyzji i woli. Błąd ten, błąd fatalny dla ogółu operacji, nie był jednak w ten właśnie sposób odczuwany przez młodych przedstawicieli Rządu. Gnębiła ich bardziej beczynność wojenna, czuli się upokorzeni, że nie są w szeregach walczących, tam, w drobnych miastach i miasteczkach. Po głowach snuły im się plany równie ryzykowne, jak sama rewolucja.

Więc Bobrowski rzucił się, by porwać brata cesarskiego, wielkorządcę Polski, Konstantego. Kilkunastu śmiałków, upatrzwszy odpowiednią chwilę, rozpędzi konwojujących kozaków i wielkiego księcia szybko wywiezie do lasów okolicznych. Bobrowskiemu, rozkochanemu w swym wodzu, wydawało się, że posiadanie w obozie tak cennego zakładnika od razu wyniesie Zygmunta Padlewskiego na czoło powstania, od razu uczyni go ogniskiem, koło którego skupią się wypadki rewolucyjne.

Daniłowski znowu przypomniał dawne plany Jarosława Dąbrowskiego, wówczas zamkniętego już w murach cytadeli. Twierdził, że trzeba rozbiec się po mieście niewielkimi grupami, wpadać do mieszkań dygnitarzy wojskowych i cywilnych, zabijać ich, wprowadzać dezorganizację. Wszystko to było ogólnikowe, mgliste, nieprzemyślane. Wszystko nie stało w żadnym związku, zrozumiałym choćby tylko dla autorów tego czy innego planu, z ogółem rozwijających się wypadków. Wreszcie ta trójca rządowa tak była zarzucona szczegółami i szczegółikami rozpoczynającego się już gdzie indziej życia wojennego, że mowy być nie mogło, aby się jeszcze na coś samodzielnego zdobyła. Warszawie sądzonem było milczeć tym razem, poprzestając na niesieniu pomocy powstającej prowincji.

W rosyjskiej kwaterze głównej nie oczekiwano wcale nadchodzących wypadków. Władze cywilne łudziły się nadzieją, żywiły nawet pewność, że po wyłapaniu najgorętszych i usunięciu najbardziej zapalnej młodzieży do szeregów wojskowych w głębi Rosji wszystko się uspokoi. Liczono na bezsilność ruchu rewolucyjnego, groźnego, co prawda, w słowach, lecz skrępowanego warunkami tajnej organizacji. Władze wojskowe szemrały, sądząc, że wojsko jest niezabezpieczone, a używane raz po raz do robót policyjnych, rozprasza się coraz bardziej po kraju. Lecz szemrania były ciche, nie odważono się na żaden śmielszy krok w sporze z władzą cywilną, ta bowiem miała poparcie u wielkiego księcia Konstantego. Jeżeli noc 22 stycznia zastała Polaków nieprzygotowanych do niej technicz-

nie i organizacyjnie, jeśli wypadki postawiły przed Polakami nadzwyczaj trudne zadanie nagłego zaimprovizowania siły zbrojnej bez jakiegokolwiek przyzwoitego przygotowania do niej, to Rosjan zaskoczyła ona psychicznie. Organizacja i technika były u nich gotowe, jak w każdej regularnej armii, co prawda, osłabione rozproszeniem armii po kraju, lecz duchowo wojsko do wojny się nie gotowało, w stanie wojny się nie znajdowało i wszystkie korzyści inicjatywy działań i niespodzianki przypadały Polakom, jakby dla częściowego przynajmniej wyrównania szans boju.

Na olbrzymim placu bitwy – a takim placem nocy 22 stycznia miało być cała Kongresówka – stali naprzeciw siebie dwaj przeciwnicy. Jednym była rozproszona na drobne oddziały i jeszcze dyplomatyzująca armia rosyjska, silna swą techniką i organizacją. Drugim były koncentrujące się w ostatniej chwili z luźnych atomów oddziały polskie, lichy uzbrojone, a liczące na niespodziany nocny napad w połączeniu z pomocą, której spiskowi sojusznicy mieli udzielić od wewnątrz obozu nieprzyjacielskiego.

Największe natężenie ruchu powstańczego istniało w Płockim, na Podlasiu i Sandomierskim. Reszta kraju albo, jak Lubelskie, nie miała wodzów, albo też brakło jej dostatecznej ilości dostatecznie podnieconych żołnierzy, jak było na całym zachodzie: w Kaliskim, Krakowskim, a w wielkim stopniu i na Mazowszu. W tej części placu boju co powyżej liczyć było można na drobne, nieznaczne i nie mogące wpłynąć na losy boju utarczki. Główne uderzenie musiało nastąpić tam, gdzie się ześrodkowały główne, chociaż jeszcze rozproszone, siły spisku, to jest na całym wschodzie.

W Płockim, na Podlasiu, w Sandomierskim wreszcie, półkolem otaczając serce ruchu i stolicę kraju, miał wybuchnąć bój – walka zdradliwa i rozpaczna, jaką zawsze jest starcie powstającego ludu z „prawnie” istniejącą władzą, opartą o całą potęgę techniki wojskowej, jaką posiada każde państwo. Kosy miały się zderzyć z bagnetami i karabinami, myśliwskie strzelby miały sprostać armatom. Pomocą zaś w nierównej walce miała być noc ciemna, niespodzianka, wreszcie zdrada w obozie nieprzyjacielskim – ułatwienie napadu przez spiskowych oficerów w armii rosyjskiej.

Czy dlatego, że energiczniej szła przygotowawcza praca na Podlasiu, czy że silniejszymi okazały się tam charaktery, właśnie w tej części kraju bój wypadł najkrwawszy. Brak czasu i broni, przeciwdziałanie przeciwników powstania wśród Polaków i tu, jak wszędzie, przeszkodziły w wielu miejscach części spiskowych wyruszyć w pole. Niektóre więc planowane napady zawiodły najzupełniej, czy to z braku dowódców lub żołnierzy, którzy zgodnie z prawami wojska ochotniczego zostali w domu. Zamiast sześciu tysięcy, które miano wystawić przeciw sile wroga, wyższej liczebnie, zaopatrzonej w artylerię, zaledwie 1500 ludzi stanęło do rzeczywistego boju.

Tysiąc pięćset ludzi, zebranych w ostatniej chwili, więc niespojoych organizacją wojskową, ludzi, którzy najczęściej broni w ręku nigdy nie mieli! Trzeba było szaleństwa decyzji rewolucyjnej, by w tych warunkach bój rozpoczynać. Trzeba było naiwnej w duszach wiary, rozwijanej i potęgowanej przez długotrwały okres wrzenia rewolucyjnego, podczas którego wszystko, co jest władzą, powoli w proch się rozkładało, przestając otoczenie zmuszać do posłuszeństwa już to swą powagą, już to postrachem kary. Trzeba było tej ogromnej przemocy moralnej, z jaką każdy ruch rewolucyjny występuje w stosunku do swych zwolenników, a nawet do przeciwników swych dążeń. W chwili wybuchu, gdy technika i sprawność wojenna nie wypowiedziały swego słowa, wyraźnego aż do brutalno-

ści, powstającemu ludowi w całej rozciągłości sekunduje jeszcze ta siła, która w okresie przedwybuchowym w ścieraniu się ze stroną przeciwną świeciła same prawie triumfy, zmuszając wroga do cofania się przed nią – sekunduje mu siła moralna. Jeszcze w chwili samego wybuchu odnosi ona dziwaczne nieraz zwycięstwa!

Oto na skrajnym wschodzie placu boju nastąpiło spotkanie dwóch przeciwników. Jeden z nich to generał Mamajew, komendant garnizonu w Białej. Uprowadzony, jak widzieliśmy, przez zdradę jednego ze spiskowych oficerów, kazał uderzyć na alarm i zaraz po dziewiątej wieczór wytoczył na rynek miasta wszystkie swe siły. Więc ośm dział odprzodkowanych, gotowych do strzału, stanęło pośrodku. Osłoniła je ze skrzydeł kompania piechoty, a dokoła, jako flankierzy i wywiadowcy, rozsypali się kozacy. W ciemnościach wilgotnej, dżdżystej nocy styczniowej zabłyśły ognie, suto wpośród rynku rozpalone. O nagłym, niespodziewanym zawładnięciu armatami, o zniesieniu siły rosyjskiej podstępny napadem nocnym mowy być nie mogło. Wstępny bój toczonym być musiał otwarcie – jawnie trzeba było pokazać, czy kosy, drągi, siekiery, a w najlepszym razie śrutem nabite rusznice są zdolne do pojedynku z działami i gwintowanymi karabinami, z całą techniką wojska, w swym przepychu i dumie ześrodkowaną na rynku małego miasteczka.

Naprzeciw, u wylotu jednej z ulic na rynek, zaczęła się zbierać gromadka powstańców pod dowództwem młodego Rogińskiego, którego śmiałe zamiary wniwecz się obróciły. Spiskowi bialscy ściągali się powoli i leniwie. Zdemoralizowani przez kontragitację księży reformatów, przestraszeni widoczną przemocą wroga, przygotowanego do odparcia napaści, rzemieślnicy bialscy haniebnie dezertowali z szeregów spiskowych. Do godziny jedenastej wieczór zebrało się zaledwie sześćdziesiąt kilku ludzi, którym rozdano kosy, siedm dubeltówek i cztery pojedynki myśliwskie. Kilkunastu żołnierzy Polaków z baterii nieprzyjacielskiej otwarcie wyszło z szeregów, by stanąć z bronią – pałaszami – po stronie powstania. I ta drobna garstka, wyglądająca na wyprawę myśliwską, wracającą z obławy na leśnego zwierza, przez parę godzin w trwożnym napięciu nerwów stała o paręset kroków naprzeciw oddziału z trzech rodzajów broni, gotowego do boju. Jedno poruszenie, jedno nieznaczne pokręcenie korby u gotowej maszyny wojskowej wystarczało do zgniecenia śmiałków! A jednak tylko ponure milczenie zalegało na rynku, milczenie, które zalegać musi duszę małego zwierzaka, zahipnotyzowanego przemocnym spojrzeniem boadusiciela.

Jednak zdolnym do ruchu w tym wypadku okazał się nie boadusiciel! Rogiński z samego rynku pchnął posłańców-pocztarków, którzy z odgłosem trąbki pocztowej rozbiegli się w różne strony, jako adiutanci, pędzący do sąsiednich oddziałów z prośbą o pomoc. I znowu minuty za minutami, kwadranse za kwadransami mijały w śmiertelnym oczekiwaniu. Wreszcie o pierwszej w nocy Rogiński znowu na ruch się zdobywa.

Tym razem postanawia ustąpić z placu, lecz ze śmiałością ostatecznej determinacji kazał swej garstce niejako defilować przed siłą nieprzyjacielską – przejść na ukos rynek, by zniknąć w innej ulicy, prowadzącej w stronę Janowa, skąd najszybciej nadciągnąć mogła pomoc. Więc naprzód poszli dezertrzy-kanonierzy z kosą w rękę, w końcu, przykrywając marsz, jedenastu strzelców z Rogińskim, uzbrojonym w rewolwer, na czele. „Była taka cisza – pisze Rogiński, – że słyhać było tylko szmer równo posuwających się kroków i nieomal bicie serca każdego”.

Rynek przebyli szczęśliwie i wówczas dopiero Mamajew puścił w pogoń kozaków, których odstraszono paru strzałami.

Któż więc w tym bezkrwawym zmaganiu się sił był hipnotyzerem? Czy bezczynna i bezwładna w swej masie zbrojnej siła rosyjska, jako wojsko – zdemoralizowana zdradą oficerów i żołnierzy, czy garstka prawie bezbronnych straceńców, spokojnie defilujących przed najeżonym bagnietami frontem wroga?

Dopiero o milę od Białej Rogiński spotkał nadciągające opóźnione oddziały księdza Rozwadowskiego i Wolanina, liczące razem trzystu ludzi.

Mamajew zaś wystraszony tą bezkrwawą bitwą, śłał gońców jednego za drugim, by ściągnąć do Białej większe siły, jakgdyby mu nie wystarczyły dotychczasowe. W kilka dni potem Rosjanie opuścili Białą, wycofując wojsko do Siedlec i sąsiedniej fortecy – Brześcia.

Nie wszędzie jednak na Podlasiu bój był tylko zmaganiem sił moralnych. Gdzie tylko czynnik niespodzianki mógł być wyzyskanym należycie, bój był przeprowadzony nieraz z rozpaczłą energią.

Więc w Kodniu Nencki z furją wpadł na paruset żołnierzy, stanowiących załogę miasteczka i będących obsługą parku artyleryjskiego. W jednej chwili rozprężone i rozproszone siły rosyjskie w bezładnym popłochu opuściły miasteczko, oddając na łup zwycięzcom niewielki skład broni i naboju. Kilkunastu żołnierzy z oficerem, wziętych do niewoli, świadczyło o zupełnym zwycięstwie.

Więc w Łomazach znany nam zaścianek szlachecki Huszcza tak samo znienacka wpadł na szwadron ułanów, rozbił go w puch, zabrawszy ryszczunek i wielką ilość koni.

Wreszcie w Łukowie ksiądz Brzózka, który z czasem miał się wślawić, jako ostatni partyzant Polski, nie schodzący z pola walki jeszcze na wiosnę 1865 r., nagłym napadem wyrugował z miasta dwie kompanie piechoty, zabrawszy sporą ilość broni.

Gorzej poszło w samych Siedlcach i Radzynie, gdzie bitwy były najkrwawsze i gdzie po krótkim starciu plac boju został przy Rosjanach.

W Siedlcach przewodził Polakom wódz Podlasia, pułkownik Lewandowski. Jak wszędzie, tak i tutaj, poprzednie obliczenia zawiodły. Większość ochotników nie stanęła do apelu, już to z przyczyn usprawiedliwionych, jak najrozmaitszych przeszkód technicznych, już to ulegając moralnej depresji w ostatniej chwili. Przy najpesymistyczniejszym obliczeniu sądzono, że stawi się najmniej tysiąc ludzi; w rzeczywistości stawiło się koło trzystu, zaledwie trzecia część tego, na co liczyli pesymiści. Świeży żołnierz, lichy uzbrojony, niepewny w swych poruszeniach, po raz pierwszy zobaczył swego naczelnika w nocy przed samym bojem. Nawet zewnętrzna jego postać nie mogła być dokładnie rozeznana, a Lewandowski sam, spostrzegłszy wahanie się ludzi, nie zdecydował się uderzyć na silną załogę siedlecką. Cofnął się więc o pół mili, by znieść kompanię, osobno stojącą w Stoku Lackim, tym bardziej, że tu właśnie ześrodkowane były składy 19-go pułku kostromskiego, podówczas rozsypanego drobnymi załogami po kraju.

Pierwszym nagłym uderzeniem Polacy opanowali składy i odrzucili kompanię do wsi, gdzie żołnierze, instynktem samym prowadzeni, roztarasowali się po chałupach, odstrzelując się napastnikom. Ciemna noc, obok niedostatecznej organizacji wewnętrznej i spistości świeżego wojska polskiego, nie dały możliwości przeprowadzenia z powodzeniem trudnego względnie zadania stopniowego wyparowania żołnierzy rosyjskich z osiedli. Powstańcy stanowili bezładną kupę ludzi, z którą złożonego manewru niesposób było wykonać. Poprzestano więc na utrzymywaniu gęstego ognia ze strzelb i zdobytych karabinów i z najbliższej tylko podpalonej chałupy zdołano wyrzucić obrońców wioski. Oczekiwano świtu, ażeby z większą łatwością móc zorganizować oddział i użyć go jako siły zorganizowanej do skończenia zaczętego dzieła.

Lecz nad ranem z Siedlec i niedalekiej Białki nadbiegła odsiecz w postaci trzech kompanij piechoty i sotni kozaków. Niezorganizowane wojsko polskie okazało się niezdatnym do dłuższego oporu. Oddział zaczął się rozpręgać, cofać grupami do pobliskiego lasu, wreszcie o samym świcie bój ustał. Polacy, nieścigani przez Rosjan, lecz zdeorganizowani długim bojem, prawie w zupełnej rozsypce rozeszli się w różne strony. Sam zaś Lewandowski z niewielką garstką ludzi uszedł, by szukać innych podwładnych mu oddziałów.

Dziedzic z Horostyty – pan Deskur – miał prowadzić atak na Radzyń. Rozstaliśmy się z nim w chwili, gdy zrozpaczony musiał porzucić sklecone z takim mozołem atomy podwładnej mu siły zbrojnej. Zgodnie z planem, ułożonym jeszcze w spokojnej Horostycie, miał on stanąć pod lasem o dwa kilometry od Radzyna wieczorem 22 stycznia, by tam oczekiwać na przymarsz zebranych ludzi. Po drodze, dla pewności, bo był sam jeden, jak palec, zabrał z sobą Jerzmanowskiego, człowieka starszego, kiedyś, w 1848 r., za spiski zesłanego na Syberię. Jerzmanowski od stóp do głowy zbroił się na wyprawę. Wreszcie pan major stanął u celu – na skrzyżowaniu kilku dróg, którymi nadciągnąć mogli jego ludzie. Mrok zapadał, mokry śnieg zaczął sypać. Jerzmanowski został na skrzyżowaniu dróg. Deskur zaś sam udał się na skraj lasu, skąd mógł zdala obserwować Radzyń i spotkać spiskowych mieszczan radzyńskich.

Chwila za chwilą mijały w przykrym oczekiwaniu. Niepewność gryzła pana majora: – Czy też uda się misterny plan skoncentrowania wszystkich atomów – ludzi i broni – pomimo wszelkich przeszkód w jednym punkcie? A tu nagle nowe nieszczęście! Zdała zbliżał się turkot szybko jadącego wozu, rozlegały się dźwięki trąbki, po chwili padły dwa strzały, a koło zdumionego majora w pełnym cwale przemknął wóz z dwoma żołnierzami rosyjskimi. Na skrzyżowaniu dróg Deskur Jerzmanowskiego nie zastał.

– Wszystko stracone! – oto pierwsza myśl, która przemknęła przez głowę nieszczęśliwego majora. Kłopoty organizacyjne, niepewność oczekiwania samotnego, mokry śnieg, wreszcie alarm niespodziewany, wszystko to razem z równowagi duchowej wyprowadziło Deskura. Włosy mu dębem stanęły na głowie, a język kołkiem w ustach – jak to sam znacznie później opisał w swym pamiętniku. Miał jednak tyle odwagi i hartu, by straconego, jak mu się zdawało, posterunku przecież nie opuścić.

– Nie wydawać przynajmniej na łup nieuprzedzonych powstańców! – myślał; i znowu naczelnik siły zbrojnej parę godzin spędził pod krzakiem w oczekiwaniu swych ludzi.

Był szczęśliwszym od innych, na przykład, od Oxińskiego w Kaliskiem, który tej samej nocy w takiej samej samotności doczekał się w ciągu nocy jednego – wyraźnie jednego tylko – ochotnika. Pan Deskur już o jedenastej wieczór doczekał się swego przyjaciela Jasińskiego, który z Horostyty przyprowadził na punkt zborny stukilkudziesięciu ludzi i trochę broni: 40 dubeltówek i 100 kos. Broni, nawet tej lichej, było tak mało, że mając na uwadze konieczny udział mieszczan radzyńskich w boju, nowych przybywających ochotników pan major odprawiał z kwitkiem, jako zbyt ciężki balast dla swego oddziału.

O dwunastej nareszcie pojawili się dawno oczekiwani mieszcianie z Pyrkoszem i Prądzynskim na czele, z gołymi rękoma, nawet bez siekier. Niektórzy otrzymali kosy, reszta poszła z drągami. Nowiny z miasta były uspakajające. Oficerowie, w dwóch miejscach zebrani, grali w karty i hulali, żołnierze spali snem sprawiedliwych. Co prawda, wobec braku broni w oddziale panowało przygnębienie, lecz pan major opanował ludzi i wydał rozkazy.

– Przede wszystkim wziąć w swoje ręce naczelników! – brzmiało polecenie.

Pyrkosz miał prowadzić mieszczan na jedno z mieszkań, gdzie byli zebrani oficerowie. Otoczyć ich, ubezwładnić i postąpić z nimi, jak nakażą oficerowie spiskowi, – oto było jego zadanie. Drugiej części oddziału Michałowski miał użyć dla ujęcia głównego komendanta wroga – generała Kannabicha, który u Chwoszczyńskiego, oficera żandarmerii, grał w karty. Wreszcie na główną wartę i koszary artylerii sam pan Deskur prowadził resztę oddziału: 14 strzelców i 40 kosynierów. Rozpoczyna Pyrkosz, który dla dania sygnału innym zapalił słomę, złożoną dla artylerii w rynku.

W rozkazach nie było tej ścisłości i pewności siebie, jaka była pożądana. Pyrkosz czynności swe miał uzależnić od nieobecnych w tej chwili oficerów spiskowych, którzy mogli się zachwiać w postanowieniach. Zapalenie zaś słomy, jako sygnału, świadczyło, że

ludzie, nie wyłączając samego dowódcy, majora Deskura, żądali jeszcze jakiegoś zewnętrznego znaku na dowód, że wojna w istocie się zaczyna. W głębi bowiem duszy jeszcze nurtowały wątpliwości, czy w ogóle to jest możliwym, czy przypadkiem którykolwiek z zebranych nie cofnie się w ostatniej chwili. Bo poza tym uzewnętrznieniem niejako rozkazu rozpoczęcia robienia alarmu w mieście, na które niespodzianie się napada, oświetlenie placu boju, gdy się chce własną ukryć niemoc – najmniej było wskazanym.

Bądź co bądź jednak ułożono plan cały i wyprawa ruszyła na miasteczko, migocące w mglistej dali paru świetlnymi punktami, oświeconymi oknami czuwających jeszcze, a nie spodziewających się nadchodzącej burzy mieszkańców. Pyrkosz, który dla dodania animuszu trochę sobie podchmieleł, zapalił słomę w rynku, otoczył mieszkanie z oficerami i sam, wszedłszy do środka, zwrócił się do zebranych z długą i zawiłą przemową. Jak pod Ciołkowem nieszczęsny pułkownik Kozlaninow, tak w Radzynie biedny łyk miejski szedł w burzę z gałązką oliwną pokoju, szukając u swych wrogów odczucia i zrozumienia. Podzielił też los swego rosyjskiego poprzednika. Major Borozdin – najstarszy oficer wśród zebranych – od razu wyraził zgodę na propozycję apostoła pokoju, a uspiwszy jego czujność, wysłał ordynansa po żołnierzy. Po krótkiej chwili pozornego zbratania się wybuchnęła nagle ostra, bezwzględna walka. Sprowadzeni żołnierze wcale nie pokojowo wpadli na Polaków. Zakłóty bagnetami padł Pyrkosz wraz z większością swych podkomendnych.

Michałowski szybciej sobie poradził z Kannabichem. Ciężko ranny generał i steroryzowani oficerowie, przy nim obecni, zostali usunięci z pola walki.

Warta główna i straż przy armatach jednym gwałtownym uderzeniem Deskura została rozproszona. Część legła pod uderzeniami kos, reszta rozbiegła się w panicznym strachu. Działa i jaszczce bezbronne stanęły do dyspozycji zwycięzców.

Lecz jak ruszyć je z miejsca? – Koni! koni! Pół królestwa za konie! – mógłby być zawołać pan Deskur słowami Ryszarda Trzeciego¹.

Konie były tuż obok w stajni. Lecz żołnierze, widząc, co się święci, już zamknęli drzwi i z różnych otworów rozpoczęli bezładny, lecz huczny ogień na powstańców, oświetlonych blaskiem płonących w rynku stert słomy.

Jeszcze chwila oporu i rozpaczliwego wysiłku, by zwycięstwo, które już się Polakom uśmiechało, przechylić na swoją stronę. Lecz już z innej strony szła odsiecz obłożonym Rosjanom. Część piechoty po załatwieniu się z Pyrkoszem i jego ludźmi, oswobodziwszy oficerów, ruszyła na jedyną teraz siłę polską, walczącą koło stajni artyleryjskich. Zabici i ranni padali gęsto. Wreszcie siła moralna wyczerpała się i wszystko rozprysło się w różne strony.

Deskur z wiernym przyjacielem Jasińskim, zrozpaczeni, pełni zwątpienia w siły powstania i możliwość powodzenia, sami zostali pod miasteczkiem. Na punkcie zbornym, wyznaczonym zawczasu w razie niepowodzenia, nie było nikogo. Biedny pan major postanowił szukać oparcia u swej bezpośredniej władzy – u pułkownika Lewandowskiego. Ruszył samotrzeć pod Siedlce.

Na Podlasiu, w środku olbrzymiego półkola, na którym w nocy 22 stycznia bój wydano, stało ze strony polskiej 1500 lichu uzbrojonych, naprędce zebranych, organizowanych dopiero w ostatniej chwili bojowników. Przeciwno sobie powstanie podlaskie miało samej piechoty do 5000; 32 działa z odpowiednią obsługą gotowe były rozpocząć dzieło zniszczenia. Ku pomocy zaś swojej wojska te posiadały tysiąc kilkuset kawalerzystów, zdatnych do szybkiego pościgu czy osłony miejsc zagrożonych. W boju 22 stycznia nie wszyscy żołnierze rosyjscy udział wzięli. Zaledwie 3000 ludzi nocy tej odczuło na sobie oddech otwartej walki – i tak podwójna przemoc w samej liczbie w stosunku do Polaków,

¹ Ryszard III (1452–1485), król angielski.

nie licząc już przewagi w broni, a przede wszystkim w tężyznie organizacji, opartej na silnej, bezwzględnej dyscyplinie.

A jednak, gdy na szarym, zimowym niebie rozbłysnął świt poranny, zwiastując krajowi pierwszy dzień długiej wojny, nie tylko Polacy, odparci od obiektów ataku, a nawet cofający się z miejsc, przez siebie zdobytych, jak w Kodniu, Łukowie i Łomazach – nie tylko Polacy znajdowali się w rozterce duchowej i niepewności jutra. Rosyjskie wojsko, nawet zwycięskie, nigdzie nie zdobyło się nawet na cień pościgu. Przerwane komunikacje pomiędzy drobnymi, rozsypanymi po kraju oddziałami rodziły chwiejność decyzji, bojaźń o los swój jutrzejszy, przenikającą wojsko rosyjskie od góry do dołu, od dowódców kompanij, szwadronów, batalionów do ostatniego żołnierza. Bezwiednie oglądano się dokoła, czy w jakim kącie nie czyha zdrada, bezwiednie, wobec własnej nieświadomości, szukano oparcia w przypuszczalnej wszechwładzy władz centralnych.

Podlasie, stanowiąc centrum w boju 22-go stycznia, przez powstanie w Augustowskim na północy łączyło się ze skrzydłowym uderzeniem w Płockim, a na południu wiązało się przez Lubelskie z siłą sandomierską. Tam, na skrzydłach, według planu skupione być miały główne siły, tam dzielna szlachta zagonowa z pod Siedlec, Łukowa i Białej miała prawo spodziewać się rozstrzygających, silnych uderzeń, dla których jej drobne, bohater-skie podjazdy i szarpanie wroga miały być tylko pomocą demonstracyjną. W sąsiednich województwach, augustowskim i lubelskim, organizacja spiskowa albo była słaba (Augustowskie), albo też osłabiona aresztowaniami i zdeorganizowana brakiem technicznego kierownictwa.

To też w obu połaciach kraju, będących wiązkami centrum Podlasia ze skrzydłami, ruch nie przybrał większych rozmiarów. W Augustowskim Zameczek (Cichorski) zebrał kilkuset ludzi sprzysiężonych i z nimi wyruszył z Łap pod Surąż, gdzie niespodzianym napadem rozproszył stojącą tam załogę – kompanię piechoty. Czyn, który odegrać żadnej poważnej roli nie mógł, zostawiał zaś bez naruszenia główną arterię ruchu – świeżo zbudowaną kolej z Warszawy do Petersburga. Już w tydzień potem tą drogą będą szły transporty gwardii, przesłanej do Warszawy. W samych zaś Łapach, skąd wychodził oddział, złożony właśnie ze służby kolejowej, znajdowało się duże „dépôt”¹ kolejowe i, co ważniejsze, duży most kolejowy przez Narew. Zresztą to przepomnienie wynikało prawdopodobnie z ogólnego wówczas nieoswojenia się z tym potężnym środkiem komunikacyjnym. Ludność bardziej ciążyła ku szosom, drogom bitym, ułatwiającym ruch wozowy, niż ku nieznanym jeszcze nowince z Zachodu – kolei żelaznej. Drugi napad, na Wysokie Mazowieckie, prowadzony następnej nocy, i leśny bój pod Mężeninem, wstrzymujący kolumnę rosyjską w jej przemarszu do Łomży, były dopełnieniem ruchu w Augustowskim, w pobliżu kolei petersburskiej.

W Lubelskim jedyny napad na Lubartów był bliźniaczo podobny do opisanego wyżej napadu Deskura na Radzyń. I tu pierwszym impetem nagłego napadu zdobyto 8 dział – całą baterię. I tu opór żołnierzy rosyjskich, z własnej inicjatywy biegnących z odsieczą, nie pozwolił skorzystać z pierwszego sukcesu. I tu wreszcie krótka bitwa rozprzegła w zupełności niespojęte dłuższą organizacją szeregi polskie, tak, że wodzowie polscy, tak, jak Deskur, o świcie znaleźli się bez żołnierzy, sami, z rozpaczą i zniechęceniem w sercu. Gdzie indziej w tym województwie wobec braku sprężystej i jednolitej władzy wojskowej

¹ Dépôt – skład, magazyn.

nie doszło nawet do boju. W różnych miejscach zebrały się mniejsze lub większe grupy, które nie ośmieliły się zająrzeć nieprzyjacielowi w oczy, a nawet niekiedy po prostu rozeszły się (pod Krasnystawem) zaraz po zbiórce.

W Płockim, na północnym skrzydle, powstanie miało według planu wydobyć możliwie wielkie siły, by od razu zdobyć podstawę dla dalszej walki. Podstawa, co prawda, słaba wobec wielkiej bliskości nieatakowanej Warszawy i Modlina, nietrzymanych na wodzy żadną inną siłą. Lecz możliwość szybkiego ściągnięcia właśnie z Warszawy wielkiej ilości spiskowych przemawiała za tym, by tu najcięższy cios zadać. To też tu jedynie, czyniąc wyjątek w ogólnej taktyce, kuszono się o zdobycie jednej ze stolic administracyjnych i wojskowych ówczesnej Polski – Płocka, siedziby komendanta 6-ej dywizji piechoty wraz z jego sztabem i zarządem wojennym olbrzymiego kawału kraju, obejmującego dwa województwa – płockie i augustowskie.

Do Płocka, po jego zdobyciu przez powstanie miał się przenieść Rząd Narodowy, by jawnym, dla wszystkich widocznym ukazaniem się wesprzeć sprawę powstania. Tam też spieszył główny dowódca wojenny ruchu, Zygmunt Padlewski. Tym czasem jednak koncentrował siły powstania w tej okolicy i przygotowywał napad Bończa, inaczej Błaszczynski, były kapitan artylerii rosyjskiej.

Siły, zbierane do napadu na Płock, były względnie liczne, przynajmniej tak wyglądały przy rachunku na papierze:

– Pięć, sześć tysięcy! co najmniej tyle! – z pewną niechęcią myślał Błaszczynski przed napadem. – Czy nie za wiele? Trudno będzie opanować tak dużą gromadę świeżych żołnierzy! A zabraknie gdzie indziej! Kto zaatakuje Pułtusk, Maków i inne załogi, gdy wszystko, co żyje, pociągnie pod Płock?

– A zresztą – myślał dalej – organizacja miejska z Płocka samego też coś warta i ostatnie jej doniesienia świadczą, że załoga się zmniejszyła. Prawie połowę jej wysłano na te głupie rekonesanse...

W istocie, z załogi płockiej wymaszerowały w różne strony drobne oddziały dla „łapania żywcem” dezertów warszawskich i płockich. Rekonesanse wszystkie, z wyjątkiem nieszczęsnego Kozłaninowa, uderzyły w próżnię, osłabiwszy zato znacznie garnizon miasta.

Generał Mengden, który zastępował nieobecnego naczelnika dywizji, generała Lemcke, dnia tego miał pod swoją komendą zaledwie 400 piechoty i garstkę kozaków. Siły nie liczne, tym słabsze, że prawie połowę piechoty stanowili inwalidzi, żołnierze starsi, trochę zdemoralizowani na pół cywilną służbą, którą pełnili. Akurat dnia tego nadbiegła wiadomość o śmierci Kozłaninowa i rozbiciu przez Rogalińskiego jego oddziału pod Ciołkowem. Jakieś przygnębienie zawisło nad wojskiem. Lecz było to zarazem ostrzeżenie, – ostrzeżenie, dane w porę, gdy burza, której nikt się nie spodziewał, już wisiała nad głową.

Drugim ostrzeżeniem było zerwanie połączenia telegraficznego z Warszawą, a raz po raz do miasta dochodzić zaczęły głuche, trudne do skonstatowania dla tak słabej siły pogłoski o jakichś podejrzanym ruchach grup ludzkich w okolicy. Baron Mengden postanowił mieć się na ostrożności. Z energią, nieznaną gdzie indziej wśród dowódców rosyjskich, od razu zawiesił nad miastem stan oblężenia.

O piątej wieczorem ognie miały być zgaszone wszędzie, bramy domów i sklepy pozamykane, a na miasto poszły gęste patrole dla przeszukania ulic i zaułków, dla usunięcia najniebezpieczniejszego, bo wewnętrznego wroga.

Cios był wymierzony dobrze, uderzał w najsłabszą stronę planu polskiego. Błaszczyński bowiem nie komu innemu, jak właśnie owemu wrogowi wewnętrznemu – organizacji miejskiej w Płocku – oddał rozpoczęcie ataku, chcąc z siłą zewnętrzną, zebraną poza miastem, nadejść jakby z rezerwą, dla rozstrzygnięcia zwycięstwa. Błąd ciężki i w skutki brzemienny.

Więc nie wojsko, chociażby nie wiem jak liche, ale zawsze już wojsko, które przewyciężyło niesłychane przeszkody budownictwa wojskowego z luźnych, rozproszonych atomów – nie ta siła, zebrana już i znajdująca się w ręku wodza, miała wziąć na siebie najtrudniejsze zadanie. Bo zadanie trudnym było w istocie. Przewyciężyć trzeba było przede wszystkim naturalną nieufność do sił własnych i naturalną bojaźń przed siłą, widocznie dla każdego przeważającą pod względem technicznym i organizacyjnym. Wreszcie zdobyć się trzeba było na szaleństwo decyzji działania, podobnego do rzucania się z motyką na słońce, działania, wymagającego jednak pewnej organizacji sił własnych. A czyż ta organizacja nie była stokroć trudniejszą na terenie miejskim, będącym w zupełnym do ostatniej chwili posiadaniu nieprzyjaciela, niż na terenie poza miastem, gdzie już udało się skleić luźne atomy siły zbrojnej w jaką taką organizację?

Błąd to był ciężki, powiększony jeszcze przez nakaz bicia w dzwony, alarmowania nie tylko swoich, lecz i nieprzyjaciela, który najsłabszym był właśnie wtedy, gdy niczego się nie spodziewał, silnym zaś się stawał, gdy był ostrzeżony i w zupełnym pogotowiu mógł wytoczyć całą swą przewagę techniczną.

Jednak organizacja miejska czyniła rozpaczliwe wysiłki, aby podołać zadaniu. Pomiędzy stanem oblężenia grupy i pojedynczy ludzie ściągali zaczęli na umówione miejsce. Broń, ukryta na sobie, staranność w zachowaniu pozorów – to była metoda zbierania siły zbrojnej. Lecz patrole Mengdena robiły swoje, wnosząc dezorganizację do operacji organizacyjnej, i bez nich nadzwyczaj zawiłą i trudną. Ludzie, śpieszący na zbiórkę, zamiast trafić na wyznaczone miejsce, trafiali często do aresztów, zbici i sponiewierani przez patrolujących żołnierzy. Wojsko wykryło nawet parę punktów zbórnych, gdzie od razu wyrwano z szeregów całe grupy, przygotowujące się do boju.

Pierwszy krok okazał się fałszywym. Alarmował coraz bardziej nieprzyjaciela, wprowadzając do własnych szeregów najgorszą dla świeżego wojska chorobę – dezorganizację i zamęt. Hasło napadu opóźniało się coraz bardziej, a gen. Mengden grupami wojska obsadzał najważniejsze punkty miasta, powoływał pod broń ludzi z poza frontu: rzemieślników, służbę oficerską, słowem, stawiał w pogotowiu bojowym wszystko, co miał na swe rozporządzenie.

Poza miastem tym czasem na oznaczone punkty ściągala się rezerwa Błaszczyńskiego. Na odbytej poprzedniego dnia naradzie poszczególnych dowódców punkty te zostały wybrane dokoła miasta. Znowu dziwne nieporozumienie. Jeżeli rozpoczynać miało już miasto, jako wróg wewnętrzny, to rezerwa, skupiona w jednym miejscu, byłaby najodpowiedniejszą. Byłby ułatwiony przegląd sił, ich celowe i odpowiednie zorganizowanie dla walki, wreszcie, co najgłówniejsze, użycie ich zgodne ze zmiennymi losami boju, rozpoczętego w mieście. Było to tym konieczniejsze, że trudno było liczyć na to, aby liczby powstańców, zestawione na papierze, odpowiadać mogły smutnej nieraz rzeczywistości armii ochotniczej, organizowanej dopiero tuż przed bojem.

W istocie też obliczenia zawiodły. Gdzie liczono na tysiące, stały się setki, gdzie chciano mieć setki, stały do dyspozycji dziesiątki zaledwie. Drobne te grupy ze zmniejszoną wiarą w swe siły już z powodu swej niewielkiej liczby w wahaniu i niepewności, czy

nie należy jeszcze czekać na nadejście większej ilości ochotników, wyczekujące na chwilę działania w ulewnym deszczu, nie mając pomiędzy sobą komunikacji i łączności, stawały się w swej męce oczekiwania coraz mniej podatne do wyrównania szans boju w mieście.

Wreszcie w przepojonym wilgocią powietrzu jęklivé zabrzmiały dźwięki dzwonu. Było około godziny pierwszej w nocy. Pomimo strat, poniesionych przy zbiórce, część odważniejszych z organizacji miejskiej biegła na miasto, nawołując mieszkańców do broni i walki. Była to raczej demonstracja, mogąca nieco rozproszyć siły nieprzyjaciela, niż zamierzone zapoczątkowanie boju, wiążące wroga, zużywające jego siły tak, aby zmęczony i słaby stał się łatwym łupem nadchodzącej rezerwy. Ludność, steroryzowana wrażeniami ubiegłego wieczora, ze zwiększoną ostrożnością, a zatem nadzwyczaj powoli, zbierała się w oddziały, ulegając w części zupełnemu rozproszeniu przez ściągające się na alarm patrole gen. Mengdena.

Lecz wreszcie naczelnikowi miasta, Zegrzdzie, udało się zebrać garść ludzi, z którą wpadł na plac przed główną wartę. Zabity wartownik zdażył jednak uprzedzić wartę, która pod wodzą komendanta placu, pułkownika Poźniaka, wyskoczyła z budynku i gęstym ogniem ostrzeliwała zbliżające się szeregi powstańców. Dla zaalarmowania całej załogi pułkownik Poźniak wypuścił parę rakiet, które, spadając, obsypały skrami nadciągającą rezerwę.

Krótkim był bój w tym miejscu. Jak zwykle tej nocy, świeży żołnierz, nie mający wewnętrznej spójności organizacyjnej, był dobrym tylko wówczas, gdy pierwszy krok jego na wojencę uwieńczony był powodzeniem. Przełamanie uporczywego oporu, gdy trzeba było dla zwycięstwa manewru i dłuższego wytrwania w ogniu, było zbyt trudnym i pod względem moralnym, i organizacyjnym. Wojsko rozpręgało się na oczach grupy i poszczególni ludzie bez rozkazu, na własną rękę, cofali się najprzód za najbliższe osłony, by potem ratować się bezładną ucieczką.

Tak stało się i w Płocku. Ludzie, cofający się z placu przed odwachem, mieszały szeregi zbliżającej się rezerwy, by z nią razem w bezładnej kupie wycofać się z miasta. Rozpaczliwe wysiłki Bończy, który z beczelną odwagą uwijał się na białym koniu po mieście, pozwoliły na podjęcie bitwy raz jeszcze. W oczekiwaniu oddziałów od zewnątrz, które jeszcze nie wszystkie nadeszły, Bończa zorganizował atak na koszary, już nie z wewnątrz miasta, lecz od pola.

Znowu zagrzmiały wystrzały. Rosjanie z okien i dachów sypnęli ołowiem na Polaków, jak zwykle zresztą przy nocnych atakach, niewielkie wyrządzając szkody. Ze strony polskiej rzadziej, lecz prawie równie bezskutecznie padały strzały z odległości zbyt wielkiej na strzelby myśliwskie. Wkrótce stało się widocznym, że bez zewnętrznej pomocy i wiania przez to nowej energii w szeregi polskie, atak nie posunie się naprzód, że przeciwnie nawet, znowu nastąpi kryzys bojowy w duszy żołnierza, niezdolnego do dłuższej walki. A rezerwa nie nadchodziła!

Część jej, jakżeśmy już widzieli, wspólnie z awangardą miejską uległa demoralizacji i, z trudem utrzymana na placu, już potrzebowała nowego moralnego oparcia. Reszta tym czasem w ciemnej błędziła nocy po polach, topniejąc zwolna przez samowolną dezercję. W jednym z tych oddziałów zostało zaledwie czterech ludzi. Oddział z za Wisły zastał most rozebrany i bezsilnie przysłuchiwał się odgłosom boju, przychodzącym doń z za rzeki. Wreszcie oddział Kowalewskiego, który już był wkraczał na pole bitwy, obsypany skrami z rakiet, wyrzucanych przez pułkownika Poźniaka, cofnął się w bezładzie pod wpływem tej niewinnej broni, sądząc, że ma do czynienia z odłamkami pocisków armatnich. Rezerwa w ten sposób zawiodła.

Jeszcze przed ranem, pod przykryciem ciemnej, dżdżystej nocy, świeży żołnierz polski, zmęczony wrażeniami przeżytej walki, rozsypał się w różne strony. Dowódca Błasz-

czyński, mając wszystko za stracone, gdy każde jego obliczenie zawodziło, umknął, by przechować się w jakiejś kryjówce na czas dłuższy.

Plac boju, Płock, został przy zwycięzcach. Przez parę godzin chwiało się ich panowanie w mieście, przez parę godzin każdemu, nawet najniższemu w randze żołnierzowi, zdawało się, że zwycięstwo musi się przechylić na stronę napastników. Noc, rozrzucony po różnych kątach miasta bój, którego wynik do końca nie był pewnym, wreszcie widoczny dla wszystkich udział spokojnych dotychczas mieszkańców – wszystko to razem zupełnie z równowagi wyprowadziło załogę. Nieszczęsne miasto przeżyć musiało jeszcze najdziksze gwałty i rabunki rozbestwionego niepewnym bojem żołdactwa. A chwila ta była najlepszą może do ataku rezerwy polskiej, gdyby taka gdziekolwiek istniała.

W tym miejscu, jedynym bodaj w Polsce, była ze strony Polaków przewaga liczebna tej nocy. Ogółem w różnych oddziałach, które poszczególne w różnym czasie brały udział w boju, naliczyłyby się dało do ośmiuset ludzi, prawie podwójna przemoc wobec słabych sił rosyjskich.

Wobec rozmiarów bitwy płockiej znacznie mniejsze starcie w Płońsku nie miało, naturalnie, tego znaczenia, co tamta walka; gromady ludzi, zebranych tutaj dla napadu, nie miały nawet jednolitego kierownictwa, a składały się z kilku grup pod osobnym dowództwem, grup jak gdyby skonfederowanych, a nie zlanych w jeden organizm wojenny. Jak gdyby niejasny jeszcze i niewyraźny początek późniejszej zakąły tej wojny – braku wspólnej organizacji i hierarchii wśród wojska – brak ten doprowadzi z czasem do tego, że każda prawie wspólna operacja kilku, a choćby dwóch tylko oddziałów stanie się niemożliwą. Tym razem jednak trzystu kilkudziesięciu ludzi, zebranych pod Płońskiem, dosyć zgodnie ruszyło do ataku na miasto.

I tu znowu, jak w Płocku, sygnał rozpoczęcia był zarazem alarmem dla Rosjan. Jeśli dźwięk dzwonów mógł być podniętą dla Polaków, to zarazem dźwięczał pobudką alarmową dla załogi. Tym bardziej, że już dnia poprzedniego kapitan Artamonow, dowódca kompanii płońskiej, miał wiadomości o ściągających się i wałęsających dokoła miasteczka grupach ludzi, a klęska, którą poniósł Kozłaninow pod Ciołkowem, nie była w Płońsku nieznana. Więc, jak wszędzie, gdzie Rosjanie nie dali się zaskoczyć nagłym napadem, przeciw żołnierzowi, sformowanemu od wczoraj, a niekiedy od godziny, stanęła organizacja karna, zdolna do przenoszenia dużych strat. A z chwilą, gdy pierwszy impet nic nie zdziałał i bój się przeciągał, musiały prędzej czy później nastąpić kryzysy psychiczne, którym ulegał silniej żołnierz polski.

W boju płońskim, względnie długotrwałym, kompania rosyjska straciła dziesiątą część ludzi i trwała w oporze. Polacy ponieśli straty znacznie mniejsze, z ukrycia strzelając do zbitych w zwartą kolumną Rosjan. Zaledwie pięćdziesiąta część ubyła z szeregów, a już się wyczerpały siły moralne. Nastąpił odwrót. Kapitan Artamonow ruszył pomimo strat z pościgiem, a przeszedłszy z obrony do ataku, rozproszył zebrane grupy, zabierając kilka dziesiątków ludzi do niewoli.

Województwo płockie wysiliło się na główny napad na swoją stolicę i dla innych już miejsc zabrakło sił i energii. Cały ruch tej nocy ograniczył się do powyższych dwóch napadów. Zbierano się gdzie indziej, jak pod Makowem, Przasnyszem i Lipnem. Lecz wewnętrznego rozpędu nie starczyło dla stoczenia bitwy, chociażby nieudanej.

Padlewski – wódz powstania — noc te spędził, śpiesząc pod Płock, po spotkaniu zwycięskiej, lecz zdeorganizowanej samym bojem grupy Rogalińskiego, tryumfatora spod Ciołkowa. Jak gdyby za karę za cofnięcie się przed odpowiedzialnością, za uchylenie się od najpoważniejszego stanowiska naczelnego wodza w Warszawie, nie sądzonym mu było, żeby energią własną, którą w boju w wysokim stopniu posiadał, naprawić sprawy pod Płockiem. Końmi i pieszo – jak się udało – pędził on na zagrożone miejsce, lecz po drodze

wpadł w ręce patrolu kozackiego. Tylko spotkaniu z partią powstańczą, opóźnioną w pochodzie pod Płock, zawdzięczał na ten raz ocalenie.

Skrzydło północne – Płockie – w głównym ataku zawiodło. Cel najważniejszy – zdobycie Płocka – nie został osiągnięty, a Rząd Narodowy pozostał bez stolicy i możliwości ujawnienia się pod osłoną posłusznej mu siły zbrojnej. Na skrzydle południowym – w Sandomierskim – miały według planu również nastąpić poważniejsze wypadki, któreby po nocy styczniowej umożliwiły w górach Świętokrzyskich zebranie większej armii, przeznaczonej do operowania od południa przeciw Warszawie. Dowodził tu Marian Langiewicz, wsławiony swą późniejszą dziesięciodniową dyktaturą. Jak Lewandowski na Podlasiu, tak Langiewicz w Sandomierskim był zupełnie świeżym, nowym człowiekiem. Przybył tam zaledwie w początku stycznia i przez parę tygodni mógł tylko co najwyżej przelotnie poznać otoczenie, zwłaszcza, gdy zważywszy ówczesne środki komunikacyjne i warunki konspiracji, ograniczające znacznie swobodę ruchów naczelnika.

Nic więc dziwnego, że tak samo, jak Lewandowski, z przerażeniem dowiedział się on o obowiązku stoczenia w nocy 22 stycznia boju z przeważnymi siłami rosyjskimi. Od chwili otrzymania rozkazu, 18-go wieczorem, – miał do rozporządzenia zaledwie dni cztery, a znajdował się wówczas w Kielcach, poza granicami swego województwa.

Najważniejszą zdobyczą dla powstania byłby niechybnie Radom. Jak Płock na północy, tak Radom na południu był stolicą administracyjną i wojskową dla całych dwóch województw: sandomierskiego i krakowskiego. Lecz nawet pomimo tego, że ogromna większość spiskowych, którzy użyłby się dali do przedsięwziętych ataków 22 stycznia, składała się nie z kogo innego, jak z mieszkańców tegoż Radomia, mimo to Langiewicz nie chciał postawić tak ryzykownego kroku. Siły wroga w Radomiu wydawały mu się zbyt wielkie. Tysiąc dwieście żołnierza pieszego, ośm dział gwintowanych i setka kozaków stanowiły załogę Radomia i osłonę sztabu dywizyjnego gen. Uszakowa i sztabu pułkowego. Langiewicz więc zdecydował się na przeprowadzenie delikatnej operacji: translokacji tajnej swych ludzi na prowincję w celu napadu na drobne, niewielkie załogi w miasteczkach, rozrzuconych wśród leśnej, pagórkowatej okolicy. Radom miał zostać celem operacji późniejszej, prowadzonej przez skoncentrowane siły powstańcze po oczyszczeniu prowincji z wojska.

Ośrodkiem koncentracji po nocy 22 stycznia miał się stać Szydłowiec, na który napaść i który objąć w posiadanie miał sam naczelnik województwa – Langiewicz. Stamtąd dopiero, zdaniem Langiewicza, rozpocząć należało szersze operacje wojenne.

Ze wszystkich jednak planowanych napadów do skutku przyszły tylko trzy – na Jedlnię, Szydłowiec i Bodzentyn. Ostatni, choć leżał poza obrębem województwa Langiewicza i podpadał pod władzę jego sąsiada, Kurowskiego, wojewody w Krakowskim, dokonany został jednak przez siły sandomierskie.

Sił powstaniu dostarczył przede wszystkim Radom, a poza tym liczne drobne huty i kuźnice, rozsypane w okolicy Suchedniowa. Więc pod Jedlnię poszedł Figeti, prowadząc ze sobą 150 ludzi. Napaść miał na kompanię saperów, kwaterującą w tym miasteczku pod komendą kapitana Witkowskiego. Pomimo dużej przewagi liczebnej ze strony wroga – Rosjanie liczyli 280 ludzi – atak był może najudatniejszym ze wszystkich potyczek tej nocy. Przeprowadzono go z całą precyzją spiskową, wyzyskując w zupełności potężny czynnik niespodzianki. Żadnych alarmów, żadnych dzwonów ani ogni! Sojusznikiem –

ciemna, bezgwiezdna noc i przerażenie nagle ze snu zbudzonych nieprzyjaciół. Nie było tam nawet bitwy, bo czynności powstańcze, ułatwione rozsypaniem żołnierzy niewielkimi grupami po chatach, polegały na szybkim rozbrojeniu wroga. Oporni łatwo szli nieledwie pod nóż zwycięzcy. I gdy po paru godzinach zaalarmowane sąsiednie załogi przybiegły z pomocą, z kompanii saperskiej zostały zaledwie szczątki sześćdziesięciu kilku ludzi, na pół bez broni, którą zostawili w rękach zwycięzców.

Pod Szydłowcem Langiewicz zdołał zebrać do trzystu ludzi. Tu znowu odrzucono pomoc najwierniejszego sojusznika słabych – tajemnicę. W sąsiednim Jastrzębiu, punkcie zbórnym oddziału, odprawiono uroczyste modły. Na widoku otoczenia przeprowadzano organizację. W zewnętrznej ostentacji szukano jak gdyby wzmocnienia i lekarstwa na wewnętrzne poczucie słabości. Pomimo czat, rozstawionych dokoła, zdrada znalazła sposób, by zawiadomić i ostrzec nieprzyjaciela. Jego przewaga techniczna i organizacyjna z konieczności wychodziła na jaw, więc napad zmienić się musiał w bój uporczywy, gdzie wszystkie szanse po swej stronie miał dobrze uzbrojony i karny żołnierz.

Tym razem jednak dowódcy rosyjscy, kapitanowie Ridigier i Olędzki, nie zdążyli w zupełności poczynić zarządzeń ostrożności. Tuż za wiadomościami z Jastrzębia szedł atak, prowadzony w dwóch miejscach: w miasteczku na kompanię Ridigiera, za miastem na kompanię Władysława Olędzkiego. Na Ridigiera szedł Jasiński z setką ludzi, na Olędzkiego sam Langiewicz z dwoma setkami. Znowu przewaga liczby była po stronie nieprzyjaciela.

Rosjanie, nieco wcześniej ostrzeżeni, pomimo nagłego napadu zdążyli, choć ze stratami, sformować szyk bojowy w kolumnach. Polacy, ukryci za domami lub w rowach, gęstym ogniem wyrwali ludzi z szeregów, sami małe ponosząc straty. Ridigier, walcząc w ciasnym rynku z niewidocznym wrogiem, nakazał odwrót. Olędzki z mniejszymi stratami ruszył na połączenie się z kolegą. Miasteczko, przyszły punkt koncentracji powstańczej, zostało w rękach Polaków.

Lecz bój nocny ze swymi silnymi wrażeniami nie pozostał bez wpływu na świeżego żołnierza. Oddziały polskie, choć zwycięskie, zaczęły się rozprzegać. Ludzie rozchodzili się po domach i chałupach. Bezludnie przeszukiwano niektóre z domów, gdzie jakoby jeszcze ukryci być mieli żołnierze rosyjscy. Wodzowie polscy zaczęli tracić panowanie nad oddziałem. Więc gdy Ridigier, złączywszy się z Olędzkim, ochłonał nieco z przerażenia i ruszył do kontrataku, zastał w Szydłowcu bezładne kupy, które oporu stawiać nie mogły. Nastąpił bój krótki i Szydłowiec, opuszczony przez niedawnych zwycięzców, przeszedł znowu w posiadanie swych dotychczasowych panów.

Straty stron obu były względnie znaczne. Dwie kompanie rosyjskie straciły do 30 ludzi, Polacy dwa razy tyle i jednego ze swych wodzów, Jasińskiego.

Wreszcie w Bodzentynie napad polski doprowadził do najkrwawszego w tej nocy starcia. Atak był całkiem niespodziewany, więc wszystko przemawiało za tym, że Polacy staną się panami placu boju. Żołnierze zostali od razu odcięci od swych oficerów i pozostawieni bez głowy. Bój toczył się w izbach, gdzie śpiących żołnierzy zastano. To też straty, które poniosła kompania bodzentyńska, przenosiły piątą część jej składu. Lecz żołnierze bronili się dzielnie i uparcie. Siłą fizyczną, kulakami i gołą pięścią wyrzucili napastników z izb, aby potem z własnej inicjatywy iść z pomocą zagrożonym oficerom i magazynowi. Po dłuższej strzelaninie wyparto atakujących z miasteczka. Polacy, którzy pod wodzą Dawidowicza i księdza Umińskiego zebrali się w ilości 300 ludzi, straciwszy w boju dziesiątą część sił swoich, zaniechali dobrze rozpoczętej walki.

W innych stronach województwa, jak w całej reszcie kraju, napady nie doszły do skutku ze zwykłych w nocy tej powodów. Gdy w jednym miejscu nie zebrali się ochotnicy, na których czekał dowódca, w innych wódz wyznaczony nie stawiał się w oznaczonym

punkcie i czasie, co oddział zebrany doprowadzało do bezczynności i najczęściej do rozejścia się po okolicy. Gdzie niegdzie fałszywe pogłoski, rozpuszczane przez przeciwników powstania, o odłożeniu terminu wybuchu wystarczyły, by zaniechano wszelkich zamiarów wojennych.

W boju nocnym 22 stycznia ze strony polskiej wzięło udział razem 4500 żołnierzy przeciwko prawie 6 tysiącom żołnierza rosyjskiego. Prawie wszędzie bój wypadł na korzyść Rosjan. Napastnicy nawet tam, gdzie chwilowo byli panami placu boju i zwycięzcami, już o świcie opuścić musieli zajęte stanowiska, by cofnąć się do miejsc mniej dostępnych, a bardziej ukrytych, niż miasta i miasteczka.

Straty obustronne nie były znaczne. Do dwóch setek ludzi zabitych i rannych z każdej strony zaległo place boju, stanowiąc zaledwie dwudziestą u Polaków, a trzydziestą tylko część walczących u Rosjan. Straty, przypominające raczej jakieś drobne potyczki forpocztowe, niż stanowcze, rozstrzygające o zwycięstwie boje, gdzie złamanie woli przeciwnika kosztuje nieraz około połowy całego wojska, najczęściej nie mniej, niż czwartą, najmniej już zaś piątą część armii.

Obok tego nietkniętych bojem zostało po jednej i po drugiej stronie całe mnóstwo żołnierzy. Stotysięczna armia rosyjska zaledwie w swej siedemnastej części stanęła pod bronią tej nocy. Reszta spokojnie ją przespała, nie wiedząc nawet, że wojna już wybuchła i że część towarzyszków broni staczać musi nieraz rozpaczliwe boje o honor swego oręża.

Po polskiej stronie, nie mówiąc już o teoretycznej rezerwie, którą, jak w każdej wojnie rewolucyjnej, miał być cały naród czy lud polski, nie stanął do boju nawet cały spisek, liczący w owe czasy nie mniej, niż 20 tysięcy ludzi. Zaledwie piąta część jego przyszła do bitwy. Reszta albo nie zebrała się wcale, albo też nawet po zebraniu się nie znalazła w sobie dosyć woli i hartu ducha, by w danych ciężkich warunkach przełamać się i z wczorajszego uległego poddanego wyrość na żołnierza, stojącego do otwartej walki przeciw wczorajszej władzy.

Bitwa więc dla Polaków była przegrana. Nawet chwilowe powodzenia nie mogły być utrwalone. Sam plan boju był przeprowadzony niedość stanowczo; powstają poważne wątpliwości, czy w istocie ktokolwiek weń wierzył. Na skrzydłach boju – północnym i południowym – gdzie w zasadzie miano poważnym zwycięstwem umożliwić wytworzenie się większej armii, bój był o wiele słabszym i niedołęźniejszym, niż w demonstracyjnej jego części, w centrum, na Podlasiu. Na północy jeszcze kuszono się o coś większego; stawiano sobie za cel Płock, siedzisko głównej władzy wojskowej i cywilnej na całej północy Królestwa, próbowano, choć nieudolnie, jednym uderzeniem szanse wojny przechylić na swoją korzyść. Lecz na południu bez uwagi pozostawiono Radom, który był tym dla południa, czym Płock dla północy, i gdzieś w zapadłych kątach, wśród lasów i gór, szukano celów dla boju, celów, nie mogących w żadnym wypadku wpłynąć poważnie i rozstrzygająco na dalszy przebieg wojny.

Najbardziej powiodła się właśnie demonstracja podlaska, ześrodkowująca swe wysiłki naokoło głównej arterii ruchu – szosy brzeskiej. Tu w istocie zaabsorbowano połowę wszystkich sił przeciwnika w tej części kraju; tu zmuszono go do zacieklego, nieraz rozpaczego boju, tu najpoważniejsze zadano mu straty, tu wreszcie wniesiono największy zamęt do władzy i panowania nieprzyjaciela w kraju.

Właściwie mówiąc, skrzydłowe boje na północy i południu olbrzymiego placu boju były jak gdyby tylko echem, słabym dalszym ciągiem walki, toczonej najczęściej w centrum, na Podlasiu. Cały więc bój wypadł jako demonstracja, silniejsza w centrum, słabsza na skrzydłach, krwią i wrzawą bitwy nadającą wartość istotną wypowiedzeniu wojny, zawartemu w wydanym tej nocy manifestie nowopowstałego Rządu Narodowego Polski.

Demonstracja! – Więc chęć wywarcia wpływu na wolę i wyobraźnię przeciwnika?

Demonstracja! – Więc myśl o wywołaniu zmian w użyciu sił nieprzyjacielskich, zmian korzystnych dla siebie, niewygodnych dla niego?

Niechybnie, myśl ta, zdaje się, przez głowę nie przeszła wodzom powstania polskiego. Nie tego szukali oni w pierwszym wstępnym boju rewolucji polskiej; widzieli w nim rozpaczny środek obrony honoru, albo, w lepszym razie, choć łudząc się gorzej, szybkie, decydujące kroki ku zbudowaniu olbrzymiej, nieledwie milionowej armii ludowej. A jednak bój ich był tylko demonstracją i, co najdziwniejsza, demonstracją udaną, która najwidoczniej przegraną taktycznie bitwę zmieniała w duże strategiczne zwycięstwo.

Nazajutrz, wraz z mrocznym, chmurnym i dżdżystym świtem, do centrum kraju, siedziska mózgu rządowego, biegli z różnych stron kurierzy i posłańcy. Druty telegraficzne, zerwane wszędzie, zawiodły. Trzeba było wracać do pierwotnych, powolnych środków komunikacji, którymi posługiwali się ojcowie i dziadowie jeszcze w bojach napoleońskich, – do konnych sztafet. W Warszawie wiedziano już o wybuchu wojny – manifest Rządu Narodowego był już znanym, teraz w oczy były dowody, dowody krwawe, że Rząd ten siłę nie tylko moralną, lecz i materialną miał na swe usługi.

Siłę moralną – tę znano. Od kilku lat wprowadziła ona do kraju, do rządu samego tyle zmian widocznych, że nie doceniać jej nie było można. Przecie dla zaspokojenia jej wiecznie wzrastającego głodu zmian i reform zarzucono stary, wypróbowany system rządzenia, odnowiono całą administrację, powołując do niej siły miejscowe, paktowano nieraz z tymi, dla których niedawno jeszcze miano tylko więzienie i kłódkę na gębę. Ba, jako ustępstwo dla niej ściągnięto do kraju brata cesarskiego, dając mu za doradcę jednego z tych, których dotąd trzymano z dala od rządów.

Siła moralna ruchu – ta wprowadziła już tyle chwiejności i wahania, tyle zatem elementu słabości we własne siły rządowe, że nieraz wydawać się musiała znacznie większą, znacznie potężniejszą, niż była w istocie. Teraz szły odpowiedniki materialne.

Orientacja w tych wieściach była trudna. Obok dokumentowych danych dolatywały wiadomości postronne, jak zwykle – przesadne co do rozmiarów, sprzeczne, wreszcie wręcz fałszywe, lecz wszystkie trudne do sprawdzenia, wobec przerwania komunikacji zwykłej, szybkiej, do której też dostosowaną była i konieczność szybkiej decyzji centrum w każdym wypadku. Tam i tam wojska zwycięsko napad odparty, słyszano o zajęciach w danym miejscu, stamtąd jednak żadna wiadomość nie nadeszła. Czy nie dlatego, że nie mogła być pomyślną? Rodziła się wątpliwość w duszy, tym bardziej, że skąd inąd przyszedł raport o wielkich względnie stratach w boju. Czekać, nim zewsząd zbiegną się dane, które wytworzą całość obrazu – niesposób! Tam w tych zarzuconych kompaniach i szwadronach, posłanych na pół wojenną, pół dyplomatyczno-policyjną służbę do wrogiego otoczenia, czekano rozkazu, czekano znaku, czy ma być wojna, czy też napaść ma być puszczona mimo uszu i panowie kapitanowie i porucznicy mają nadal być łagodno-surowymi przedstawicielami, czy nawet zastępcami władzy cywilnej.

Wojna! Lecz do wojny nieco dłuższej większość armii nie była zdatną. Po jednej, dwóch nie bitwach już, lecz potyczkach, zabraknie kompaniom naboju, złożonych nieraz daleko po magazynach, które znowu za małą mają osłonę dla długiej i teraz z konieczności nadzwyczaj baczonej służby ochronnej. A i same te osobno stojące kompanie i szwadrony, czyż nie wyczerpią się w długim, kosztownym u małych oddziałów co do wysiłków i ludzi

strzeżeniu się od nagłych, niespodziewanych napadów otaczającego wroga? Wojna w tym szyku luźnym, z polityki przyjętym przez całą prawie armię, prowadzić się nie da. Trzeba go ścieśnić, zgęścić w ważniejszych punktach, dając zarazem siłę i oparcie lotnym, ruchomym kolumnom, wyznaczonym do bezpośredniego boju.

Pokój! Dalsza służba w dyplomacji i policji! Lecz czyż nie jest to zmarnowanie dwóch trzecich armii? Po pierwsze, dla nikogo nie było tajnym, że wśród wojska, osobliwie wśród oficerów, szerzy się zaraza rewolucyjna, szerzy się zaś tym łatwiej, gdy i sam rząd jest chwiejny, a dzięki rozsypaniu armii całej nie ma dostatecznej kontroli władzy wyższej, gdy każdy niejako pozostawiony jest sam sobie. Pod tym względem zaciśnięcie więzów dyscypliny wewnętrznej przez skupienie wojska byłoby bardzo pożądane. Po drugie zaś, te napady, o których przybiegły raporty... Wydaje się, że wojska, chociaż ucierpiały, jednak poza paru miejscami wyszły zwycięsko z tej próby. Przypuściwszy nawet, że do jutra nie będzie więcej hiobowych wieści, co przecież nie jest także wykluczonym, któż zaręczy, że pozostawienie armii w tym stanie, jaki zastała noc 22 stycznia, nie ośmieli jeszcze bardziej ukrytego wroga? Napady mogą się stać natarczywsze, umiejętniej prowadzone, a ogromna część tych rozrzuconych kompanij i szwadronów stać się może łatwym łupem dla przeciwnika.

A zatem czy pokój ma być, czy wojna, – o tym już rozstrzygnie władza wyższa, – należy jednak przede wszystkim wyprowadzić armię z niewygodnego dla niej położenia i zabezpieczyć ją lepiej czy to na wypadek wojny, czy na wypadek pokoju.

I oto tegoż dnia jeszcze ze sztabu głównego sztafety konne do komendantów dywizyj rozniosły rozkaz przerwania branki na prowincji, wymagającej wysyłania drobnych oddziałów policyjnych; rozkaz koncentracji wojsk w większe grupy ze wszystkich rodzajów broni; było to racjonalne wyjście z położenia.

– Ściągać wojsko w oddziały nie mniejsze, jak dwa, trzy bataliony z odpowiednią ilością jazdy! – brzmiał rozkaz okólny 23 stycznia. W kilka dni później rozkaz nie tylko potwierdzono, lecz dodano, że nie należy się wahać w оголоczeniu z wojska całych powiatów, byle zabezpieczyć armii zupełną swobodę działania, bez przeciążania jej zbytnimi ciężarami służby ochronnej.

Armia rosyjska w istocie odzyskiwała swobodę działań, lecz jakim kosztem? Ogromne połacie kraju, będące dotąd pod stałą i bezustanną kontrolą władzy państwowej, stawały się bezpańskimi. Ludność, zamieszkująca te części Polski, w ten sposób na równi z armią rosyjską odzyskiwała swobodę działania i rozstrzygnięcia dla siebie kwestii swego udziału w wojnie. Samo zaś powstanie – spisek, przetworzony w wojsko – zyskiwał jeszcze więcej. W ogromnej części kraju nie potrzebował już, jak przed wybuchem, przystosowywać się do zmiennych i wypadkowych warunków życia pod kontrolą nieprzyjaciela, lecz, jak każde wojsko, mógł naginać nawet siłą otoczenie do swoich wymagań i potrzeb. I jeżeli przed 21 stycznia powstanie przystępowało do wojny bez podstawy, bez bazy wojennej dla swych operacyj, teraz mogło ją wytworzyć i należycie wyzyskać wojennie części kraju, opuszczone przez nieprzyjaciela.

Niechybnie wymagało to szybkiego działania, gdyż żmudna i długotrwała z natury rzeczy praca organizatorska była w tym wypadku główną częścią operacji, istotą nawet zadania wojennego, które stanęło teraz przed powstaniem. Ale i pod tym względem Polacy wygrali sporo. Nakazana koncentracja wymagałaby czasu pewnego nawet w porze zupełnego spokoju. Teraz, gdy przy przerwaniu telegrafu posługiwano się konnymi posłańcami, już sam sposób komunikacji przedłużał czas wolny od działań wojennych. Ale w dodatku sami posłańcy nie byli pewni. Raz po raz sztafeta nie dochodziła do miejsca przeznaczenia, raz po raz rozkaz czy raport trafiał w ręce powstańców. Noc w tych warunkach w kraju lesistym i mało zaludnionym odpadała zupełnie dla służby łączności. I oto czas, rzecz bar-

dzo droga w każdej wojnie, najdroższa jednak w tym wypadku dla powstania – czas, tak dla strony polskiej potrzebny, został przez nią wygrany. Zaledwie po dziesięciu, w niektórych miejscach czternastu, nawet dziewiętnastu dniach, skoncentrowane już oddziały armii rosyjskiej, wzięwszy inicjatywę w swe ręce, rozpoczęły zaczepną z powstaniem walkę.

Niestety, po stronie polskiej niedość jasno rozumiano swe położenie. Jedni śnili o bohaterских bojach, prowadzonych dla obrony honoru wojennego powstania, bojach krwawych, wrażających się w serca ludzkie ogromem hekatomb, złożonej na ołtarzu ojczyzny. Inni marzyli o szybkich sukcesach organizacyjnych wśród ludu, masowo, tysiącami wpływającego do szeregów ochotniczych. Przygotowań do żmudnej, powolnej pracy dla zorganizowania podstawy wojennej nie czyniono w ogóle wcale. I oto na proste zorientowanie się w sytuacji stracono ogromną część tak ciężko wygranego czasu.

Gdy oddziały polskie, odparte od szturmowanych miasteczek, albo nawet na pół rozproszone po porażce, znalazły się w zacisznych ustroniach na odpoczynku chwilowym, panował wśród nich od góry do dołu powszechny zamęt i niepewność, co czynić dalej należy. Zewsząd więc słano gońców do wodzów z tym męczącym pytaniem.

Lecz gdzie było ich szukać? O Lewandowskim na Podlasiu nie wiedziano nic w przeciągu kilku dni. Błaszczyński (Bończa) w Płockim zniknął, Padlewski zaś nieprędko zdążył ująć w swe ręce ster sprawy. Langiewicz, wyparty z Szydłowca, wyznaczonego przezeń jako punkt koncentracji po nocy 22 stycznia, musiał znowu szukać łączności ze swymi rozsypanymi oddziałami. Każdy był pozostawiony swemu losowi, swej myśli samotnej, najczęściej smutnej, nieledwie rozpacznej.

Pędziły więc gońce do Warszawy, do Rządu Centralnego. Lecz tam tym mniej znaleźć można było otuchy, rady i wskazówki. Starsi wyemigrowali pod Płock w oczekiwaniu tryumfalnego wejścia do czasowej stolicy Polski, odzyskanej po krwawym boju. Młodszy, nie mając wśród siebie fachowej siły, służyć mogli jedynie jaką taką pomocą materialną, o kierownictwo zaś sprawami wojny nawet nie kusili się wcale. A czas, drogi czas uchodził bezpowrotnie! Marnowano go nieproduktywnie, dając zarazem początek późniejszemu przekleństwu wojny: autonomii, a raczej zupełnej niezależności operacyjnej każdego z poszczególnych dowódców mniejszego czy większego oddziału. Bitwa, wydana przez powstanie w nocy 22 stycznia, dała rezultat, przez samych powstańców nieoczekiwany; okazała się bowiem niezwykle skuteczną demonstracją wojenną. Nie demonstracja taka była jednak celem stoczonej walki, tylko bój stanowczy i zwycięstwo. Rozbieżność zaś między celem zamierzonym a rezultatem, który osiągnięto, sprawiła właśnie, że przy braku jednej woli i myśli kierowniczej nie skorzystano z osiągniętych wyników w całej pełni i nie oparto na nich dalszej celowej walki o inicjatywę wojenną i przewagę strategiczną powstania.

ZARYS HISTORII MILITARNEJ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

ZARYS HISTORII MILITARNEJ POWSTANIA STYCZNIOWEGO

„Zarys historii militarnej powstania styczniowego” stanowi cykl wykładów, wygłoszonych przez Piłsudskiego w krakowskiej Szkole Nauk Społeczno-Politycznych w czasie od 13. III. do 17. V. 1912 r. Wykłady te zostały po raz pierwszy ogłoszone w nrze 1 „Przeglądu Historyczno-Wojskowego” z r. 1929, w opracowaniu gen. Juliana Stachiewicza i kpt. Stefana Pomarańskiego, którzy zaopatrzyli je następującym wstępem od redakcji:

„Wykłady, które ogłaszamy z upoważnienia autora, wygłosił Józef Piłsudski w r. 1912 w serii wykładów Szkoły Nauk Społeczno-Politycznych w Krakowie. Znakomitą większość słuchaczy stanowili uczniowie kursów oficerskich „Strzelca” krakowskiego. Stenografował je ówczesny uczeń wyższego kursu oficerskiego, Julian Stachiewicz.

Stenogram był przepisany współcześnie i doręczony Komendantowi Piłsudskiemu; miał on go przed oczyma, pisząc swą książkę, wydaną w r. 1914 u Rzepeckiego w Poznaniu, p. t. „22 stycznia 1863”. Książka ta nie objęła całości tematu, poruszonego w wykładach. Poza tym, obliczona na szerokie warstwy czytelników, nieprzygotowanych do analizy zjawisk wojennych, była utrzymana w tonie bardzo popularnym, w przeciwieństwie do wykładów, wygłoszonych wobec grona ludzi, studiujących nauki wojskowe.

Stenograf ówczesny przepisał te wykłady z oryginalnego stenogramu, zachowanego w jego prywatnych zbiorach. Okazało się przy tym, że w skrótowych notatkach było wiele niedokładności i luk w miejscach, gdzie prelegent odczytywał ustępy z książek, skrótów, dziś już, po latach szesnastu, niemożliwych do odczytania. To też manuskrypt musiał być zrewidowany i w miarę możliwości uzupełniony. Pracy tej dokonali gen. brygady Julian Stachiewicz i kpt. Stefan Pomarański; postawili oni sobie za cel unikać jakichkolwiek przeróbek, ażeby nie oddalać pracy od realnie wypowiedzianych prelekcji. Zachowano tedy styl i formę, charakterystyczną dla wykładu, nie wahając się pozostawić je nawet w tych ustępach, które w pracy pisanej niewątpliwie powinnyby być przerobione. Nie poprawiano również ani uzupełniano tych rzeczy, które przy obecnym stanie wiedzy o 1863 r. mogłyby być traktowane jako nieścisłości.

Oryginał stenogramu jest przechowywany w Archiwum Instytutu dla Badań Najnowszej Historii Polski”.

Przedrukowany obecnie tekst, wraz z przypisami opracowanymi przez Juliana Stachiewicza i Stefana Pomarańskiego, oparty został na pierwodruku, tj. na „Przeglądzie Historyczno-Wojskowym” i uzupełniony szeregiem przypisów, wyjaśniających kwestie objęte wykładami Piłsudskiego.

WYKŁAD PIERWSZY

13 lutego 1912 r.

Wykłady swoje muszę poprzedzić paroma uwagami.

Pierwsza będzie się tyczyć treści. Zatytułowane one zostały „Historią militarną powstań polskich”. Jest to przedmiot tak obszerny, że objąć go nie byłbym w stanie. To z konieczności zmusiło mnie ograniczyć wykłady do pewnej tylko epoki. Wybrałem r. 1863. Zatrzymałem się na nim, gdyż zbliża się jego pięćdziesięciolecie i chciałbym przyczynić się do uczczenia tej rocznicy. Prócz tego do wszystkich innych powstań mamy wiele prac cennych, które ujmują stronę militarną w sposób wyczerpujący, podczas gdy tu pracy takiej właściwie nie ma. Przedmiot zatem nęcił mnie i chciałem w ten sposób zapłacić lukę, jaka istnieje w historii tego powstania.

Po tym roku bowiem panował pogląd, którego dewizą stały się słowa Aleksandra II: „Żadnych marzeń!”. Pod sugestią tego poglądu rozwijało się po powstaniu społeczeństwo polskie. W myśl tego hasła wszystko, co było związane z walką zbrojną, zostało przez społeczeństwo odrzucone. Skutkiem tego stosunku i w historii 1863 r. strona militarna w zupełności jest zaniechana.

Kiedy zastanawiałem się nad ogromem pracy, przyszedłem do przekonania, że ujęcie w całości dziejów powstania styczniowego ze strony militarnej jest rzeczą niemożliwą ze względu na czas i na pewne braki w źródłach, o których będę jeszcze mówił. Wobec tego zatrzymałem się na przedstawieniu ewolucji wojennej, jaka zaznaczyła się u bojowników 1863 r., oraz na jej rozwoju pod wpływem tych czy innych okoliczności. Krytykę swoją chcę mieć możliwie obiektywną, staram się stanąć w położeniu tych, którzy wtedy działali. Nie spotkacie się u mnie z napaściami czy z krytyką postanowień co do powstania. Biorę je jako fakt. Wszyscy ci, którzy by oczekiwali innego ujęcia, zawiodą się zatem.

Druga uwaga tyczy się źródeł, którymi rozporządzamy dla danego przedmiotu. Każda historia opierać się musi na źródłach i krytyka ich stanowi podstawę opracowania historycznego. Niestety, dla tej strony, która ma stanowić przedmiot moich wykładów, źródeł jest nadzwyczaj mało. Każdy, pracujący nad historią 1863 r. w ogóle, musi narzekać na dotkliwy brak materiałów, a specjalnie dla strony militarnej jest on przerażający. Zwyczajnych, bezpośrednich źródeł brak prawie zupełnie. Są to zawsze rozkazy, raporty, słowem, cała kancelaria wojenna. Te źródła właściwie nie istnieją dla polskiej strony z powodów zrozumiałych, dla rosyjskiej zaś są zamknięte dla każdego badacza nieurzędowego¹. Zatem przedstawienie ich czy krytyka jest niemożliwa.

Przechodząc do tych źródeł, jakie mamy w rękę, dzielę je na rosyjskie i polskie. Skutkiem specjalnych cech tej wojny rosyjskie władze i drobni naczelnicy fałszowali historię w straszny sposób. Opisywali bitwy, których nie było, czasem napaści na zupełnie bezbronną ludźmi przedstawiali, jako walki ze zbrojnymi bandami, ukrywali swoje straty, przeceniając straty nieprzyjaciela.

Ze źródeł tych wymienię dzieła: 1) Sergiusza Gesketa², będące najprzystojniejszym opracowaniem początków powstania, oraz – 2) Mikołaja Berga¹ i Mikołaja Pawliszczewa

¹ Dziś akta te i materiały są dostępne; znajdują się one w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie oraz w Archiwum Wojskowym.

² S.(ergiusz) Gesket, „Wojennyja diejstwa w Carstwie Polskom w 1863 godu. Naczało wozstanja, janwar, fiewral i pierwaja połowina marta sostawił... pod riedakcej gienierał-lejtienanta Puzyriewskago”. Warszawa 1894, oraz tegoż „Galicyjskija i poznanskija bandy w wozstani 1863 g. w Carstwie Polskom” w „Wojennom Sbornikie” 1899 r., nr 11 i 12.

². Te dwa ostatnie, które również weszły jako podstawa dla ujmowania historii 1863 r. przez wielu polskich pisarzy, opierają się przeważnie na zeznaniach zdrajców, złożonych w komisjach śledczych. Zdumiewać się trzeba, jak można ze strony polskiej korzystać z takich źródeł; tłumaczy to tylko ogólny ich brak.

Berg opiera się na zeznaniach 1) Oskara Awejdy i 2) Karola Majewskiego ³. Obaj ci panowie najbezczelniej sypali. A na tomach ich zeznań opiera się również jeden z polskich historyków, mianowicie Przyborowski. Wiemy dobrze, że nawet ludzie, którzy sypią, w swoich zeznaniach kłamią. I czyż na kłamstwach można opierać swe sądy?

Jeżeli przejdę do materiałów polskich, to przede wszystkim należy stwierdzić, że one strony militarnej prawie nie ujmują. Z opracowań wymienię historię Bolesława Limanowskiego ⁴, która, choć stronie militarnej mało poświęca uwagi; jest ważna dla ogólnej znajomości tej epoki ⁵, oraz dzieło Walerego Przyborowskiego, które znacznie więcej stroną militarną się zajmuje. Ponieważ to ostatnie jest najszerszą pracą, poświęconą dziejom tego powstania, stanowi konieczne oparcie, z którym każdy musi mieć do czynienia. Ma ono wszakże dwie wady: opiera się na zeznaniach zdrajców i z tych bierze podstawę do ujmowania najróżniejszych zjawisk. Co się tyczy strony militarnej, to Przyborowski opracował ją przeważnie na podstawie prac rosyjskich oraz pamiętników polskich. Drugą ogromną wadą tej pracy jest polityczna jej strona, która stawia r. 1863 w stan oskarżenia przed społeczeństwem polskim. Jest to odbicie tej opinii publicznej, która ten rok starała się wymazać z pamięci i serc polskich. Dlatego wiele jego twierdzeń, opisów i sądów należy przyjmować z wielkim krytycyzmem. Trzecia wada polega na tem, że autor tej książki, mając szczęście służyć w powstaniu pod dowództwem Langiewicza ⁶, ze specjalnym zamiłowaniem traktuje tego wodza, zupełnie niesprawiedliwie sądząc o działaniu innych ludzi, aby tym piękniej przedstawić swego ulubieńca ⁷.

Osobną kategorią źródeł są bardzo liczne pamiętniki. Ale odznaczają się one z jednej strony bardzo często wielką chępliwością i przesadą, tak, że mimowoli wywołuje to pewien niesmak; z drugiej strony bardzo często ulegają opinii, tak, jakby pisane były nie dla

¹ Mikołaj Berg, „Polskoje wozstanie 1868–1864 gg.”, w „Russkoj Starinie” 1870 r., t. XXIV–XXVI, toż w „Russkom Archiwie” r. 1873–4; przekład polski Karola Jaskłowskiego w 3 tomach, Kraków 1898–1900.

² Mikołaj Pawliszczew, „Siedmicy polskiego matiezia 1861–4”. Petersburg 1887, 2 tomy.

³ Wyszły one następnie w rosyjskim przekładzie nakładem Sztabu Warszawskiego Wojennego Okręgu. Stanowią wielką rzadkość bibliograficzną, drukowano je bowiem w kilkudziesięciu egzemplarzach i tylko na użytek służbowy.

⁴ Bolesław Limanowski (1835–1935), działacz socjalistyczny i historyk-socjolog, autor „Historii Powstania Narodu Polskiego 1862 i 1863 r.”. Wyd. II, przerobione. Lwów 1909.

⁵ Z. L. S. (Walery Przyborowski) „Dzieje 1863 roku” przez autora „Historji dwóch lat”, tomów 4. Kraków 1897–1905. (Tom V wyszedł dopiero w 1919 r.).

⁶ Marian Langiewicz (1827–1887), dyktator w powstaniu 1863 r. Po bitwie pod Grochowiskami schronił się na terytorium austriackie.

⁷ Trzeba pamiętać, że – jak zaznaczono na wstępie – wykłady te powstały w 1912 r., zatem autor nie mógł poddać analizie rzeczy późniejszych, jak np. „Pamiętników” sekretarza Rządu Narodowego Józefa Kajetana Janowskiego, będących właściwie również historią powstania.

prawdy historycznej, lecz dla usprawiedliwienia błędów i grzechów młodości. Wobec tego również wiele z tych pamiętników traktować należy z dużą ostrożnością¹.

Wreszcie jeszcze jednym źródłem, specjalnie ważnym dla mnie, jest doświadczenie niedawno ubiegłego okresu rewolucyjnego. Gdybym tej rewolucji nie przeżył, nie miałbym klucza do bardzo wielu zagadnień z 1863 r. Ponieważ wszelkie rewolucje są do siebie podobne, kto rewolucji nie przeżył, ten rewolucjonistów nie jest w stanie należycie ocenić. Kiedy brałem różne książki o 1863 r. przed rewolucją, bardzo wiele rzeczy było dla mnie niezrozumiałych; nie mogłem sobie wyobrazić, jak takie czy inne fakty móc się mogły. I w tym należy szukać przyczyn, dlaczego krytycy nieraz stronnictwo rozumieją różne zjawiska tej epoki: gdyż sądzą oni o czasach rewolucyjnych z punktu widzenia czasów pokojowych, z drugiej strony sądzą wojnę nieregularną z punktu widzenia armii regularnych.

Jako trzeci punkt podkreślić należy dane, dotyczące się geografii historycznej i statystyki. Przede wszystkim ważny jest podział kraju ze strony wroga i ze strony rewolucji. Rewolucja dzieliła Królestwo na województwa; było ich ośm. Cztery z nich najzupełniej odpowiadały podziałowi na gubernie. Województwo: 1) sandomierskie – gubernii Radomskiej, 2) lubelskie – gubernii Lubelskiej, 3) podlaskie – gubernii Siedleckiej, 4) mazowieckie – prawie zupełnie odpowiada gubernii Warszawskiej. Inne cztery województwa niezupełnie temu podziałowi odpowiadają. Znika gubernia Łomżyńska i Piotrkowska; 5) województwo krakowskie – odpowiada gubernii Kieleckiej i południowej części Piotrkowskiej; 6) do kaliskiego włączona była gubernia Kaliska i pozostałe części Piotrkowskiej. Z województw północnych: 7) Augustowskie obejmowało późniejszą gubernię Suwalską i część Łomżyńskiej, zaś 8) Płockie – drugą część Łomżyńskiej oraz gubernię Płocką.

Ludność Królestwa wynosiła wtedy 4 i pół miliona, zatem na tej samej przestrzeni było jej ponad dwa razy mniej, niż obecnie. Warszawa liczyła 170 tysięcy mieszkańców, zatem tyle, co dziś wielki Kraków.

Typ ludności był nieco odmienny, niż teraz. Przeważała ludność rolnicza, typ życia mieszkańców był także rolniczy. Fabryczny przemysł znajdował się zaledwie w początkach rozwoju; przeważały cukrownie, zakłady żelazne, w niektórych miejscowościach tkactwo. Warszawa była wówczas największym centrum przemysłowym.

Ważną jest również we wszystkich wojnach sieć komunikacyjna. Była ona niepodobna do dzisiejszej. Koleje znajdowały się w początkowym rozwoju i nie odgrywały wybitniejszej roli. Istniały wtedy trzy linie następujące: warszawsko-wiedeńska, warszawsko-bydgoska i warszawsko-petersburska. W tym wypadku szosy mają tym większe znaczenie. Zbiegają się one do Warszawy. Główne: na lewym brzegu Wisły krakowska przez Radom i Kielce i dwie szosy w stronę Berlina; na prawym – lubelska na Garwolin, petersburska przez województwo płockie i augustowskie, wreszcie szosa do Brześcia. Poza tym należy brać pod uwagę drobniejszą sieć gościńców, rozchodzących się z głównych miast w Królestwie: z Lublina, Radomia, Kalisza, Płocka itd. Wzdłuż nich biegły wszędzie linie telegraficzne.

Trochę historii.

Przed powstaniem, w czasie krymskiej kampanii 1855 r., zaszedł ważny wypadek: śmierć Mikołaja I. Syn jego, Aleksander II, w początkach panowania odznaczał się tzw. liberalizmem i zaczął wprowadzać duże reformy. Wywołało to w Rosji ogromny ruch liberalny i rewolucyjny. Był on na tyle silny, że wdzierał się do wszelkich zakamarków urzędowego życia państwa rosyjskiego. Żadna kancelaria nie była zabezpieczona od pewnych

¹ Odnośnie do pamiętników patrz: Janusz Gąsiorowski „Bibliografia druków, dotyczących powstania styczniowego 1863–1865”. Warszawa 1923, oraz Edward Maliszewski, „Bibliografia pamiętników polskich i Polski dotyczących”. Warszawa 1928.

wpływów i udziału liberałów. Zwracam na to uwagę dlatego, że stan ten we wszystkich kombinacjach w 1863 r. odgrywał niesłychanie wielką rolę. Wiara i nadzieja, że rosyjskie sfery urzędowe, a specjalnie wojskowe, mogą wziąć udział w rewolucji nie tylko polskiej, ale i rosyjskiej, stanowiły w początku powstania przez dłuższy czas podstawę dla różnych planów militarnych.

Wybuch powstania w Polsce poprzedziło pewne wrzenie w formie patriotycznych demonstracji. Rząd ustawicznie chwiały się w swych decyzjach, tak, że sprawiał wrażenie rządu słabego, co wywoływało u ludzi pewność siebie, która nader sprzyjała wytworzeniu się partii ruchu rewolucyjnego. Na czele tej partii stanął tzw. Centralny Komitet Narodowy, ostatecznie ukonstytuowany w połowie 1862 r.

Jak dalece przedtem społeczeństwo nie myślało o zbrojnym powstaniu, można sądzić stąd, że kiedy w marcu 1861 r. z powodu manifestacji rząd w Warszawie oddał pewne atrybuty władzy tzw. delegacji miejskiej, – delegacja ta, wraz ze swymi funkcjonariuszami, zwanymi konstablami, którymi przeważnie byli akademicy, zajmowała się głównie szukaniem i odbieraniem od ludności broni, jako że to miało być prowokacją rządu. Myśl bojowa zatem w społeczeństwie polskim wtedy nie istniała. O przygotowaniu więc militarnym możemy mówić dopiero od połowy 1862 r., kiedy spośród „czerwonych” wyłonił się wspomniany Komitet Centralny z siedmiu osób, który wziął na siebie kierownictwo ruchu. W skład Komitetu weszli również oficerowie organizacji rewolucyjnej na poły rosyjskiej i polskiej, która powstawała wśród korpusu oficerskiego w armii. Najwybitniejszymi z pomiędzy nich byli Jarosław Dąbrowski ¹, który zginął w czasie komuny paryskiej, oraz Zygmunt Padlewski ², stracony następnie w czasie powstania, – obaj członkowie Komitetu. Byli to jedyni wojskowi z zawodu w Komitecie Centralnym i jedyne prawdziwe autorytety, na których odpowiedzialności spoczywało przygotowanie i plan powstania 1863 r. ³.

W celu przygotowania sił przystąpiono wówczas do zorganizowania sprzysiężenia. Było ono oparte na systemie dziesiątkowym. Z dziesiątek tworzyły się setki. Na czele organizacji w każdym województwie stali komisarze Centralnego Komitetu.

Spisek ten rozszerzał się bardzo szybko i przed wybuchem powstania, w styczniu 1863 r., doszedł do rozmiarów, które swymi cyframi wzbudzają podziw dla energii i dla wielkiej konspiracji, jaką włożono do tej pracy. Podawane w tym zakresie cyfry wydają się nieco podejrzanym, gdyż pochodzą z zeznań Awejdji. Nieco przed powstaniem jako podstawę obliczenia przyjmowano: w Płockim – 5.000 ludzi, Lubelskim – 5.000, w Mazowieckim – 4.000, w Podlaskim – 4.000, w Kaliskim – 2.000, w Sandomierskim – 2.000, w Krakowskim – 1.000, w Augustowskim – 700.

Inny członek ówczesnego Komitetu, Bronisław Szwarce, człowiek, który nie zdradzał, który długie lata spędził w katordze, do tych cyfr wprowadza pewne zmiany bardzo wiarogodne, które odpowiadają zupełnie temu wrażeniu, jakie ja odniosłem przy studiowaniu tego zagadnienia ⁴. Ze względów konspiracyjnych nie można było sprawdzać szeregow-

¹ Jarosław Dąbrowski (1836–1871), jeden z najwybitniejszych przywódców ruchu rewolucyjnego, później paryskiej Komuny.

² Zygmunt Padlewski (1833–1863), jeden z najwybitniejszych przywódców powstańczych.

³ Dzieje owego spisku oficerskiego, jak i późniejszego sprzysiężenia Komitetu Centralnego por.: Eugeniusz Przybyszewski, „Jarosław Dąbrowski i jego rola w organizacji narodowej 1861–2 r.” w „Sprawozdaniach z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego Wydziału II”. Rok XX, 1927, Warszawa 1928.

⁴ Bronisław Szwarce (1834–1904), członek Centralnego Komitetu Narodowego z 1862 r., długoletni więzień stanu (w Sztokholmie i na Syberii). J. Piłsudski ma tu na myśli artykuł Szwarcego pt.: „Założenie Komitetu

ców, a trzeba było poprzestać na dowództwie, tak, że same „dziesiątki” musiały zostać w wyobraźni. Tak pisze człowiek, który został aresztowany miesiąc przed powstaniem. Dla mnie cyfry powyższe wydają się mocno przesadzone. Rzeczywiście – prawdopodobnie, że te dziesiątki istniały tylko w wyobraźni. Faktem, który utwierdza w tym mniemaniu, jest, że w samej nocy styczniowej liczba powstańców jest znacznie mniejsza, dalej, że w ciągu całego powstania nigdy nie było więcej na placu boju, jak 30.000 ludzi.

Kółka spiskowe, sformowane przed wybuchem powstania, zajmowały się przede wszystkim rozszerzaniem się, tj. propagandą i dalszym zorganizowaniem spisku. Mnóstwo prac agitacyjnych pochłaniało w ogromnej większości siły tych ludzi.

To również absorbowало czas i kierownictwu organizacyjnemu. Musiało ono być z konieczności zawalone kłopotami organizatorskimi i wystąpieniami w rodzaju manifestacji i różnych psikusów, tak, że na przygotowanie wojenne bardzo mało zwracano uwagi. Zaledwie w niektórych miejscowościach uczono się pewnych zaczątków musztry, prowadzono pewne przygotowania wojenne.

Drugą rzeczą, konieczną dla powstania, jest broń; – broń, której Królestwo nie miało, albowiem od czasu stanu wojennego w 1861 r. kilka razy je rozbrajano, odbierając od ludności wszelkie uzbrojenie. Broni więc było bardzo mało. Było zatem koniecznością broń tę przygotować. Jakoż Komitet Centralny zaczął o niej myśleć. W tym celu wysłano za granicę delegatów¹, którzy mieli czynić zakupy i następnie dostarczyć ją do kraju. W Paryżu jednak aresztowano naszych agentów i nawet papiery, przy nich znalezione, oddano władzom rosyjskim. Stało się to w grudniu 1862 r., tak, że niemal w przeddzień wybuchu władze rosyjskie były powiadomione o przygotowaniach. Mimo tego kupowano różną broń – głównie w Leodium i w Londynie i układano drogi, którymi miała ona dojść do kraju. Poza tym starano się w samym kraju ściągnąć, jakie się tylko dało, uzbrojenie, lecz rezultaty pod tym względem były bardzo nikłe. Do nocy styczniowej ściągnięto, według współczesnych relacji, zaledwie 600 strzelb myśliwskich w różnych częściach kraju. Do tego doliczyć trzeba trochę pistoletów oraz rewolwerów i wreszcie pewną ilość broni białej, mianowicie kos.

Tyle zrobiono pod względem uzbrojenia do wybuchu powstania.

Wreszcie zastanówmy się nad naczelnikami, których przygotowywano do objęcia kierowniczych stanowisk powstańczych.

Takim naczelnikiem głównym był Zygmunt Padlewski, oficer względnie wykształcony, odznaczający się jedną cechą, którą wykazał w całej działalności, mianowicie brakiem uporczywości. Człowiek ten zrażał się bardzo szybko i łatwo ulegał wpływom. Drugą indywidualnością, wysuwającą się na czoło wypadków, był Jarosław Dąbrowski, człowiek znacznie energiczniejszy, bardziej śmiały i przedsiębiorczy. Niestety, aresztowany przed powstaniem², siedział w czasie całego powstania w cytadeli.

Poza tym sprowadzono naczelników na prowincję. Wyznaczono ich kilku. Jednym był na województwo sandomierskie Langiewicz, który wyjechał z Warszawy 12 stycznia na teren obcy, z którym nigdy przedtem żadnych stosunków nie miał. Na Podlasie wysłany został Walery Lewandowski³, który wyjechał tam w początkach stycznia. W szczęśliw-

Centralnego w r. 1862” w książce zbiorowej „W 40-tą rocznicę powstania styczniowego”. Lwów 1903 r., str. 441⁵49, oraz uwagi tegoż w t. IV „Wydawnictwa materiałów do historii powstania 1863–1864”. Lwów 1894.

¹ J. Ćwierciakiewicz, Godlewski i Milowicz.

² 14 sierpnia 1862 r.

³ Walery Lewandowski (1822–1907) wzięty do niewoli w 1863 r., zesłany został na Sybir.

szym położeniu był dowódca wojenny województwa krakowskiego, Apolinary Kurowski, który był obywatelem miejscowym.

Jeżeli weźmiemy innych dowódców niższych, którzy udawali się na stanowiska, to wszyscy wyjeżdżali dopiero w styczniu. Np. Antoni Jeziorański wyjechał do rawskiego powiatu 16 stycznia, Józef Oxiński w Kaliskie w tym samym dniu. Jeden Roman Rogiński w Podlaskim pracował nieco dawniej.

Taki był w najogólniejszych zarysach stan przygotowań ze strony polskiej przed wybuchem powstania.

WYKŁAD DRUGI

14 lutego 1912 r.

Żeby zakończyć z przygotowaniem do powstania, muszę wspomnieć o dwóch instytucjach, które w wielkim stopniu przyczyniły się do lepszego prowadzenia i stanowiły pewną dumę powstania. Pierwsza z nich – to szkoła w Genui, potem w Cuneo¹, przeniesiona tam z powodu specjalnych warunków politycznych. Założona ona była przez koło emigrantów wojskowych i młodzież z Paryża. Szkoła owa istniała cały rok i została zamknięta przez rząd włoski we wrześniu 1862 r. Wychowała ona około 200 ludzi, dając im wykształcenie niższego oficera. Przy braku wykształcenia wojskowego szkoła ta w wielkim stopniu przyczyniła się do polepszenia sytuacji w Polsce. Była ona również pewnym centrum życia wychowawczego pod względem politycznym. To też z tej szkoły wyszło bardzo dużo działaczy powstańczych, z których prawie wszyscy spłacili swój dług krwią własną na polach bitew lub niewolą na Syberii. Bardzo nieliczni ludzie z tej szkoły nie zostali upamiętnieni w historii powstania.

Drugą specjalną zasługą Centralnego Komitetu jest organizacja cywilna późniejszego Rządu Narodowego, wybudowana przezeń przed powstaniem. Organizacja ta odznaczała się pewnymi cechami, które bodaj że w żadnym innym kraju w czasach rewolucyjnych spotkać się nie dają. Była to organizacja o tyle sprężysta i silna, sięgająca do najdalszych zakątków, że gdyby szło o wzór dla organizacji rewolucyjnej, to ją można jako taki postawić. Dla celów wojennych ważną była organizacja komunikacji, która, specjalnie opracowana, przez cały czas powstania niesłychanie oddawała usługi sprawie wojennej. Cywilna ta organizacja musiała jednak pochłaniać całe mnóstwo sił ludzkich, które trzeba było czerpać z tego samego zapasu spiskowych. Zmniejszało to znacznie materiał ludzki do walki orężnej na polu bitwy na rzecz organizacji cywilnej, która działała w czasie całego powstania².

Oto w ogólnych zarysach stan przygotowań, jakie osiągnęła organizacja ruchu pod przewodnictwem Centralnego Komitetu dla powstania ze strony militarnej. I czas jest, abym dał wam pewną krytykę postępowania ówczesnych działaczy, krytykę – jak powtarzam – możliwie obiektywną, wychodzącą z założenia, że staje się w położeniu tych, którzy wówczas pracowali.

Przede wszystkim zwraca uwagę niedostateczne przygotowanie materiału ludzkiego, którym powstanie rozporządzało. Materiał ten składał się głównie z mieszczuchów, robot-

¹ Cuneo – miasto w Piemontcie (Włochy płn.), siedziba polskiej szkoły wojskowej w 1861–2 r.

² Zarys dziejów cywilnej i wojskowej organizacji powstańczej opracował Edward Maliszewski „Organizacja powstania styczniowego” Warszawa (1924 r.).

ników, dość licznej inteligencji, wreszcie z wiejskiego elementu, z oficjalistów prywatnych przy dworach czy zakładach fabrycznych. Główną podstawą było mieszczaństwo, w którym wtedy przeważał element rzemieślniczy. Jeżeli wziąć spiskowych, to główną ich cyfrę stanowili mieszkańcy miast i miasteczek Królestwa. Element ten cały pod względem wojennym nie był do jakiegokolwiek wojny przygotowany, albowiem wówczas przygotowanie wojenne państw było formowane inaczej, niż obecnie. Armie ówczesne nie tworzyły się na zasadzie powszechnej służby wojskowej, lecz przez rekrutację, przy tym rekrut w Królestwie szedł do wojska na dziesięć lat. Jego doświadczenie wojskowe najzupełniej nie dawało się przez społeczeństwo zużytkować. Dlatego też mamy tu do czynienia z elementem, do wojny nieprzygotowanym.

Obok tego dłuższy czas względnego zacisza z jednej strony, z drugiej stałe rozbijanie Polski sprawiły, że ludność z bronią oswojona nie była. Broń, zwłaszcza dla mieszczaństwa, nawet najprymitywniejsza, jaką była kosa, stanowiły zupełną nowość.

I oto nie spostrzegam w pamiętnikach żadnych działań ze strony głównych kierowników, aby tę ludność do nadchodzącej wojny przygotować. Jeżeli niektórzy wspominają o pewnych próbach musztry, to jednak widocznie było to tak rzadkie, że przeważnie pamiętnikarze opuszczają ten dział roboty. We wspomnieniach wybitnych członków Centralnego Komitetu nie znajdziemy nawet myśli, że należy ludzi do wojny przygotować. Zajęci oni byli pracą koło dalszego zorganizowania spisku, naprawianiem szczerb organizacji, zdarzeniami wewnętrznymi w rodzaju manifestacji, zajęci byli sprawami cywilnymi, zorganizowaniem konspiracji cywilnej, wreszcie byli pochłonięci wypadkami, idącymi w tak żywym tempie – ale o tych rzeczach technicznych, związanych z wojną, prawie nie myślano. Powiadam „prawie” jedynie przez sumienność, gdyż bodaj tylko u jednego pamiętnikarza jest o tym wzmianka.

Tym przykrzej mnie to uderza, że, czytając pamiętniki, opisujące powstanie, napotkałem we wspomnieniu Beliny¹ z powiatu łęczyckiego na wiadomość, że gdy w maju czy czerwcu 1863 r., a więc po rozpoczęciu powstania, przyjechał nowy naczelnik, to pierwszym krokiem jego było założenie szkoły podoficerskiej. Czyż nie czas było te szkoły zakładać poprzednio? Czyż nie należało zawczasu głowy zaprzętać tym, co następnie pod strzałami robić musiano? Jeżeli można było urządzić tak świetnie służbę cywilną, komunikacyjną etc., to zdawałoby się, tym łatwiejszym jest zwrócenie uwagi na przygotowania, konieczne do wojny.

Niechybnie każda organizacja konspiracyjna, istniejąca i rozwijająca się w warunkach zaboru rosyjskiego, a więc pod stałym naciskiem prześladowczego rządu, przede wszystkim dbać musi o własne bezpieczeństwo. Zmiana takiej organizacji na jawną nie jest łatwą i wymaga czasu, aby ją przeprowadzić. Ale ten czas potem byłby wygrany, gdyby poprzednio zostały zrobione przygotowania w celu wychowania wojennego ludzi. Obok tego praca nad przygotowaniem wojennym tego elementu niechybnie by się przyczyniła nawet do uzdrowienia stosunków wojskowych. Dałaby pewne zajęcie ludziom, któreby ich powstrzymało czasem od różnych wystąpień, jakie wówczas nieraz miały miejsce. Ludzie by wtedy bardziej się liczyli z trudnościami technicznymi, które mogłyby niechybnie się przyczynić do zmniejszenia lekkomyślności, z jaką wojnę wydano. Powołam się tutaj na opinię człowieka, któremu w tym wypadku najwięcej wierzyć można, na słowa Szwarcego, który nie kłamał dla polityki, czy też dlatego, aby przed żandarmami się wykręcić. Otóż twierdzi on, że niemożliwym jest wszechstronne przygotowanie w takich warunkach. Nic dziwnego, że organizacja ta poważnie chromać musiała.

¹ Stanisław Belina (Wiktor Jaworski), „Notatki o powstaniu w Łęczyckiem” w Agatona Gillera „Polska w walce” t. I. Paryż 1868.

Drugą sprawą nie mniejszej doniosłości jest kwestia uzbrojenia. Znanie i słuszne są napaści na brak broni i przygotowania pod tym względem. Lecz spójrzmy, skąd się ją bierze? Kupuje się w Londynie, Paryżu, Belgii i Włoszech, a więc w krajach, nie sąsiadujących z Królestwem, narażając się na najrozmaitsze trudności i przeszkody przy jej przewożeniu. Na kraje najbliższe nie zwrócono uwagi, a przecież one przede wszystkim powinny być powołane do tego, aby stać się dostarczycielem broni. Stamtąd nie trzeba było transportować broni przez rozliczne granice. Wynik to bardzo świeżej tradycji świętego przymierza¹ trzech państw zaborczych; wynik to niepewności, jaką spiskowcy odczuwali na gruncie Austrii i Prus; wynik to był wreszcie tego stanu rzeczy, że rewolucja ówczesna miała podstawę w Kongresówce i w emigracji. W Galicji czy w Prusach element polski był znacznie bardziej skrupowany, niż na Zachodzie. Również nieobojętnym był wpływ pewnego sprzymierzenia się naszej irredenty² z ruchem wolnościowym w całym świecie, który był silnym na Zachodzie, a słabym w Niemczech i Austrii.

Obok tego zwrócić musi uwagę centralizowanie dostarczania broni, które znajduje się w rękach jedynie Centralnego Komitetu. Władze lokalne i wojewódzkie od tego są zupełnie usunięte. Zgadza się to z polityką Centralnego Komitetu niedolewania oliwy do ognia. Bardzo możliwe, że daleko posunięta ostrożność kierowała Komitetem, kiedy centralizował dostawę broni. Jednak przyznać trzeba, że ten sposób przy szerokich przygotowaniach musi dać w warunkach konspiracyjnych ujemne rezultaty, przede wszystkim z powodu znacznego ryzyka, jakie pociąga za sobą każde centralizowanie. Uniknęłoby się może zbytniego narażenia przygotowań na najrozmaitsze nieprzewidziane okoliczności, które doprowadzają do takich katastrof, jak wspomniana z grudnia 1862 r. Lokalne siły wojewódzkie w swoim zakresie, licząc się z miejscowymi warunkami, mogłyby znacznie lepiej i znacznie pewniej przygotować i zebrać tę broń z najbliższych okolic z Prus i Austrii, choćby ona była mniej liczna. Niektórzy z tych lokalnych przedstawicieli władzy wyłamywali się spod silnej ręki Centralnego Komitetu, niektórzy dowódcy o tę broń niezależnie podjęli starania, co – jak się okazało – było tylko z korzyścią dla sprawy.

Przypuszczam jednak, że postawić pod tym względem Centralnego Komitetu w stan oskarżenia nie można. Ta jego ostrożna polityka była w istniejących warunkach wskazana. Komitet Centralny, zdaniem moim, popełnił błąd, że nie stworzył sobie odpowiednich organizacyj wojennych na prowincji. Wszędzie potworzył tam organizacje cywilne, ale organów wojennych nie miał. Lecz nie dziwię się wcale, że Centralny Komitet wahał się poruczyć broń organizacjom cywilnym.

To samo, co z bronią, było ze wszystkim absolutnie, co dotyczyło uzbrojenia żołnierza. Nie było przygotowane kompletnie nic. Nie myślano o tym wcale. I jeden z wybitnych mężów tych czasów, Langiewicz, słusznie powiada, po obejrzeniu wyznaczonego mu województwa sandomierskiego, że wydawało mu się, jakoby powstanie miało być kilkugodzinnym polowaniem³. Takie były przygotowania.

Podnoszę to jako niezaprzeczoną winę Centralnego Komitetu. Był to brak organizacji wojennej i mężów zaufania w tej dziedzinie – komendantów wojennych na prowincji. Na-

¹ Mowa o traktacie zawartym dn. 26. IX. 1815 r. między Aleksandrem I, Franciszkiem I i Fryderykiem Wilhelmem III, zwanym „Świętym przymierzem”. W traktacie tym wymienieni monarchowie zobowiązali się do wzajemnej pomocy i solidarności przy tłumieniu wszelkich ruchów rewolucyjnych.

² Irredenta – sprzysiężenie polityczne. Nazwa pochodząca z Włoch, gdzie irredentyści postawili sobie za cel połączenie z Włochami wszystkich ziem, mających ludność włoską.

³ Marian Langiewicz, „Relacja o kampanji własnej w r. 1863”. Wydał Bertold Merwin „Kwartalnik Historyczny”, Lwów 1905, str. 255.

czelnicy ci wyjechali z Warszawy dopiero w styczniu, na parę tygodni, czasem kilka dni przed wybuchem. Przeważnie nie znają oni terenu. Każdy gubi się na miejscu w milionie szczegółów; każdy potrzebuje czasu, aby się oswoić z nowym położeniem. Tego czasu mu nie dają. Brak owych naczelników wojennych na miejscu jest jednym z najcięższych grzechów, jakie Komitet Centralny w stosunku do sprawy wojennej popełnił. Gdyby ci naczelnicy byli na miejscu choć parę miesięcy, to niechybnie inne byłyby skutki ich pracy.

Każdy plan, powstały w tej czy innej głowie, wymaga wykonawców. Żaden plan objąć wszystkich szczegółów nie jest w stanie. I te szczegóły, które decydują o powodzeniu planu, ktoś musi przygotować i opracować. To było obowiązkiem wojewódzkich komendantów. Obowiązkiem ich było obmyślenie na miejscu, jak ten materiał wykorzystać, jak ten czy inny plan Centralnego Komitetu przeprowadzić. Niechybnie ludzie, którzyby nad tym pracowali na miejscu i od dłuższego czasu, bardzo wiele mogliby przygotować pod względem wojennym; prace ich wywołałyby narady i poprawki Centralnego Komitetu, zbliżając plany bardziej do realnych warunków.

Kiedy występuję z tym oskarżeniem, że oni o wojnie zgoła nie myśleli, że, wojnę wypowiadając, do wojny się nie przygotowali, muszę, rozpatrując tę sprawę i znając psychikę rewolucji, powiedzieć sobie, że z wielu win da się ich rozgrzeszyć, jako rewolucjonistów. Potęgę rewolucji przed rewolucją stanowi technika, czy co innego? Nie! Siłę rewolucji stanowi to, co się dzieje w głowach ludzkich: wzrost namiętności ludzkich; one stanowią bazę, bez której żadna rewolucja istnieć nie może. W podobnych zjawiskach dziejowych dajcie najwspanialszą technikę, a niech namiętności nie będzie – nie będzie rewolucji; dajcie gorszą technikę, ale przy silnej namiętności – a rewolucja będzie. W tym jest siła, w tym jest podstawa rewolucji. I oto w owym zapale, w chęci budowania siły, kiedy się widzi, że siła namiętności wywołuje przewrót we wszystkim, co istnieje, nie dziwcie się, że jest chęć wzmocnienia tej podstawy, że tu idą główne wysiłki przywódców.

Zastanowić się warto, kto tą rewolucją kieruje? Student, oficerek, urzędniczek, ludzie normalnie bez wpływu, których głos nic nie znaczy. I oto tych ludzi cały kraj słucha. Ta bajeczna kariera, ten bajeczny rozwój roli, jaką ludzie ci odgrywają, ta bajeczna metamorfoza, która z ludzi, nic nie znaczących, robi potęgę, ta metamorfoza musi zawrócić ludziom głowy. Ludzie w siłę wierzą. Powolne narastanie techniki obok tej żywiołowej namiętności sprawia wrażenie, że tam jest siła, robi wrażenie, że tu głównie na siłę namiętności oprzeć się trzeba. Albowiem cechą znaną wszystkim czasów przedrewolucyjnych jest, że rządy przed rewolucją się cofają. Ludzie to widzą, są przekonani, że dzieje się to pod wpływem tych bajecznych sił.

I oto psychiczne warunki rewolucji wytwarzają daltonizm, dający przesadną wiarę w te siły, jakie mamy. Stąd wynika pewnego rodzaju zaślepienie, które daje jeszcze większe usunięcie na plan drugi tego, co potem będzie potrzebne i niezbędne, gdy bój zawrze. Jeżeli rozważymy warunki, w których jakakolwiek rewolucja zwycięża, to powiedzieć musimy, że żadna zwyciężyłaby nie mogła, gdyby na technice oparła swe rachuby.

WYKŁAD TRZECI

15 lutego 1912 r.

W zeszłym wykładzie starałem się wytłumaczyć, dlaczego kierownictwo zamierzonej rewolucji w Królestwie niedostatecznie pomyślało o technicznych przygotowaniach. Starałem się wytłumaczyć, że bazą wojenną każdej rewolucji są namiętności ludzkie. Byłoby błędem ze strony kierownictwa rewolucji, gdyby ono na tę podstawę i na jej opracowanie

nie zwróciło uwagi, tym bardziej, że stan podniecenia i zrewolucjonizowania daje widoczny rezultat w okresie przedrewolucyjnym w postaci cofania się rządu. Zwycięstwa już odniesione upoważniają do sądzenia o sile i potędze ruchu. Powstanie 1863 r. pod tym względem było podobne do bardzo wielu rewolucyj, a raczej do wszystkich rewolucyj, jakie kiedykolwiek istniały na świecie. W czasach spokojnych ludzie w rewolucję nie wierzą i dlatego się nie przygotowują. Kiedy zaś przychodzi okres rewolucyjny, czasu już na to nie ma.

Nie usprawiedliwia zaniedbania tego również fakt, że powstanie miało wybuchnąć później, gdyż Centralny Komitet odkładał je na kilka zaledwie miesięcy. Nie upoważniała więc owa zwłoka do tego niedbalstwa w dziedzinie prac technicznych. Pod tym względem osobiście podzielam zdanie wojennego przedstawiciela obcego państwa, który się zjawiał w Polsce w czasie wojny 1863 r. jako obserwator, coś w rodzaju attaché przy wojsku polskim. Był nim major sztabu generalnego Erlach, Szwajcar, który zostawił książeczkę, opisującą swoje z tego czasu wrażenia¹. Różne jego bardzo pochlebne zdania cytowane są często w opracowaniach dziejów powstania. Natomiast z wielką siłą przekonania podkreśla on w konkluzji, że powstanie nie było przygotowane, i twierdzi, iż dla Szwajcarii płynie stąd nauka, że im wojna ludowa lepiej i dłużej jest przygotowana, tym pomyślniejszą bywa w skutkach.

Przechodząc teraz do planu Komitetu Centralnego dla powstania, zastanowić się wypada nad pytaniem, co właściwie podlega planowaniu? W wojnach regularnych nie planuje się wojny od początku do końca. Podlega planom zaledwie jej początek: mobilizacja i koncentracja strategiczna. Dalsze sprawy, sam przebieg wojny już planowanym być nie może, gdyż zależy w wielkim stopniu od przeciwnika. Zatem wojna planowana jest tylko dla swego początku. Na dalszy okres istnieją tylko główne myśli wytyczne. Bieg wypadków ginie we mgle niepewności. Tylko sam początek sztaby przed wojną planować są w stanie.

Jeżeli jednak zwrócimy się do warunków rewolucyjnych, tam, gdzie istnieje wrogi rząd, który nad całym terytorium panuje i na nim gospodaruje, to od razu spostrzeżemy, że sam plan, jakiby mógł być skonstruowany, podlega zawsze znacznie większym wątpliwościom, niż w armii regularnej. Armia ta ma zawsze znajomość i pewność terenu, na którym stoi, oraz dokładne wiadomości co do swoich własnych sił i co do swoich pierwszych zamiarów. W rewolucji nawet ta podstawa podlega znakom zapytania.

Już sama mobilizacja, jako podlegająca obserwacji nieprzyjaciela, jako podlegająca działaniu jego złej woli, sama koncentracja staje się niepewną, chwiejną we wszelkich obliczeniach. Dlatego też wszystkie plany rewolucyjne zwykle są dla spokojnego i rozważnego oka szalonymi, zuchwałymi planami, które rozważny umysł uważa za niemożliwe do wykonania.

Rewolucja planować również może tylko swój początek, ten początek, który nazywam bojem wstępnym, jaki trzeba stoczyć, aby mieć możliwość prowadzenia rewolucji. Planowanie tego boju jest obowiązkiem sztabu rewolucyjnego. Jest on koniecznością psychologiczną, jest to, że tak powiem, wrzód, który pęknąć musi, jest to narastanie psychiczne; konieczność psychiczna, do której zmierza tak jedna, jak i druga strona. Rządy rozumne usiłują sprowokować rewolucję do przedwczesnego wybuchu, kiedy siły rządowe nie są zupełnie zdemoralizowane przez owo żywiołowe przejawienie się ducha rewolucji. Do tego dążą również najczęściej rewolucjoniści pod wpływem parcia z dołu: decyduje dół, który nie rozumuje, nie rachuje, nie myśli.

¹ Franz L. Erlach. „Die Kriegsführung der Polen im Jahre 1863 nach eigenen Beobachtungen von März bis August an Ort und Stelle gesammelt von...”, Lipsk 1866. (Przekład polski Jana Gagatka i Wacława Tokarza. Warszawa 1919).

Rewolucja, która do wybuchu jawnej walki fizycznej nie doszła, nie jest rewolucją. I tu jest wszystko jedno, czy ten wybuch nastąpi w jednym tylko miejscu, jak się to bardzo często zdarzało; czy to będzie walka, toczona w głównym siedlisku wroga, czy w innym jakim miejscu; czy też to będzie „rozlana” rewolucja, wybuchająca jawnie w różnych miejscach, jak to bywa zwykle w rewolucjach narodowych; czy daje ona natychmiastowe rezultaty, czy też potem znowu będzie przez długi okres czasu zmagać się z przemocą; jest to wszystko jedno. W każdym razie istnieje konieczność zrobienia wstępnego boju, który musi być rozplanowany.

Bój ten jest zawsze niespodzianką nie tylko dla rządu, przeciw któremu wybucha, ale i dla otoczenia, dla wszystkich tych, którzy bezpośrednio w spisku udziału nie biorą. Otóż jest to jednym ze zwykłych błędów, że rewolucjoniści nie liczą się z niespodzianką, jaką wybuch stanowi dla ogółu. Jest to znowu ten daltonizm psychiczny u rewolucjonistów, którzy czasu, koniecznego dla oswojenia się z bojem, szerszym masom dać nie chcą.

Od sposobu prowadzenia tej pierwszej bitwy i jej rezultatów, od wrażenia, jakie ona wywrze, najczęściej zależą dalsze losy rewolucji. Gdy ten pierwszy bój jest przegrany, wówczas najczęściej rewolucja przegrywa i odwrotnie, gdy on jest wygrany, wtedy daje rozpęd wielkiej rewolucji, prowadzący do zwycięstwa. Dlatego obowiązkiem kierowników rewolucji jest przed wybuchem wstępny bój możliwie opracować, możliwie do niego się przygotować; ten wstępny bój zrobić możliwie zwycięskim. A pod tym względem ogólne prawa strategiczne i taktyczne są obowiązujące. Trzeba rzucić wszystko na szalę wypadków, aby ten bój wywalczył podstawy istnienia rewolucji, żeby umożliwił on mobilizację i koncentrację sił rewolucyjnych.

Specjalnie ten wstępny bój w warunkach Królestwa Polskiego jest prawie obowiązkiem z tego względu, że Królestwo, jako kraj podbity, nie ma własnego rządu, który rewolucja względnie łatwo obala, a jest rządzone przez władzę obcą, nie wyrastającą z łona społeczeństwa. Dlatego wszelkie starania rewolucji są w Królestwie znacznie trudniejsze, niż gdzie indziej. To też wstępny bój musi być tu szeroko planowany. Uderzenie w jeden punkt nie da rezultatu.

Jeżeli przejdziemy do planów, jakie układali dowódcy powstania, to z nich znam dwa. Pierwszy plan – Jarosława Dąbrowskiego – był przedstawiony jeszcze przed utworzeniem Komitetu Centralnego na początku 1862 r., kiedy najrozmaitsze grupy rewolucyjne nie zwały się jeszcze w jedną organizację, kiedy były one złączone węzłami jakby federacyjnymi, kiedy Centralny Komitet jeszcze się nie wyłonił. Wówczas Dąbrowski, jako przedstawiciel miejskiej organizacji i wojskowego spisku w wojsku rosyjskim, wystąpił z projektem następującym: spiskowi, których miało być 7.000 (w Warszawie 2.500), zbiorą się wokoło cytadeli (26 czerwca), uzbrojeni w byle co. Wtajemniczeni oficerowie otwierają im bramę cytadeli i przez nią powstańcy wchodzi do wnętrza twierdzy, rozbijają załogę, opanowując magazyny itp. Pewna część spiskowych rozbiega się w tym czasie po mieście w celu aresztowania lub zabicia wyższych dowódców i oficerów. Biją w dzwony, starają się opanować arsenał. Tym czasem wojsko, stojące w obozie powązkowskim, ma się zachować możliwie neutralnie. Oficerowie spiskowi mają otoczyć namioty dowodzących. W ostatecznym wypadku mają udać, że ze sztabu przyszedł rozkaz odprowadzenia wojska kilka mil za Warszawę. Mniej więcej to samo miało się odbyć pod Modlinem, w którym leżało 70.000 karabinów. Oficerowie i junkrzy mieli tam wpuścić przez otwartą bramę spiskowych. Na prowincji, w miastach gubernialnych i powiatowych, dokonywa się napałów na garnizony i stara się te punkty opanować. Dąbrowski nalegał, aby termin ustalić na 26 czerwca z tego względu, że późniejszy termin pozbawi powstanie wielkiej pomocy ze strony oficerów spiskowych, gdyż rząd, przewidując wybuch, miał przystąpić do masowych przenosin oficerów Polaków z Królestwa w głąb Rosji. Przy tym twierdził on, że nie

tylko oficerowie, lecz i żołnierze są związani ze sprawą rewolucji i że żądają, aby im po wybuchu pozwolono sformować legion rewolucyjny przeciw carskiej Rosji.

Plan ten nie wszedł w wykonanie dla bardzo wielu powodów, a głównie dlatego, że się okazało, iż wojsko rosyjskie nie znajduje się w takim świetnym dla rewolucji nastroju, jak Dąbrowski myślał. Abstrahując od tego, musimy go rozpatrzyć. Plan Dąbrowskiego przewiduje bój przedwstępny bardzo ryzykowny, ale dający w ręce, w razie powodzenia, szeroką podstawę dla dalszej rewolucji. Po drugie, opiera się on na spiskowych tam, gdzie oni istnieją. Nie wymaga skomplikowanych koncentracyjnych marszów etc. Jedynym wypadkiem dyslokacji spiskowych byłby napad na Modlin. To są dobre strony tego planu. Nie ma tu niepotrzebnych manewrów, do których ludzie nowi nie będą najczęściej zdolni. Trzecią dobrą stroną jest to, że stawia się od razu wszystko na kartę, że jest w tym rozpęd, który stanowi cechę i siłę rewolucji. I gdyby ten plan mógł być wykonanym, to niechybnie powstanie albo by stanęło od razu silnie na własnych nogach, albo od razu byłoby zamarło.

Złą stroną w tym planie, jak zresztą we wszystkich planach rewolucyj, stanowi opieranie się na „sztuczkach”. To nie jest otwarta siła, lecz dowcipny sposób. Poleganie na możliwościach, na sprycie, na szybkim zorientowaniu się, działanie bez rezerwy – oto są słabe strony, jakie zawsze we wszelkich tego rodzaju planach być muszą. Gorszą słabą stroną jest to, że opiera się on nie na rzeczywistej sile, a na iluzorycznej, jaką ludzie obcy daćby dopiero mogli. Opiera się on na pomocy ze strony oficerów i żołnierzy rosyjskich. To też nic dziwnego, że cała ta pomoc wydała się reszcie Komitetu niemożliwą. I pomimo, że Dąbrowski usilnie nalegał, by plan jego przyjęto, zażądano, aby przedtem zwołał on przedstawicieli wojskowych organizacji dla rozmówienia się z nimi. Na tym zebraniu okazało się, że Dąbrowskiego uniósł fanatyzm. Nie było ani tak wielu oficerów, ani nie byli oni pewni własnych podwładnych. Zaledwie jeden był pewny swej kompanii, inni byli nawet przekonani, że żołnierze staną przeciw rewolucji.

Jarosław Dąbrowski był jednak znakomitym rewolucjonistą. Pewne dane upoważniały do takiego wnioskowania. Na dowód, jak szerokim był ten prąd w wojsku, opowiem państwu, zda się, brzmiącą anegdotycznie, historię, którą miał jeden z organizatorów wojskowych na prowincji w województwie kaliskim – Oxiński¹. Kiedy wyjeżdżał „na powstanie” 16 stycznia, wówczas widział się z oficerem, kierującym sprzysiężeniem, który, nie mając pod ręką adresów oficerów-spiskowców w Kaliskim, wskazał mu tylko ludzi, do których ma się udać po informacje. Powiedział mu tylko, że najwięcej spiskowych jest w artylerii. Oxiński przyjeżdża do Warty, w cukierni dowiadyuje się o komendanta artylerii, idzie do niego, okazuje znak, jaki był odznaką sprzysiężonych. Oficer zdetonował się, wyjął taką samą kartkę z kieszeni i podał ją Oxińskiemu. Widocznie stan umysłów upoważniał do takich sposobów.

Wreszcie najgorszą stroną projektu Dąbrowskiego było to, że, ulegając sugestii siły ruchu rewolucyjnego w Rosji, przypuszczał, iż sprawy rewolucji w Polsce za sprawą rewolucji w Rosji dadzą się złączyć w jedno i że sprawa polska w ten sposób może stać się sprawą wewnętrznej rewolucji dla całego państwa rosyjskiego. Dlatego też cały plan w swojej istocie ma cechy planu rewolucji wewnętrznej, który wojny nawet nie przewiduje.

Drugi plan wybuchu przedłożony został przez Zygmunta Padlewskiego. Plan jego jest całkiem inny: jest on mglisty, osnuty w stylu wielkiej wojny. Padlewski bierze pod uwagę przede wszystkim komunikację Warszawy z resztą państwa. Plan ten wymagał, aby powstanie z największą siłą wybuchło na wschodzie; aby w ten sposób rewolucja opanowała komunikację Warszawy i Królestwa z resztą Rosji; żeby wreszcie, w razie niepowodzenia pierwszych napadów, nacisk szedł na wschód i północ ku Litwie, aby rozszerzyć pod tym

¹ Józef Oxiński, „Od 16 do 21 stycznia 1863 roku”. Urywek z pamiętnika w księdze zbiorowej „W 40-ą rocznicę powstania styczniowego”. Lwów 1903.

względem obszar, objęty powstaniem, i aby dalsze komunikacje zrobić dla wojska niepewnymi. Natomiast na południu Langiewicz, niejako pod osłoną tej walki na wschodzie i północy, miał formować armię, która miała iść na Warszawę.

Wstępny bój jest w tym projekcie na planie drugim, właściwie brak go zupełnie; jest tylko ogólny rys kampanii, któraby mogła trwać lata w przyszłości. Nie ma w nim wywalczenia warunków dla kampanii. Jest tu pewna fikcja. Pokutuje w nim również myśl owładnięcia Modlinem i Zamościem dzięki stosunkom z armią rosyjską, nad czym, jak wspomniałem, stał znak zapytania. Wreszcie napady na garnizony zostały tu uwzględnione tylko jako rzecz dodatkowa, która nie jest specjalnie rozplanowywana.

Oto są dwa plany, które przed wybuchem rewolucji istniały. Pierwszy – plan rewolucyjny, drugi natomiast to plan wojny bez danych dla jej prowadzenia. Jedną z najpoważniejszych luk, osobliwie w planie drugim, jest zupełne niezwracanie uwagi na granice. Granice są zostawione zamknięte. I jeżeli Dąbrowskiego usprawiedliwić można, że o tym zapomina, gdyż bierze pod uwagę jedynie rewolucję wewnętrzną, to Padlewskiego uniewinnić pod tym względem nie sposób.

Wreszcie pozostaje zagadnienie, które do końca rozstrzygnięciem nie zostało, – to sprawa naczelnego dowództwa. Na wojnie odgrywa ona bardzo wielką rolę. Pod tym względem kwestia ta wywoływała nieraz silne tarcia i spory i bodaj, że będę zupełnie ściśle trzymał się prawdy, jeżeli powiem, iż kwestia dyktatury była uważana za jedyny sposób rozstrzygnięcia tej sprawy.

Otóż chciałbym zwrócić uwagę na ten szczegół, gdyż on w historii militarnej powstania odegrał bardzo poważną rolę i bodaj w wielkim stopniu przyczynił się do zwiększenia słabych stron wybuchu 1863 r. Z historii wiemy, że dyktatura wojenna w tych warunkach, jakie mieliśmy wtedy, była fikcją. Było dwóch wodzów, którzy nosili ten tytuł, to Mierosławski, potem Langiewicz. W obu wypadkach dyktator, panujący nad Polską, mógł kierować tylko setkami ludzi, którzy znajdowali się w jego obozie. I do takiej roli chciano zmuszać zarówno Mierosławskiego¹, jak i Langiewicza! Jedyna realna dyktatura, jakaby mogła istnieć, była połączona z Warszawą. Tam się zbiegały nici z całego kraju; tam wiodły linie komunikacyjne, szły wiadomości, nieraz może późne, ale tam się schodziły. Stamtąd nowe rozkazy płynąć mogły. I tam jedynie było miejsce dla dyktatora. Spostrzeżono to zbyt późno.

Tym czasem wówczas rewolucja była tylko wojną dla wodzów. Zapominali oni o tym, że aby wojnę toczyć, przedtem rewolucji dokonać trzeba, że wojna jedynie po wywalczeniu warunków dla niej toczoną być mogła. Oni natomiast nawet w ujęciu kwestii dyktatury dawali świadectwo, jak fałszywie sprawę rewolucji sobie przedstawiali.

WYKŁAD CZWARTY

16 lutego 1912 r.

Poprzednio scharakteryzowałem dwa plany przed wybuchem powstania. Wspomniałem, że pojęcie o wielkiej wojnie istniało powszechnie; że tym tłumaczy się plan dyktatury wojennej, jak gdyby ona bez wywalczenia możliwości jej była możliwa. Taką magiczną

¹ Ludwik Mierosławski (1814–1878), pisarz wojskowy. Inicjator nieudanego powstania w 1846 r. w Poznaniu. Organizator i kierownik szkoły wojskowej w Cuneo. Po wybuchu powstania 1863 r. mianowany dyktatorem, wrócił do kraju. Ranny w bitwie pod Nową Wsią, wyjechał za granicę.

laseczką, która rozwiązywała wszystkie trudności liczbowe, techniczne etc., miało być pospolite ruszenie włościan.

Jest cechą charakterystyczną wszystkich ruchów rewolucyjnych, iż takie laseczki w wyobraźni ich przewódców istnieją. W 1905 r. była nią żywiołowa potęga mas ludowych, które miały rozwiązać różne trudności techniczne walki rewolucyjnej. Tak samo w 1863 r. wszelkie techniczne trudności miały być usunięte przez pospolite ruszenie.

Nie moją rzeczą obalać takie czy inne pod tym względem poglądy polityczne i społeczne, jakie istniały w głowach ówczesnych przywódców. Moją rzeczą jest wskazać na przeoczenie faktu, że taka siła magiczna, ażeby móc urzeczywistnić to, czego się po niej spodziewa, musi być przedtem przepracowana przez świadomą swych celów i świadomą swych środków grupę. Pospolite ruszenie polega na użyciu, na poruszeniu ludzi, nie należących do żadnej organizacji. Dlatego też było obowiązkiem pomyśleć o tym, jak świadoma swych celów i środków organizacja rewolucyjna ma przygotować rewolucję, ażeby tą magiczną laseczką, niezorganizowaną i na razie nierealną masą, wywalczyć urzeczywistnienie celów rewolucji.

Przejdę teraz do planu trzeciego, który został urzeczywistniony, który stał się wyrazem realnym w noc styczniową. Aby zrozumieć i ocenić go należycie, trzeba wejść w położenie ludzi, którzy go wytworzyli. Działo się to podczas niespodziewanej branki w Warszawie. Brankę tę rząd ogłosił, lecz termin jej nie był znany. I oto, dzięki podnieceniu dołu, termin wybuchu łączył się w umysłach z terminem branki. Wszechpotęga Centralnego Komitetu i organizacji pozwoliła spiskowym mieć nadzieję, że Centralny Komitet obroni od branki i na brankę odpowie powstaniem. Już przed samą branką Centralny Komitet, wiedząc o aresztowaniu agentów, wysłanych po broń, rozpoczął w swoim łonie debaty, jak zachować się, jeżeli branka przyjdzie przedwcześnie. Postanowiono urządzić masową dyslokację spiskowych; przypuszczano, że można będzie dowiedzieć się o brance wcześniej i w ten sposób uchronić przed nią ludzi.

Branka jednak wypadła nie tak, jak Centralny Komitet się spodziewał; spadła niespodzianie. O ostatecznej decyzji dowiedziano się na parę godzin przed jej rozpoczęciem. Zdażono tylko porobić pewne zarządzenia, a więc wyznaczono naprędce punkty zborne, tak, że branka w samej Warszawie ciosu organizacji nie zadała. Na 2.000 proskrybowanych w mieście, wzięto tylko pięciuset kilkunastu. Reszta wyszła z Warszawy do lasów okolicznych.

Fakt branki wywołał tak silną presję z dołu, że Komitet Centralny musiał powziąć szybkie postanowienie wybuchu powstania. Trzeba było śpieszyć, gdyż branka na prowincji miała się odbyć dn. 26 stycznia. Miano zatem od branki w Warszawie 10 dni czasu.

Mamy tutaj ten wypadek, kiedy rząd, przeciwko któremu rewolucja idzie, w poczuciu siły bierze inicjatywę, ruchu rewolucyjnego się nie boi. Inicjatywa wzięta została przez rząd, trzeba było na nią odpowiedzieć inicjatywą rewolucji. Lecz, jeżeli weźmiemy pod uwagę stan głów i serc ówczesnego Komitetu, a specjalnie Padlewskiego, to stan ten nie upoważniał do oczekiwania od nich tej mocnej, pewnej siebie inicjatywy. Wszyscy pamiętnikarze, którzy zajmują się tą chwilą, piszą o utracie wszelkiej nadziei, o rozpacz. Ludzie potracili głowy. Różne rozpaczliwe projekty snuły się w mózgach i bodaj jedyną realną myślą było ratowanie honoru rewolucji. Tu nie było mocnego umysłu, mocnego charakteru, Padlewski, mimo bardzo wielu świetnych cech i osobistego męstwa, mocą charakteru się nie odznaczał; brak mu było wytrwałości, przy tym był to człowiek chwiejny, poddający się łatwo nastrojowi chwili. Takim go charakteryzują wszystkie późniejsze wypadki.

I oto przed takim człowiekiem leży konieczność decyzji. Na niego skierowały się oczy wszystkich, był to bowiem jedyny autorytet wśród tego elementu cywilnego, do niego więc

się zwracają, oczekują rozkazu, instrukcji. I jak chcecie, by człowiek, który jest w stanie rozpacz, mógł myśleć? Dla myśli trzeba spokoju, trzeba opanowania się. Tego u Padlewskiego w tej chwili nie było.

Dlatego plan ten jest nieprzemyślany, nie stanowi on jakiejś całości, lecz raczej fantazję, jakieś fragmenty nieskoordynowane. Stąd przede wszystkim płyną najboleśniejsze zawody późniejsze.

Najpierw zaszła konieczność stoczenia wstępnego boju; w tym celu decyduje się napaści na poszczególne garnizony. Gdzie i jak? O tym czasu nie ma pomyśleć. Ową paniczną bez mała sytuację ratuje ta powszechność nastrojów, owa magiczna laseczka, która właściwie powinna była nastąpić potem, zamiast tutaj na samym początku akcji ratować sytuację. Napadać mają wszędzie, gdzie się tylko da. Jednym słowem, zwała się z siebie odpowiedzialność konieczności myślenia; odpowiedzialność rozkłada się na barki zbyt szerokie, skutkiem czego powstaje faktycznie brak wszelkiej odpowiedzialności.

I oto sam Padlewski z tej rozpacz opuszcza Warszawę i jedzie do tych „dzieci warszawskich”, obozujących w pobliskiej puszczy kampinoskiej, stanowiących niezorganizowany tłum, aby ich ratować od oblawy, już wysłanej z Warszawy.

Dla reszty spiskowych rozsyła się rozkazy. Dzień 22 stycznia wybrano na moment ogólnego wybuchu, a dopiero 16-go idą rozkazy. Podlasie, najbliższe części Augustowskiego, województwo płockie, jako sąsiadujące z Warszawą, otrzymują rozkaz 17 stycznia, dalsze województwa otrzymują go 18-go, Langiewicz i Kurowski w Kielcach 18 stycznia wieczorem. Oxiński 17-go rano wyjeżdża w Kaliskie, Jeziorański 18-go rano w Rawskie. Ludzie ci mają pozostawione 4 do 5 dni dla wykonania planów Centralnego Komitetu.

Jako skutek tej niespodzianki, z prowincji sypią się zapytania, czy to prawda? Takie zapytanie idzie z Lubelskiego, gdzie przywieziono rozkaz 18 stycznia. Takie same zapytania szły z Kaliskiego. Gdzie indziej rozkazy doszły na 12 godzin przed terminem, wyznaczonym dla powstania.

Tak wyglądał ten trzeci plan w życiu. Jest w nim realną rzeczą walka z załogami, wyznaczona na 22 stycznia, mająca być możliwie powszechną. Ma on dla rewolucji wywalczyć swobodę ruchu i organizacji, przy czym bezwiednie polega na powszechnym ruszeniu, wcale nieprzygotowanym.

Przejdziemy do szczegółów donioślejszej wagi.

Z mapy, przedstawiającej dyslokację wojsk rosyjskich 22 stycznia, widać sieć załóg; wojska tego było wówczas w Królestwie 110.000. Po odliczeniu chorych etc., jedni obliczają stan bojowy na 99.000, inni na 92.000. Nie będziemy się upierać przy tej lub innej cyfrze.

Każda rewolucja ma to do siebie, że w czasie przedrewolucyjnym zmusza rząd do rozrzucenia wojska z tego powodu, że najrozmaitsze wypadki, najróżniejsze wystąpienia tej czy innej części ludności wymagają udziału wojska. Jest ono ostatnim atutem i ten ostatni atut rzuca się wszędzie tam, gdzie zachodzi potrzeba. W ten sposób wojsko, normalnie skupione, rozchodzi się po całym kraju. Takie zjawisko miało miejsce i wtedy, gdy władze znalazły się w konieczności wysyłania wojsk z normalnych kwater do różnych zagrożonych punktów. Wreszcie samo przygotowanie branki zawczasu zmuszało do dalszego rozrzucenia wojska.

Punktów, zajętych w ten sposób przez wojsko, jest sto sześćdziesiąt kilka; nie jest to cyfra zupełnie ścisła, gdyż nie da się dokładnie ująć stanu rozlokowania straży pogranicznej. Głównym siedliskiem siły wojennej przeciwnika jest przede wszystkim Warszawa, jako centrum, dalej fortece Modlin, Dęblin i Zamość. Poza tym komendy główne w poszczególnych ośrodkach spoczywały w rękach generałów dywizyj w Płocku, Kaliszu, Radomiu, Lublinie i Warszawie. Sama Warszawa liczyła załogi 22.000. W porównaniu z

obecną Warszawą jest to takie nasycenie wojskiem, do którego nawet teraz Rosja u nas nie doszła. W ośrodkach gubernialnych wojsko skoncentrowane było silniej. Poza tym rozlało się ono po całym kraju, tak, że jeżeli weźmiemy przeciętną ilość na każdy punkt po odrzuceniu Warszawy, to otrzymamy załogi po 400 mniej więcej ludzi. O ile odrzucimy i główne ośrodki, to na każdy punkt wypadnie 200 do 300 ludzi; zwrócić przy tym należy uwagę na fakt, że działały jeszcze wpływy niewojenne, wskutek czego najrozmaitsze bronie w rodzaju artylerii, parków, które bezpośrednio nie są potrzebne, pozostawione były bez dostatecznej osłony. Tak wyglądała ogólna charakterystyka dyslokacji rosyjskiej.

Co się tyczy jej gęstości, to można powiedzieć, że poza północną częścią, względnie mało obsadzoną, miało miejsce dość równomierne rozrzucenie, z nieznaczną może przewagą zachodu, gdzie załogi były rzadsze.

Jeżeli przejdziemy do samej nocy styczniowej, to na wstępie zaznaczam, że nie wchodzić najzupełniej w to, w jaki sposób wykonane były poszczególne napady, albowiem rzeczy taktyki z mego wykładu świadomie usuwam. Na załączonej mapie wyznaczone są miejscowości, gdzie były dokonane napady. Widzimy, jak mało owa, podkreślona przeze mnie, „powszechność” zrobiła. W cyfrach wyrażają się napady następująco: starć, według mego obliczenia, było 19, z nich jedno poza granicami Królestwa – w Suraziu; na Królestwo przypada 18. Z nich dwa urządzono na Podlasiu, trzy w Płockim i Augustowskim, dwa w Sandomierskim, dwa w Krakowskim, jedno w Lubelskim, jedno, którego można nawet nie liczyć, w Kaliskim, żadne w Mazowieckim. Oprócz tego, zbierając najrozmaitsze dane o tej nocy, wynotowałem 14 miejsc, gdzie tej nocy powstańcy się zbierali, nie dokonawszy napadu. Prawdopodobnie miejsc tych było więcej, tylko brak o nich wiadomości w pamiętnikach.

Z tych wszystkich napadów ośm było udanych, to znaczy, że cel został osiągnięty. Cztery były zupełnie nieudane. Do nich należy doliczyć i te 14, gdzie powstańcy się zbierali i przed zadaniem się cofnęli. Wreszcie siedm uważać można, jako na wpół tylko udane. Za chwilę to wyjaśnię.

W paru miejscach np. w Radzynie i Lubartowie, powstańcy, napadając w nocy na armaty, stojące osobno w szopach, zdołali nimi owołać, lecz utrzymać ich w swoich rękach nie potrafili, gdyż piechota zdążyła do tych armat dopaść i powstańcom odebrać. Armat nawet nie popsuto. Zdobyto w tej walce paręset karabinów. Specjalnie udanym był pod tym względem napad w Kodniu pod Brześciem, gdzie znajdował się magazyn, którym powstańcy pod dowództwem Nenckiego owołać, biorąc około 80 żołnierzy do niewoli, resztę rozpuściwszy. W niektórych miejscach zdołano pozbierać część broni po zabitych.

Jeżeli idzie o liczbę powstańców, którzy brali tej nocy udział w bitwach, którzy stanęli do apelu, to tak jest trudno zorientować się przy sprzecznych cyfrach u różnych autorów, że doprawdy każdą cyfrę musiałbym zaopatrzyć znakiem zapytania. Aby jednak mieć podstawę rachunku, starałem się do niej dojść. Według moich obliczeń suma ludzi wynosiła około 6.000. Przypuszczam jednak, że jest to cyfra za duża.

O ile weźmiemy kwestię uzbrojenia, to było ono wszędzie bardzo liche. W niektórych miejscach walczone między sobą o kosy, albowiem brakło ich. Często wycinano drągi w lesie, jako jedyną broń. Od tego czasu pochodzi nazwa drągalierów.

Jeżeli idzie o organizację, to wszędzie ona zawiodła. Nigdzie nie stało tylu, ilu się spodziewano, wszędzie liczba była o trzy czwarte zmniejszona. Obok tego wszędzie powstańcy wykazali dużo płochliwości. Przy najmniejszym oporze masa ta okazywała się bardzo bojaźliwą.

Największym, najpoważniejszym i najdonioślejsze znaczenie polityczne mającym był zupełnie nieudany napad na Płock. Jest to jedyny znaczniejszy punkt, jaki przy napadach

był wybrany. Mimo że powstańców zebrало się z górą tysiąc, a załoga wynosiła 200 do 400 ludzi, jednak napad najzupełniej się nie powiódł.

Z pomiędzy udanych napadów wymienię napad Zameczka-Cichorskiego na Suraż w województwie białostockim. W województwie podlaskim, które najenergiczniej wystąpiło i najczęściej dokonało, wymienić trzeba wspomniany już napad na Kodeń pod dowództwem Nenckiego, na Łomazy pod dowództwem Szaniawskiego, gdzie ułanów w puch rozbito; z bardziej nieszczęśliwych, tam, gdzie armaty wzięto i stracono, wspomnieć trzeba napad na Radzyń, prowadzony przez Deskurę. W województwie sandomierskim pod dowództwem Langiewicza dokonano trzech napadów: dwa z nich udane na Bodzentyn i Jedlnię pod dowództwem Figetiego, trzeci pod dowództwem samego Langiewicza na Szydłowiec. W województwie krakowskim udany był napad w Michałowicach na straż pograniczną. Wreszcie jako udane nazwać trzeba starcie w Ciołkowie pod Płockiem pod dowództwem Rogalińskiego, w którym 100 powstańców spotkało się z silniejszym oddziałem rosyjskim; skutkiem naiwnego humanitaryzmu dowodzącego pułkownika oddział jego został prawie zupełnie zniszczony.

Komunikacje telegraficzne prawie wszędzie zostały przerwane.

Dla charakterystyki stanu ówczesnych umysłów, przenikniętych brakiem wiary w powodzenie, wspomnę o tak dla mnie zrozumiałym opowiadaniu Daniłowskiego¹, który wówczas był w grupie rządowej, jaka pozostała w Warszawie. Powiada on, że 22 stycznia rano poszedł do drugiego członka Komitetu, inżyniera Marczewskiego, z pewnym strachem, aby dowiedzieć się, co się stało. Czy może nic się nie stało? I dopiero westchnienie ulgi, kiedy dowiedział się, że komunikacja przerwana².

Jeżeli teraz zwrócimy się do na pół udanych przedsięwzięć, to z pewnego punktu widzenia są one raczej zupełnie nieudalymi. Takiego punktu widzenia trzymają się Gesket i Przyborowski, którzy uważają, że czego się nie dokonało i nie osiągnęło bezpośrednio, należy zaliczyć do niepowodzeń. Jest to czysto taktyczny punkt widzenia, który nie uwzględnia moralnego wpływu, jaki dane przedsięwzięcie wywiera na wypadki i sytuację. Zaliczyłem tu te wszystkie, które, wywierając swój wpływ na wroga i na otoczenie, pozostawiły swoje dobre dla powstania ślady, pozwoliły odetchnąć głębiej, organizacji powstania dały pewną ilość czasu i wreszcie w umyśle wroga zostawiły pojęcie o szerokości ruchu.

Chciałbym w końcu zwrócić uwagę na to, jak pierwotny plan Padlewskiego wywarł jednak swój wpływ na przebieg nocy styczniowej. Napady są najbardziej skoncentrowane na wschodzie; w pierwszym planie Padlewski kładł na to nacisk i tu poprzednie prace przygotowawcze wywierały swój nacisk. Widać tu potężny wpływ myśli ludzkiej w dziedzinie wojny, widać, jak myśl ta znajduje swój wyraz w realnych przejawach wojny. Zauważmy, że Lubelskie, mające najwięcej spiskowych, ale bez wojennego naczelnika, ma tylko jeden napad. W województwach mazowieckim i kieleckim, gdzie brakło naczelników, nie było też napadów. Poprzednie przygotowania dają jednak odpowiednie rezultaty, a brak ich doprowadza do takich właśnie ujemnych wyników, jak wyżej przytoczone.

¹ Daniłowski Władysław (1841–1878), członek Centralnego Komitetu Narodowego, wybitna postać powstania styczniowego.

² Władysław Daniłowski, „Notatki do pamiętników”. Wydał Jan Czubek. Kraków 1908, str. 200.

WYKŁAD PIĄTY

3 maja 1912 r.

W poprzednim wykładzie przedstawiłem owo bardzo słabe uderzenie ze strony powstania. Chciałbym jednak nad paru kwestiami, dotyczącymi się nocy styczniowej, zatrzymać jeszcze nieco uwagi; przede wszystkim chcę podnieść pewną nadzwyczaj cenną cechę u powstańców, która, daj Boże, aby istniała u wszystkich rewolucjonistów polskich.

Kiedy się mówi o niespodziance, jest rzeczą bardzo ważną, aby tajemnica była zachowana. Otóż pod tym względem napięcie moralne było nadzwyczajne. Mimo, że dziesiątki tysięcy ludzi wiedziało o nocy 22 stycznia, wiadomość ta nie doszła do wroga i we wszystkich wypadkach wybuch był dlań niespodzianką. Ta umiejętność dotrzymania tajemnicy świadczy o wysokim poziomie moralnym, jakim było ożywione powstanie 1863 r.

Druga rzecz, którą podnieść trzeba w związku z omówionymi przedtem planami, to najzupełniejsze nieudanie się obliczeń co do oficerów i żołnierzy rosyjskich. Przeważnie próbowano wejść z nimi w porozumienie, aby wspólnie akcję tej nocy przeprowadzić. W niektórych wypadkach doprowadziło to do zdrady, w innych pomoc ich była zupełnie nieokreślona. W jednym tylko wypadku przeszli kanonierzy Polacy na stronę rewolucji. Oficerowie zaś, nawet Polacy, w ogromnej większości zawahali się; dopiero po pewnym czasie ci ostatni przechodzili na stronę powstania.

Poprzedni swój wykład zakończyłem twierdzeniem, że jeżeli idzie o zwycięstwa taktyczne, to w nocy styczniowej było ich bardzo mało. Natomiast zwycięstwo zostało odniesione w dziedzinie moralnej. Do przedstawienia wpływu nocy styczniowej w tej dziedzinie przejdę obecnie.

Trzeba sobie przedstawić położenie głównodowodzącego armią rosyjską, stacjonowaną w Królestwie, po nocy styczniowej, kiedy zaczęły go dobiegać sztafety konne z różnymi przesadnymi wieściami z kraju. Wojsko, którego położenie opisałem, znajdowało się w stanie prawie bezbronnym; było ono wysyłane do różnych miejsc nie dla celów wojny, a po to, by podtrzymać władzę cywilną przy uspakajaniu wrzenia rewolucyjnego. Dlatego w poszczególnych oddziałach dawał się odczuwać brak odpowiedniej ilości naboju, dzięki czemu do dłuższej walki były one niezdadne. Same kwatery, wobec rozesłania całego mnóstwa wojska ze stałych miejsc postoju, wydawać się musiały niedostatecznie ochronione. To samo się działo z artylerią, która w noc styczniową była łatwym łupem i która w oczach i w wyobraźni dowódców mogła stać się łupem prędzej czy później. Magazyny, tabory, artyleria – wszystko to wydawało się w stanie niedość osłoniętym. Same zaś wojska, rozrzucone po kraju, wydały się również w położeniu niezbyt bezpiecznym, gdyż mogły stać się łatwą ofiarą silnego uderzenia. I mimo tego, że we wszystkich prawie miejscowościach powstańców odparto, wojsko jednak wydawało się dowódcom niezdadnym do prowadzenia wojny, zwłaszcza zaczepnej, na którą zdobyć się musiało. Wydawał się im koniecznym pewien niezbędny okres czasu dla nowego urządzenia wojska i przygotowania go do ruchów zaczepnych przeciw powstaniu. Oto jest położenie, które zmuszało do pewnego rodzaju skoncentrowania się wojska i jego zorganizowania się dla celów wojny.

I oto idą rozkazy od generała Ramsaya, zarządzające koncentrację podległego mu wojska. Cele te są bardzo wyraźnie podkreślone. Rozkaz został rozesłany już 23 stycznia. Generał Ramsay był usposobiony o tyle gorączkowo, że wobec protestów z prowincji od różnych podległych mu dowódców 27 stycznia potwierdza raz jeszcze ten rozkaz koncentracyjny w sposób bardziej jeszcze bezwzględny. W planie koncentracyjnym przebiega staranie Ramsaya, aby armię uczynić możliwie silną i pewną, tak, aby każde jej uderzenie miało silną podstawę, aby biło silnie w wyobraźnię ludzką.

Ten śpieszny i bezwzględny rozkaz koncentracji wywołał u późniejszych krytyków 1863 r. dość ostre zarzuty, jak ze strony polskiej, tak i rosyjskiej. Przyborowski twierdzi, że cała koncentracja była czarną intrygą przeciw Konstantemu¹ i Wielopolskiemu². Że w ten sposób chciał on dać rozrosnąć się powstaniu, aby wykazać, że tylko siła zbrojna może doprowadzić do uspokojenia. Hipotezę powyższą opiera na tym, że kiedy pewne lojalne koła szlacheckie zwracały się do w. ks. Konstantego, aby wojsko zostawił na prowincji dla osłony dworów, wówczas Konstanty zwrócił się z tym do Ramsaya. Na to Ramsay odpowiedział, że im więcej buntowników zginie, „tym lepiej dla nas będzie”. Na tej dość mętnej polityce, która nic dla sprawy wojny nie stanowi, jest oparta czarna intryga tego generała, zmierzająca do obalenia Wielopolskiego. Jest to hipoteza, której genezę tłumaczę sobie późniejszą tendencją polityczną; sądzę, że zrodziła się ona w czasie, kiedy powstanie 1863 r. chciano wymazać z pamięci i serc ludzkich, kiedy chciano je przedstawić, jako czyn zbrodniczy wobec narodu. A najpewniejszymi argumentami tej teorii stało się „łaskawe” usposobienie miarodajnych wysokich czynników rosyjskich.

W istocie z punktu widzenia wojskowego generał Ramsay znacznie większą miał rację, niż w. ks. Konstanty, który chciał zarządną przezeń dyslokację zatrzymać. Ze stanowiska wojennego nie miał on prawa zostawiać armii w stanie na wpół bezbronnym, nie miał prawa przypuszczać, że noc styczniowa nie powtórzy się w najbliższych dniach; z punktu widzenia wojny musiał on dbać o swoje wojsko. Że pod tym względem liczenie się z późniejszą wojną było słuszne i miało rację bytu, świadczą następne wypadki.

Krytyka Gesketa, jako wojskowego, jest inna. Twierdzi on mianowicie, że koncentracja była konieczna; sądzi jednak, że generał Ramsay działał zbyt pośpiesznie, że nie liczył się z warunkami wojskowymi i stąd zbyt schematycznie ją zarządził. Gesket przypuszcza, że generał Ramsay w decyzjach swoich przeceniał siłę powstania, zanadto się go bojąc, że powinien był okazać więcej zimnej krwi i koncentrować nie tak silnie, mógł pozostawić luźniejszą dyslokację i w ten sposób pozostawić mniej pola dla swobodnego działania powstania. Ta krytyka, ujęta z punktu widzenia wojskowego i historyka, który znał całość późniejszych wypadków i mógł ocenić wartość militarną powstania na podstawie faktów już dokonanych, jest tylko w pewnej mierze do przyjęcia. Całkowicie zgodzić się na nią niesposób. Niewątpliwie było błędem Ramsaya, że koncentracja była przeprowadzona zbyt nerwowo, tak, że w wielu wypadkach wyglądała, jak gdyby była robiona pod wpływem strachu, robiła wrażenie ucieczki.

Jeżeli przejdziemy do faktów, to najlepiej ilustruje nową sytuację mapa, przedstawiająca ugrupowanie wojska po koncentracji. Oto zamiast 180 punktów mamy ich czterdzieści parę; resztę kraju pozostawiono zupełnie bez osłony. Zachodzi przy tym jeszcze jedna ciekawa omyłka ze strony rosyjskiej, mianowicie zupełne zapomnienie o straży pogranicznej. Jest to wynik systemu urzędniczego, w jakim znajdowała się Rosja, bo niczym innym nie można sobie wytłumaczyć faktu, żeby wojsko innego rodzaju wypadło z pamięci. I ta straż pograniczna, rozsypana po całej granicy, została pozbawiona pomocy liniowego wojska, gdyż cofnęło się ono w głąb kraju. Dopiero po dłuższym czasie władze rosyjskie spostrzegły się i zaczęły robić wysiłki, aby straż pograniczną ocalić, lecz wtedy już większość jej legła pod razami powstania.

¹ Konstanty Mikołajewicz, w. ks. ros. (1827-1892), namiestnik Królestwa Kongresowego w latach 1862-1863. Jako namiestnik otrzymał zadanie przeprowadzenia reform w Królestwie, mających zapobiec powstaniu.

² Aleksander Wielopolski (1803-1877), naczelnik rządu cywilnego dla Królestwa w 1862 r., inicjator „branki” w 1863 r.

Dla charakterystyki tej koncentracji wspomnę, że z 40 miast powiatowych opuszczono aż 14. Zatem koncentracja wielkie szmaty kraju uwalniała od wojska. Najsilniej przeprowadzono ją w województwie sandomierskim i krakowskim. Wynikało to ze względnie małej ilości wojska, jakie tam znajdowało się przed powstaniem. Drugą charakterystyczną cechą jest pozostawienie koncentracji w znacznie gęstszym stanie na zachodzie w porównaniu z południem i wschodem. Warto zastanowić się nad przyczynami tego stanu rzeczy, dlaczego na zachodzie generał Brunner, który w powstaniu odznaczył się niezwykle tchórzostwem, przeprowadza koncentrację typowo tak, jak gdyby był najodważniejszym ze wszystkich dowódców w Królestwie. Píše on parę razy do Ramsaya, prosząc, aby dał spokój zbyt ostrej koncentracji, że i bez tego da sobie radę. Inni generałowie chętnie wykonywują koncentrację, chociaż są mniej tchórzliwi. Otóż tłumaczy to fakt, że cały zachód, dzięki nieprzygotowaniu tam powstania, został przez akcję styczniową pominięty; zachód nie drgnął, nie dał znaku życia. Nie wytworzył bicza, któryby Brunnera zmusił do lęku, któryby w wyobraźni jego wywołał grozę położenia. Zachód milczał i oto mamy skutek tego milczenia.

Lecz mamy i inne wytłumaczenie przytoczonej wyżej krytyki Gesketa, krytyki, bardzo krzywdzącej działania generała Ramsaya, która posądza go po prostu o tchórzostwo wobec rewolucji. Jest ona mianowicie oparta już na doskonałej znajomości całej historii powstania. Istotnie, gdy się zastanowimy nad materialnym naciskiem, zrobionym przez powstanie, i porównamy go ze skutkiem, jaki wywarł, to mimowoli przychodzi do głowy pytanie, po co był ten pośpiech? Przecież wszystkie prawie napady były odparte, wojsko rosyjskie zostało zwyciężonym, więc po cóż było właściwie tak śpieszyć? Oto na podstawie tego porównania powstały zarówno te plotki i gawędy, jakie streścił Przyborowski, jak i owa krytyka Gesketa. Jednak zdaje mi się, że krytyka ta nie jest dostatecznie usprawiedliwiona. Gesketa bowiem przechodzi do porządku dziennego nad czynnikiem moralnym, jaki wytworzyła ówczesna sytuacja, bierze natomiast pod uwagę tylko czynniki czysto materialne. Jeżeli jednak wnikiemy w stan moralny Ramsaya, a jeszcze bardziej jego wszystkich podkomendnych, to łatwo spostrzeżemy, iż oni, którzy dotąd przed rewolucją się cofali, nie mogli nie wyobrazić sobie, że ta rewolucja jest znacznie silniejszą, niż była w rzeczywistości. Jest przecież rzeczą niemożliwą nie popełniać błędów.

Aby jasno przedstawić ogrom owej siły moralnej, przytoczę jeden obrazek z nocy styczniowej, mianowicie napad Rogińskiego na Białą, napad nieudany skutkiem zdrady dwóch oficerów Polaków, którzy poszli do komendanta, generała Mamajewa, i uprzedzili go w porę. Generał Mamajew zbiera o dziewiątej wieczorem całe swoje wojsko: dwie kompanie piechoty, baterię artylerii, sotnię kozaków. O niespodzianym napadzie mowy nie ma. Rogiński zbiera 80 ludzi, których broń palną stanowi jedenaście strzelb myśliwskich, reszta ma kosy. I oto naprzeciw siebie stają dwie potęgi, które pod względem materialnym wyglądają rzeczywiście zabawnie. Lecz Mamajew nie śmiał uderzyć na tych 80 ludzi i pozwala nawet, by przemaszrowali oni na kilka kroków od jego frontu. Dopiero po ich przejściu generał puszcza na nich kozaków¹. Oto, co czyni potęga moralna, która uderzenia słabe robi uderzeniami olbrzyma. To nie jest ta siła materialna słaba i nikła; to jest owa potęga moralna rewolucji, która działa, potęgując słabiznę fizyczną. I w nocy styczniowej potęga moralna, potęga ducha sprawiła to, że mapa koncentracji rosyjskiej tak wygląda świetnie.

¹ Roman Rogiński, „Zaczątki powstania na Podlasiu i na Litwie”. Poznań 1896; przedruk „Z pamiętnika Romana...”, Warszawa 1898.

Jednak technika i siła fizyczna ma swoje działanie i swój wpływ. Wpływ braku techniki widzimy na przykładzie gen. Brunnera. Nawet w tej fazie wojny, kiedy jeszcze siła moralna jest siłą dużą, jest ona konieczna.

Tak czy inaczej, koncentracja została nakazana. W czasie jej trwania wojsko nie jest zdadne do boju. Przejść musi pewien okres czasu, nim ta koncentracja się zakończy i nim wojsko stanie się znów zdolnym do zadawania powstaniu ciosów silnych, szybkich i skutecznych. Pewien czas zatem został wygrany.

Widzimy po stronie rosyjskiej wyraźny cel. Możemy uważać, że mogła ona postąpić omyłkowo, ale cel jest jasny i jednolity dla całej armii; cała armia ma na pewien okres czasu postawione wyraźne, jasne zadanie. Jak zobaczymy, po stronie polskiej było akurat odwrotnie. Polacy ani czasu nie wykorzystali, ani też nie mieli w tym czasie żadnej wyraźnej myśli wojennej, nie mieli jej też w postaci jednolitego prowadzenia sprawy na całym terenie.

Zobaczmy przede wszystkim, jaki był stan tej armii polskiej po nocy 22 stycznia. Oddziały, w różnych miejscach odrzucone przez przeciwnika, nie zatrzymując się na punktach napadu, zdezorganizowane nawet zwycięstwem, nie tylko przegraną, rozepchnięte w różne strony, znajdują się w stanie najzupełniejszej dezorientacji i nieświadomości, co z sobą mają czynić. Przede wszystkim biegą gońcy ze wszystkich okolic do Warszawy. Stamtąd żadnej odpowiedzi nie ma. Rząd Narodowy wyniósł się do Płocka, a raczej chciał się tam wynieść, i w Warszawie zostało trzech ludzi: dwóch studentów, Bobrowski i Daniłowski, i jeden inżynier – Marczewski, jako przedstawiciele Rządu.

Jeżeli natychmiast kuriera nie odesłano, to za nim przyjeżdżał nowy. Co ci nieszczęśliwi ludzie mieli dawać za wskazówki? Komu, jak? Kiedy oni sami chcieliby od kogo otrzymać jakąkolwiek radę czy dyrektywę. Żadnej myśli wojennej z tego centrum spisku! Zadawalniano się załatwieniem najpilniejszych interesów. Posłano kilka kozuchów, trochę broni.

Kierownictwo? – do tego ich nikt nie przygotowywał; kierownika rzeczywistego nie było. I oto widzimy zupełny brak myśli kierowniczej, łączącej te wszystkie ruchy w owej chwili w jakąś jedność. Tego nie ma. Rząd Narodowy złożył dyktaturę na barki Mierosławskiego, który był jeszcze w Paryżu, i stamtąd czekał odeń rozkazów i wskazówek. Od tego czasu kierownictwo akcją nie spoczywało na barkach władz centralnych. Spadło ono z konieczności na niższe organizacje. Tam mamy dowódców, jak: Padlewski, Lewandowski, Langiewicz, Jeziorański, Kurowski, Oxiński. Oto przed nimi stanęły kwestie, niech oni je rozstrzygają! Jeżeli idzie o jednolitość, to już ta myśl zepchnięcia decyzji na podwładnych jest zgubna. Tutaj mamy początek tego kardynalnego błędu powstania 1863 r.: brak myśli wojennej, obejmującej cały kraj.

Te pretensje możemy postawić i wtedy, kiedy będziemy mówili o znacznie mniejszych częściach kraju. Weźmy, np., Podlasie, gdzie ruch był najsilniejszy. Tam też każdy oddział szuka odpowiedzialnego za województwo dowódcy, Lewandowskiego; nikt jednak znaleźć go nie może, bo oddział, jakim on dowodził, rozsypał się w boju, a on sam jeden błądził, szukając również swoich oddziałów.

Na powstańców ten brak decyzji działał fatalnie; jest to rzeczą zupełnie naturalną, zwłaszcza dla ludzi, nieobeznanych z rzemiosłem wojennym, mających zupełnie świeżo z wojną do czynienia. Trzeba dawać albo zawczasu pewne przygotowanie, albo bardzo jasne i ścisłe rozkazy. W tym wypadku ich zabrakło. I stąd chwiejność i niepewność najbardziej charakteryzują stan moralny powstania po nocy styczniowej.

WYKŁAD SZÓSTY

7 maja 1912 r.

Mówiłem poprzednio o stanie oddziałów powstańczych po nocy styczniowej. Charakteryzowałem go, jako stan pewnej dezorientacji, którego główną cechą był brak zorganizowanego kierownictwa wojną z polskiej strony. Aby dać przykład, wystarczy wskazać na brak naczelnego kierownictwa w Warszawie. Poza Warszawą, w województwach, było absolutnie to samo. Na Podlasiu pułkownik Lewandowski, po nieudanym zamiarze napadu na Siedlce, błąkał się po swym województwie, tak, że go znaleziono dopiero po dłuższym czasie. Każdy dowódca był pozostawiony sam sobie. W Lubelskim znajdziemy całkiem to samo. Tam nawet nie wyznaczono wcześniej naczelnego dowódcy; i tam również widzimy poszczególne oddziały, niezłączone żadnymi węzłami. W województwie sandomierskim Langiewicz chciał mieć ingerencję we wszystkich sprawach. Pomędzy innymi nakazał on, aby wszystkie oddziały, bez względu na powodzenie w pierwszej akcji, skoncentrowały się w Szydłowcu, na który on sam prowadził napad. Wobec nieudania się napadu na Szydłowiec punkt ten jako koncentracyjny przestał istnieć, – nieopanowany przez Polaków, został w ręku Rosjan. Z chwilą więc, kiedy Langiewicz poszedł z pod Szydłowca w stronę Wąchocka, już w jego województwie znalazły się oddziały, zupełnie z nim niepołączone.

W województwie krakowskim Kurowski, który w nocy styczniowej prawie nic nie zrobił, stara się koncentrować swe siły w pobliżu granicy, prowadzi tam nawet z powodzeniem walkę ze strażą pograniczną, poza tym jednak kierownictwo jego rozciąga się jedynie na jeden drobny południowo-zachodni kąt województwa, na powiat olkuski, w którym on panuje.

Na zachodzie mamy absolutnie to samo. Tam również, jak w Lubelskim, kierownik nie został wyznaczony, kierownictwa wojennego nie było i poszczególne oddziały zbierały się zupełnie samorzutnie. Najzręczniejszym prowadził swoją akcję dotychczasowy wódz naczelny, a obecnie wojewoda płocki, Padlewski. Sprawnie obejmował on poszczególne tereny i miejscowości swego województwa, mimo, że i jemu w nocy styczniowej się nie powiodło. Niestety, materiał historyczny do jego działalności w tym czasie jest tak mały, że trudno z zupełną ścisłością przedstawić tę jedyną robotę naprawę wojenną. O ile sądzić można z tych źródeł, jakie posiadamy, myśl jego polegała na tem, że – wobec niemożliwości skoncentrowania w jednym miejscu wszystkich sił wojskowych – zajmował się przygotowaniem lokalnym ludzi w różnych powiatach, ćwicząc ich tak, aby ten materiał ludzki opanować na miejscu i mieć przygotowanym do walki w odpowiedniej chwili. Bardzo być może, iż dzięki temu właśnie, że Padlewski wykazał więcej umiejętności organizatorskiej, zdołał on wytrzymać dłużej w walce początkowej.

Jednak, powtarzam raz jeszcze, jakiegoś planu kierowniczego ze strony polskiej dla całości nie było. Dano w ten sposób początek brakowi kierowniczej myśli wojennej, brakowi organizacji wojennej, ujętej w ramy hierarchii, któraby bezładne wojsko trzymała w korbach posłuszeństwa. Dano początek tej chorobie, która rozsadzała wszelkie próby działania jakichkolwiek oddziałów. Nie szło o to, aby wojewoda miał pełen autorytet władzy. Dano początek zawiści, nieorganizacyjnemu zachowywaniu się w sprawach wojennych. Odtąd będziemy mieli stale, przy każdym połączeniu się dwóch oddziałów walkę wewnętrzną w obozach między dwoma dowódcami. Tych paru dowódców zawiistnych, którzy w ten sposób podrywali wszelką możność skoordynowania działań, będziemy mieli całe mnóstwo. W Kaliskim widzimy Mierosławskiego, który w swoim obozie miał wroga Mieleckiego. Na południu mamy Langiewicza, który w swoim oddziale miał wroga Jeziorańskiego, z którym ciągle staczał walki, oraz Czachowskiego, który się kłócił z Konono-

wiczem. Będziemy mieli na północy Padlewskiego, walczącego z Cichorskim itd. Stale mamy te tarcia wewnętrzne, które robiły niemożliwymi działania skoordynowane.

Jeżeli wejrzymy do teorii wojennej, traktującej o organizacji armij nieregularnych, znajdziemy w niej wszędzie jedno twierdzenie: najsłabszą jej stroną jest brak ustalonej hierarchii wojskowej. Przeciw temu należało zawczasu zapobiec. Tym czasem ze strony kierownictwa nie widzimy wcale starania, aby wcześniej ułożyć te sprawy tak, żeby nie uderzyły one w najsłabszą stronę: niezorganizowanie armii. A przecież w czasie przygotowawczej pracy przed powstaniem był czas do wytworzenia tego, co było najłatwiejszym, to jest kierownictwa.

Tego powstanie w poprzedzającym wybuch okresie nie uczyniło, natomiast w czasie samego wybuchu uczyniło jakby wszystko, aby zniszczyć już wytworzoną organizację. Mamy Padlewskiego, który, zamiast kierować wojną, zrzuca z siebie odpowiedzialność za jej losy, za całość sprawy. Mamy potem wszystkich dowódców, którzy stają się dowódcami tylko drobnego kawałka swego województwa, tego, w którym w danym momencie naczelnik województwa stoi ze swoimi oddziałami. W jaki sposób nawet chcieć, aby ten naczelnik kierował działaniami wojennymi, jeżeli w każdej chwili los będzie go przerzucał z jednego miejsca na drugie.

I oto powoli wszczepia się w ludziach przekonanie, że każdy z dowódców nie jest tym kołem w mechanizmie wojennym, lecz jest on zupełnie nieodpowiedzialnym przed jakimkolwiek kierownikiem swego oddziału i jest pewnym tego tylko, co koło niego się skupia. Odtąd myśl wojenna zaczyna z konieczności wyrabiać się niejednolicie i bez żadnego wpływu centralnego. Myśl wojenna ciąży na względnie jednolitych elementach, które każdej chwili ulegają wpływowi, jakiemu muszą poddać się w danej chwili. Nie ma żadnego organu, któryby to wszystko jednoczył.

Jednak jakąś myślą, jakimś celem kierować się trzeba. I oto natychmiast po wybuchu myśl ta kierownicza w głowach poszczególnych dowódców zaczyna się wyrabiać. Nie jest ona świadoma; jest to pewne instynktowne szukanie większej siły. Każdy czuje się słabym, czuje się niezdatnym do walki. Każdy oddział czuje się niepewnym, a jego dowódca nie wie, co ma przedsięwziąć. Zjawia się instynktowne połączenie się z sobą dla wytworzenia większych oddziałów na przestrzeni całego kraju, bezwiedne tworzenie zawiązków armii polskiej.

U niektórych dowódców ta myśl była nawet zupełnie świadoma. Do takich niewątpliwie należał Langiewicz, który we wszystkich swoich działaniach szukał możliwie większej siły. Lecz jeżeli zanalizujemy pojęcie jego w tym względzie, to zauważymy, że nie ma tu myśli tworzenia armii, lecz tworzenia większego oddziału dla przedsięwzięcia czegoś, co zdarzyć się może. Myśl świadoma o armii musiałaby doprowadzić do myśli, czego trzeba do jej stworzenia.

Tej świadomości ja, przynajmniej w działaniach ówczesnych dowódców, nie znajduję. Albowiem chociaż zewnętrznie działania ich wydają się zupełnie świadomymi i rozumnymi, zwłaszcza tych, którzy łączyli się w większe grupy, to jednak nie znajdziemy niczego, żadnych działań, któreby mówiły, że są one zupełnie skrystalizowane. Przeciwnie, sądzę, że był to wynik instynktu szukania oparcia w liczbie. Albowiem gdyby dowódcy ci zastanowili się tylko nad tem, jak się armie tworzą, to niechybnie każdy z nich przyszedłby do przekonania zupełnie wyraźnego, że do tego trzeba mieć przede wszystkim czas, a następnie, że trzeba osłaniać czemkolwiek tworzenie się armii; armia bowiem w chwili organizowania się nie jest zdatną do walki.

Dla armii potrzebni są ludzie, potrzebna jest broń i potrzebne jest zorganizowanie się. W warunkach, w jakich powstanie 1863 r. walczyło, wszystkie te czynniki sprowadzają się do kwestii czasu. Ludzie, materiał ludzki istnieje, było go pod dostatkiem. Ale i tu chciał-

bym wskazać na jeden specjalny błąd ogromnej większości umysłów rewolucyjnych, mianowicie, że one z kwestią czasu bardzo mało się liczą i, wierząc w rewolucyjne usposobienie ludności, przypuszczają, że ludność ta jakimś cudem stanie się zdolna do przeprowadzenia rewolucji.

Tym czasem wybuch rewolucji robi niespodziankę nie tylko rządowi, ale i całemu narodowi. Cały naród w jednej chwili przejść nie może ze stanu poddańczego do stanu otwartej walki. Musi przejść pewien czas przygotowania psychicznego, dla zyskania wiary i nadziei, musi przejść pewien czas, potrzebny dla wytworzenia ram organizacyjnych. Do tego, by ten materiał ludzki był materiałem wojennym, trzeba czasu i ten czas wygrać musi to wszystko, co już poprzednio zorganizowaniem rewolucyjnym było. Jeżeli weźmiemy tylko sprawę uzbrojenia, to nawet przypuściwszy, że ta broń była złożona, zakopana etc. w kraju i nad granicami, nie możemy negować czynnika czasu, jaki jest nam potrzebny, by owa broń doszła do tych, którzy chcą się zbroić i walczyć. A cóż dopiero wtedy, gdy broń nawet nie jest przygotowana?

Wreszcie broń przychodzi. Są ludzie. Ale trzeba czasu, aby ich wojennie zorganizować, żeby nie byli zbiorowiskiem, które przy pierwszym zetknięciu z nieprzyjacielem rozprasza się, gdzie ludzie jedni drugich nie znają, gdzie nie ma tej spoistej całości, jaką przedstawia każda armia.

Jeżeli przejdziemy teraz do kwestii czasu, jak ona wyglądała w 1863 r., to widzimy, że powstanie po wybuchu miało 9 do 10 dni swobodnych. Nastąpiła koncentracja rosyjska, która zajęła pewną ilość czasu; w Radomskim pierwsze działania wojenne ze strony Rosjan nastąpiły 1 lutego, ma więc Langiewicz 9 dni. W Lubelskim 6 lutego, zatem Zdąnowicz ma 14 dni. W Miechowie załoga rosyjska występuje na pierwszy rekonesans w ostatnich dniach stycznia starego stylu, Kurowski ma więc do 20 dni. Pierwszy ruch nie daje żadnych rezultatów i poruszenia wojska w kierunku Ojcowa zaczynają się dopiero 16 lutego, zatem nawet 24 dni. Na Podlasiu przeciw Rogińskiemu 31 stycznia – zatem 8 dni czasu; wyprawa na Węgrów 2 lutego, zatem 11 dni. Z Kalisza Brunner robi pierwsze rekonesanse 31 stycznia, nie dające żadnych rezultatów, mają więc powstańcy 8 dni, a następny rekonesans ma miejsce dopiero 15 lutego, zatem właściwie 23 dni przed jakimkolwiek starciem. Jeziorański miał 13 dni czasu. W Płockim pierwsze większe starcie nastąpiło 28 stycznia, więc znowu 5 dni itd., itd.

Jeżeli z powyższych cyfr i następnych, których już tu nie wymieniam, weźmiemy przeciętną, to otrzymamy 10, 9, 12 dni czasu, jakie miało powstanie przed powzięciem inicjatywy ze strony Rosjan. I ten czas okazał się niewystarczającym. Powstanie nie zdążyło zebrać ani dostatecznej siły wojskowej, ani nie wytworzyło dostatecznej spoistości wewnętrznej, albowiem jej zawiązki prysły już z końcem marca. Tych 12 dni czasu było zatem za mało dla powstania, aby się dostatecznie silnie przeciwstawić wojsku rosyjskiemu. I oto, naturalnie, powstaje kwestia, czy można było wygrać czasu więcej, czy w działaniach powstańców nie było jakiegoś błędu, czegoś takiego, co wpłynęło na jego ograniczenie? Jeżeli w tym wypadku stawiam powyższe pytanie, to również należy się zastanowić, czy nie wymagam od powstania rzeczy niemożliwych, czy nie wymagam rzeczy, których powstańcy w żaden sposób wykonać nie mogli, i w ten sposób stoję wobec faktów, jako krytyk nieobiektywny?

Te dwa pytania musimy rozstrzygnąć.

Przy pierwszym namyśle nad tem, co się działo w nocy styczniowej, rzuca mi się w oczy to wielkie zapomnienie o centrach życia ówczesnego. Cały kraj staje do walki; padły pierwsze strzały, a główne centrum życia, w którym rewolucja wrzała i gdzie została przygotowana, to główne centrum pod względem wojennym milczy. W Warszawie nie ma nic, tam nie ma wojny.

Kiedym analizował koncentrację wojska rosyjskiego, starałem się uzasadnić, że była ona wynikiem wpływu na wyobraźnię wodzów rosyjskich, który wywołało u nich pewne uczucie strachu za wojsko, im powierzone. Czy sądzicie, że gdyby stolica nie milczała, to ten wpływ byłby mniejszym? Gdyby w stolicy rewolucja wrzała, czy sądzicie, że wyobraźnia wodza nie byłaby bardziej skuta? Tym czasem mamy w całym ruchu powstańczym emigrację z centrów: z Warszawy wychodzą do lasów okolicznych, z Radomia po to, aby napaść na Jedlnię. Jedynie Płock uczuł na sobie szpony rewolucji. Wszystkie inne centra, wszyscy inni generałowie są z dala od wpływu jakichkolwiek działań rewolucyjnych; oni czują tchnienie rewolucji tylko przez odbicie. To milczenie centrum jest jednym z wielkich błędów, który niechybnie musiał powiększyć siły moralne wroga.

Jeżeli przypomnimy sobie plany Dąbrowskiego, to zauważymy, że nie opuszczały one centrów, a przeciwnie: były ściśle z nimi związane. W planach Padlewskiego już to wszystko minęło, mamy w nich emigrację rewolucji z centrów na prowincję. Co prawda – natychmiast po wybuchu – Bobrowski i Daniłowski przypomnieli sobie coś z planów Dąbrowskiego i snuli szalone pomysły dla potrzymania rewolucji w samej Warszawie, jak łapanie Konstantego na ulicy i wywożenie do lasu, rzucanie się w mieście i robienie rozruchów. Jednak na nich zważył się zaraz cały nacisk interesów i kłopotów bieżących, związanych z podtrzymaniem ognisk walki na zewnątrz. Oni sami byli w stanie pewnej rozterki duchowej. I oto, jako skutek tego stanu rzeczy, Warszawa stała się rezerwą dla działań wojennych rosyjskich. Z Warszawy wychodziły oddziały dla zwalczania ognisk rewolucji tam, gdzie tego było trzeba. Przez cały czas powstania była ona rezerwą dla wroga.

Pod tym względem mimowoli nasuwa się porównanie z r. 1905, gdy Warszawa odwrotną rolę odgrywała, gdy Warszawa ściągała wojska do siebie; gdy musiano z prowincji zbierać siły dla uśmierzenia rewolucji w stolicy. W 1863 r. to zapomnienie centrów było jednym z tych błędów, które niechybnie odbić się musiały na dalszym biegu wypadków.

WYKŁAD SIÓDMY

10 maja 1912 r.

Jak Warszawa została zapomniana, przez co nie odegrała w wojnie większej roli, tak było i z wszystkimi innymi centrami wojennymi w Królestwie, z wyjątkiem Płocka. Pozwoliło to rządowi rosyjskiemu i wojsku w tych głównych punktach wojskowych skupić swoją rezerwę, która w każdej chwili była używaną do odpowiednich czynności. Niewątpliwie w początkach powstania centra te mogłyby odegrać rolę powstrzymywania na sobie sił wojennych, tak, aby wygrana czasu na początku mogła być możliwie wielka.

Drugim takim środkiem bardzo silnym i, zdawałoby się, nadzwyczaj zgodnym z tem, co teoria wojny mówi o partyzantce, a jednak w powstaniu zapomnianym i nierozplanowanym, było działanie na komunikacje wroga. Wojsko, aby planować jakieś manewry, musi być za sobą w łączności. Z chwilą, kiedy jej nie ma, manewry jego stają się niepewne, często są chybione. Dlatego też komunikacje odgrywały na wojnie zawsze nadzwyczaj poważną rolę. Partyzantka między innymi ma za zadanie oddziaływanie na komunikacje wroga, psucie komunikacji i wywoływanie możliwie wielkiego w nich tarcia, tak, by nieprzyjaciół musiał na utrzymanie ich i zabezpieczenie możliwie dużo sił poświęcić. W wypadkach wojny rewolucyjnej komunikacje te są zarazem najłatwiejszym obiektem działania. Wojsko bowiem poświęca na nie bardzo mało sił, dzięki czemu działania te są względnie łatwe.

Przede wszystkim zasługiwały na uwagę komunikacje z Warszawy, skąd rozchodziły się we wszystkich kierunkach szosy. Obok tego uwagę należało zwrócić na linie kolejowe, a szczególnie na petersburską, łączącą Warszawę z resztą państwa. Chociaż w tym czasie kolej nie odgrywała takiej roli, jak dziś, jednak w życiu wojennym 1863 r. zaważyła bardzo poważnie. Skutkiem nieopanowania linii petersburskiej mamy zaraz w pierwszym miesiącu przypływ wojsk z zewnątrz Królestwa przy jej pomocy. Dwa pułki jazdy przybyły tą właśnie drogą do Warszawy.

Linie telegraficzne wprawdzie zostały na razie przerwane, jednak w bardzo prędkim czasie zostały one naprawione; i chociaż potem nieraz je przerywano, jednak telegraf stale był w rękach rosyjskich i służył do koordynowania zarządzeń przeciw powstaniu. Tym czasem łatwo możemy sobie wyobrazić, że psucie telegrafu nie sprawiało żadnej trudności; wystarczyło zwrócić na to baczniejszą uwagę, aby telegraf w ogóle przestał działać.

To samo się tyczy konnych posłańców pomiędzy poszczególnymi oddziałami. Czytając opis wszelkich działań wojennych w tym pierwszym roku powstania, widzimy, jak to psucie komunikacji między oddziałami odbywało się najzupełniej wypadkowo. Jedyna szosa brzeska, najbardziej opanowana przez powstańców, sprawiała Rosjanom najwięcej kłopotu, bowiem wszelkie komunikacje na niej nadzwyczaj długo nie dochodziły do tej normy, aby działać sprawnie. To też największe zamieszanie po stronie rosyjskiej było na Podlasiu. We wszystkich innych miejscowościach spotykamy ciągle umowy i porozumienia między różnymi oddziałami, którym powstanie nie stawiało przeszkód. I jeżeli niekiedy te złożone nieraz manewry wojenne Rosjan, zmierzające do otoczenia poszczególnych oddziałów powstańczych, chybiały, to nie jest to wynikiem braku porozumienia, gdyż jednak do tego manewru dochodziło. Tym czasem zwracanie większej uwagi na komunikację i otoczenie wiankiem przeszkód każdego centrum rosyjskiego byłoby zwiększeniem tarcia, któreby niechybnie musiało przedłużyć okres czasu, wolny od działań wojennych.

Przerwanie komunikacji ma zasadniczy wpływ moralny; powoduje brak wiadomości, który działa zawsze demoralizująco na stan głównych kierowników i na wojsko. Gdyby zawczasu było uplanowane działanie przeciw komunikacjom wroga, możnaby było oczekiwać tego, że pierwszy zwrot nieprzyjaciela poszedłby w kierunku zapewnienia sobie łączności wewnętrznej, koniecznej do skoordynowanych działań wojennych. Na to trzeba by było przeznaczyć większe oddziały, a przede wszystkim musiano by zużytkować kawalerię, musiano by sztafety wysyłać całymi oddziałami i można stanowczo stwierdzić, że czas w tym wypadku – rzecz najdroższa dla powstania – byłby tymi walkami, systematycznie prowadzonymi, wygrany. Należało tylko dla tej pracy wojennej wyznaczyć zawczasu pewne oddziały, które otoczyłyby dookoła wszelkie rosyjskie centra wojskowe. Oto czytamy, np., w jednym z pamiętników, że przez dziedziniec pewnego dworu przejeżdżali rosyjscy posłańcy wojskowi z Janowa do Lublina. Takich posłańców było bardzo wielu i nietrudno było ich wyłapać, tym czasem tylko wypadkowo te sztafety wpadały w ręce powstańców.

W zarządzeniach powstaniowych jakiegoś planu w tym kierunku nie widać wcale. I bodaj jedyny z wodzów powstania, wojewoda kaliski, Bronisław Rudzki, już po wybuchu powstania, przy pierwszym swym planie działania w województwie kaliskim, ułożył rodzaj planu izolowania od siebie poszczególnych garnizonów, tak, by im komunikację możliwie utrudnić. Ale plan ten powstał wtedy, gdy już inicjatywa była w rękach wroga, gdy wszelkie kombinacje mogły być przez wroga zniesione, a nie wówczas, kiedy inicjatywa cała spoczywała w rękach polskich i gdy szło przede wszystkim o przedłużenie czasu utrzymania inicjatywy w swoich rękach. Plan ten pękł najzupełniej z tego powodu, że oddziały rosyjskie rozбивały wszelkie tego rodzaju próby.

Punkt ten uważam osobiście za rzecz bardzo ważną i dlatego chciałbym przedstawić trochę wyraźniej tę akcję, któraby w tym wypadku ze strony powstania mogła być prowadzona, i skutki, jakieby ona za sobą pociągnęła.

Gdy na jakimkolwiek trakcie komunikacja staje się niepewną, wtedy okoliczność zmusza do zabezpieczenia tej łączności. Prowadzi do tego albo zwiększenie ochrony, eskortującej daną sztafetę, a więc zwiększenie ilości wojska, zużytego na czynności nie bezpośrednio bojowe, albo też lepsze zabezpieczenie punktów, najbardziej zagrożonych. Kiedy wojsko, przeznaczone do bezpośredniej akcji wojennej, jest w ten sposób uszczuplone, łączność będzie mniej szybka, chociaż pewniejsza; w drugim wypadku rozporządzalne siły będą większe, ale bezpieczeństwo komunikacji nie jest w dostatecznej mierze zapewnione. Zmusiłoby to do takiego tarcia wewnętrznego, któreby moment inicjatywy rosyjskiej mogło usunąć na jakiś czas. Uzyskane dni w każdym razie byłyby wygrane.

Wreszcie jedno jeszcze działanie wojenne nadzwyczaj łatwe, nie wymagające większych sił, którego powstańcy powinni byli używać. Tym działaniem są alarmy. O alarmach w pierwszych początkach nie czytamy zupełnie. Później były one, chociaż nieplanowo, czynione. Nastrój zaś nerwowy wojska rosyjskiego po napadach styczniowych był dość silny i alarmy mogły wywołać odpowiednie zmęczenie wojska i niezdolność do orientowania się w sytuacji; odsuwałyby zatem moment inicjatywy na pewien okres czasu. Jako dowód służyć mogą raporty komendanta fortecy brzeskiej, generała Stadena, posłane 17 lutego do Warszawy, z których wynika, iż nie czuł on się dobrze, że czuł się nieco chwiejnie; żałuje on swego ruchu zaczepnego przeciw Białej, musi specjalnie ubezpieczyć się od urojonych napaści powstańców na twierdzę. Naturalnie, że jeżeli ten stan chwiejności i niepewności jest u komendanta, to tem silniejszy będzie wśród żołnierzy. I ten stan właśnie uniemożliwiał na razie przedsięwzięcie jakichkolwiek ruchów zaczepnych.

W samej Warszawie zarządzenia wojskowe były takie, że część garnizonu ustawicznie stała w pogotowiu. Były specjalne zarządzenia alarmowe, któreby wojsko uczyniły zdolnym do odparcia jakiegoś nagłego napadu.

W stanie nerwowym ówczesnego wojska fałszywe alarmy musiały wywołać te skutki, co napady rzeczywiste. Musiałyby one opóźnić chwilę inicjatywy ze strony Rosjan.

Z pierwszych działań powstańczych przypominam sobie jeszcze obraz Kielc, kiedy Czengieremu również wydało się, że go mają zamiar atakować. I oto wojsko całą dobę czeka na napad w ostrym pogotowiu. Nazajutrz po takiej nocy zmęczeni żołnierze nie są zdolni do jakichkolwiek czynności zaczepnych.

Nieco obszerniej zatrzymałem się nad tymi trzema rzeczami, które, zdaniem moim, gdyby były rozplanowane zawczasu, mogły niechybnie opóźnić moment przejścia Rosjan do działań zaczepnych, a jednocześnie, dając wygraną czasu, mogły zmęczyć wojsko rosyjskie.

Co prawda, mimowoli przychodzi mi na myśl zła strona takiego postępowania, zwłaszcza w miastach, mianowicie wywoływanie drapieżnego wilka z lasu, prowokowanie załóg miejskich, które zdenerwowane mogłyby wywołać rzezie na ulicach miast. Przecież potem, już w czasie walk planowych, w miasteczkach grabieże były na porządku dziennym, a miejscina, z której padły strzały, bywała potem niszczone. Ale z punktu widzenia wojennego takich skrupułów nie ma. Na bezwzględność odpowiedzią musi być tylko bezwzględność. Kto jej nie ma, ten musi przegrać.

Inną stroną ówczesnej sytuacji, zapomnianą przez pierwsze zawiązki armii powstańczej, była ich ochrona. Ochrona jest to jeden z pierwszorzędných działów pracy wojennej. Żołnierz musi być w chwilach, kiedy nie jest zdalny do boju, ochroniony przez części wojska, gotowe w tej chwili do walki. Czy żołnierz spoczywa, czy zajęty jest czymś nie wojennym, co absorbuje jego siły i uwagę, musi być chroniony przed możliwym zawsze na-

padem przez oddziały, zdadne natychmiast do boju. Wojsko improwizujące się, które dopiero się organizuje, wymaga ochrony takiej, jaką powinno mieć w czasie snu. W chwili organizacji nie jest ono zdatnym do natychmiastowego boju i w takich chwilach o jego ochronie zapominać nie wolno. Niewątpliwie nie zapomnieliby o niej ludzie wojskowi, jakimi byli Padlewski, Langiewicz i Lewandowski; u wszystkich tych dowódców musiałaby ona wypłynąć, jako prosta i naturalna konieczność, gdyby oni świadomie przystąpili do formowania związków armii. Zapomnienie o ochronie, chociażby z poświęceniem oddziałów ubezpieczających, i to u wszystkich wodzów, świadczy o nieświadomości u nich myśli formowania armii, do czego zostali oni popchnięci jedynie przez instynktowne i przypadkowe szukanie większej siły bojowej.

Wszystkie te, analizowane przeze mnie a zapomniane wówczas, czynności mogłyby dostatecznie spełniać rolę ochrony organizujących się oddziałów, trzeba by tylko pomyśleć o stałej komunikacji pomiędzy poszczególnymi ich częściami, o stałej wymianie rozkazów i raportów, aby ludzie, zajęci organizacją, byli powiadomieni o tem, co się dzieje dookoła nich.

I jeżeli zastanawiam się, gdzie jest właściwe źródło błędu ze strony powstania, skąd pochodzi, że ludzie, skądinąd dzielni, rozsądni i niechybnie znający się na wojnie, zapominali nieraz o tych elementarnych, podstawowych wiadomościach wojennych, to muszę stwierdzić, że jedynym źródłem jest najzupełniejsze niewzycie się w te warunki, w jakich powstanie znajdzie się po wybuchu, najzupełniejsze nieprzedstawienie sobie, czem będzie powstanie po 22 stycznia, najzupełniejsze niezdawanie sobie sprawy z tych warunków, w których wojna będzie toczona. Ta wielka łatwość, z jaką wówczas przechodzono od zera do armii, z jaką przeskakiwano przez ogrom przeszkód, stojących na drodze do wytworzenia armii, oto jest błąd zasadniczy ówczesnego pokolenia i jego przewódców.

Bo że tak lekko przez te trudności przeskakiwano, świadczy najwymowniej łatwość, z jaką rozwiązywano kwestię naczelnego dowództwa za pomocą dyktatury. Mamy już w samym początku wyznaczoną z góry dyktaturę Mierosławskiego, który z Paryża ma dopiero przyjechać; prawdopodobnie przypuszczano, że, zebrawszy wielką armię, będzie mógł sprawować dyktaturę rzeczywistą, a nie operetkową. Mamy potem znów tę łatwość w przyjęciu dyktatury przez Langiewicza; druga dyktatura, gdzie dyktator panuje nad kilkoma morgami lasu, gdzie co najwyżej przenosi się on z jednego lasu do drugiego i panuje na długość swoich kos. Ta dyktatura operetkowa, która tak łatwo w głowach ówczesnych ludzi powstawała, świadczy o tem, że warunki wojny całkiem inaczej sobie wyobrażano, że nie przewidywano tych ciężkich okoliczności, w jakich powstanie znalazło się zaraz po wybuchu.

Na tej kwestii, dość zasadniczej, dość poważnej dla zrozumienia wojny 1863 r., zatrzymam się jeszcze wtedy, gdy przejdziemy do ostatecznych wyników, kiedy postaram się zespolic wszystkie te myśli, jakie wywołują we mnie ówczesne działania. Wskazuję tu tylko na nie, jako na główne źródło tych błędów.

Przejdźmy jednak do faktów, ilustrujących wyżej omówione sprawy.

W dziesięć dni po wybuchu rozpoczyna się inicjatywa ze strony Rosjan. Ze wszystkich centrów wyrusza wojsko, na razie w celu zrobienia poszukiwań, sprawdzenia wiadomości. Są to właściwie oddziały wywiadowcze, które nawet były formowane jako takie. A więc są to oddziały o niewielkiej sile, nieodpowiadającej stanowi garnizonów, jakie istnieją w tym czy innym miejscu; są to oddziały, liczące najwyżej parę kompanij, pół szwadronu jazdy, niekiedy jedną lub dwie armaty.

Niektóre z tych oddziałów spotykają przeciwnika w stanie takiej słabości, że z nim te niewielkie siły mierzyć się mogą, ale nie tylko mierzyć, lecz nawet go zwyciężyć. Oto pierwsze wrażenie, jakie wróg otrzymuje o tej dość przesadnej sile powstania, o której

dotąd dochodziły do niego tylko pogłoski. Wszędzie te małe oddziały zmuszają powstańców do odwrotu, gdzie indziej nawet ich zwyciężają.

WYKŁAD ÓSMY

14 maja 1912 r.

Pierwszą czynnością bojową ze strony rosyjskiej, było – jak powiedziałem – wysłanie oddziałów wywiadowczych bardzo nielicznych. Oddział niewielki, liczący 2 do 3 kompanij piechoty, ½ szwadronu kawalerii, kilka armat – oto jakie siły wychodziły zrazu na spotkanie powstania. Wszystkie te pierwsze zetknięcia dały zwycięstwo Rosjanom; plac boju zostawał stale w ich ręku. Jedynie w obozie ojcowskim odniesiono sukces, lecz tam do starcia nawet nie doszło i Rosjanie cofnęli się z powrotem do Miechowa.

Ten zgoła niespodziewany skutek wywiadów nie mógł nie dać Rosjanom przekonania o ich własnej sile; z jednej strony musiał on wpłynąć demoralizująco na stan moralny powstania, z drugiej – podnieść stan moralny wojska moskiewskiego. Odtąd próba inicjatywy rosyjskiej, niedostatecznie odparta przez Polaków, pozostaje najzupełniej niepodzielnie w ręku Rosjan. Ostatnie resztki inicjatywy polskiej są to napady, wykonywane jeszcze przez niektórych dowódców. Te napady są wielką rzadkością, a dowodzą one, że u tych właśnie dowódców idea walki i nadzieja zwycięstwa nie wygasła, że oni moralnie poczuwali się do pewnej siły; to też z wielką przyjemnością je wymienię, tym bardziej, że historia dotychczas je lekceważyła. Taką właśnie akcją zaczepną polską były: Jeziorańskiego napad na Rawę, napad udany, w którym Rawa zostaje zdobyta; napad Kurowskiego na Miechów, choć nieudany, lecz świadczący o tym, że Kurowski miał w sobie rozpęd i chęć utrzymania inicjatywy w swym ręku. Tutaj zwrócę uwagę, że obaj oni w noc styczniową nie brali najzupełniej udziału, że ich duch pewności siebie nie przeżył próby ogniowej w noc styczniową. Tym większa zatem zasługa musi być tych, którzy, przeszedłszy próbę, mieli dość siły, by wojnę zaczepną prowadzić.

Do takich wyjątków należą Rogiński i Lewandowski. Po zebraniu wojska w Siemiatyczach Rogiński zdobywa Prużany, idzie dalej w głąb Litwy, zagraża Pińskowi i do końca istnienia swego oddziału na Litwie działa zaczepnie, jako świetny partyzant. Lewandowski, cofając się na Podlasie, również zachowuje się ofensywnie i wykonywa napad na szaniec przedmostowy pod Woskrzenicami, bijąc Rosjan i napędzając strachu dowódcy twierdzy brzeskiej, generałowi Stadenowi.

Pominąwszy jednak te cztery wypadki chęci utrzymania inicjatywy w swym ręku, już nie znajdujemy u Polaków siły ducha, zdolnego do postawienia na kartę zwycięstwa. Stale widzimy poddawanie się temu, co wróg przedsięwzięcie, uleganie jego inicjatywie.

Jak widzimy zatem, owe dziesięć dni, a dla niektórych więcej, ta cała ilość czasu okazała się zupełnie niedostateczną, by wytworzyć odpowiednie siły nie tylko dla zwyciężenia wroga, ale nawet często i dla jego odparcia. Czas ten nie wystarczył również, aby w sobie wytworzyć dosyć pewności siebie, by dalej prowadzić wojnę zaczepną. Już było w tym poczucie słabości, które nie pozwala na zaczepienie nieprzyjaciela; już był brak nadziei w zwycięstwo, który nie pozwala iść naprzód.

Okres tworzenia armii na Podlasiu, w Płockim i na południu pod Langiewiczem, to słabe próby, wyglądające w istocie tak, że nie dawały dowódcom prawa podejmowania inicjatywy. Bo jeżeli przyjrzymy się tym oddziałom pod różnymi względami, to niechybnie przyjdziemy do wniosku, że trzeba było nadzwyczajnej siły woli, by zdobyć się w tych warunkach na inicjatywę.

Największe skupienie było u Langiewicza, który w najwyższym okresie rozwoju liczył nie więcej nad 3.000 ludzi. Lewandowski na Podlasiu w chwili największego skupienia miał dwa tysiące kilkaset. Padlewskiego siły na północy nie dadzą się ściśle określić, gdyż trzymał się on innego systemu: nie skupiał armii w jednym miejscu, lecz organizował oddziały w różnych powiatach. Jednak, o ile przeliczymy całość sił Padlewskiego, to dojdziemy do cyfry trochę większej, niż 3.000. Jeżeli na całej przestrzeni reszty kraju siły polskie określimy na 3.000, to będzie bardzo dużo. Wobec tego ze strony powstania mamy maximum 15.000 ludzi. Jest to siła zbrojna, którą kraj mógł wystawić. Gdyby wiara w ruch zbrojny była większa, to niechybnie i ta siła byłaby znacznie liczebniejsza. Cyfra powyższa świadczy o bardzo niskim poziomie pewności siebie po stronie polskiej.

Jeżeli przejdziemy do uzbrojenia, to wyglądało ono jeszcze gorzej. Skutkiem braku przygotowań ze strony Centralnego Komitetu broń dopiero była w drodze z krajów dalekich. Brakło też amunicji. Wobec tego powstańcy w pierwszym okresie byli uzbrojeni bardzo lichy, przeważnie w kosy. Broń palna była bardzo marna, przeważnie myśliwska, i zaledwie do Langiewicza doszły pierwsze transporty sztucerów zagranicznych, nieustępujących broni rosyjskiej.

Temu stanowi uzbrojenia oraz stanowi liczebnemu odpowiadał również stan organizacyjny nadzwyczaj słaby, który z oddziałów nie wytworzył spoistego, jednolitego organizmu. Mówiłem już o intrygach wewnętrznych. Obok tego w samej organizacji zaufanie wzajemne było bardzo nikłe. Jeżeli weźmiemy pewne jej przejawy, to znajdziemy, np., fakt, że po bitwie grochowskiej oddział, z powodu braku spoistości, rozsypuje się. Każda praca wojenna w takich warunkach dezorganizowała.

Przejdźmy teraz do analizy liczby sił rosyjskich, wystawionych dla stłumienia powstania. Z liczb, jakimi rozporządzamy, można również wnioskować o względnie słabej potęgze strony polskiej. Najwięcej wojska wystawiono dla zwalczania Langiewicza. Brało ono udział w bitwie grochowskiej. Są to trzy bataliony, pięć szwadronów i sześć dział. Razem trzy tysiące kilkaset ludzi. W porównaniu do stanu liczebnego wojsk, stojących w Królestwie, mamy na południu największe ich skupienie, które absorbuje jedynie trzydziestą część całej armii. I ta znikoma część armii daje sobie radę z największym skupieniem powstańczym. Co prawda, bitwa grochowska skończyła się dla Rosjan niepomyślnie, gdyż mimo, że Polacy nie mieli armat, zostali oni, dzięki niedołężności wodzów swych, pobici. Ale jeżeli spojrzymy na to, co się dzieje po bitwie, to znajdziemy z jednej strony armię pobitą, która się skupia i gotuje do nowej akcji zaczepnej, z drugiej zaś strony armię zwycięską, która nazajutrz nie jest zdalna do boju. Nic zatem dziwnego, że nazajutrz pobici Rosjanie doprowadzają do ostatecznego rozproszenia cały zwycięski oddział powstańczy.

Wspomniane tu przeze mnie trzy główne skupienia polskie odpowiadają również poprzedniemu planowi. Większych skupień gdzie indziej, gdzie nie było przygotowań wojennych, i teraz w całym tym okresie nie posiadamy. Próba pewnego rodzaju, wobec przyjazdu Mierosławskiego, była uczyniona na północnym zachodzie Królestwa; wspominam o niej jedynie dlatego, że sam Mierosławski nie może być pominiętym w historii militarnej powstania, bo siła tego skupienia, jak i kilkudniowy okres pobytu Mierosławskiego na terenie Królestwa, nie zasługują najzupełniej na porównanie z tamtymi oddziałami. Jest to raczej jeden z epizodów, których dość było i na innych terenach; jeden z tych epizodów, które nie tylko nie powodują systemów w sytuacji na terenie okolicznym, ale w ogóle nie zostawiają na nim śladu widocznego.

W drugiej połowie marca wszystkie pierwsze przygotowania powstańcze zostają ostatecznie rozbite. Znika Langiewicz ze swoim oddziałem, ginie Lewandowski z oddziałem i giną siły Padlewskiego. Myśl tworzenia większych związków, która dotąd bezwied-

nie rodziła się u ludzi, a w której jeszcze tkwiła nadzieja zwycięstwa, myśl ta, w której widzimy jeszcze dalszy rozpęd pierwszego rzutu, zostaje od połowy marca złożona w archiwum. Myśli wojennej dalej w powstaniu nie ma; powstanie przeradza się w manifestację i demonstrację zbrojną, której dzieje są bardzo ciekawe, ale której właściwie wojną nazwać już nie można.

O losach tej demonstracji, o pewnych charakterystycznych jej cechach powiem w następnym wykładzie. Tutaj chcę wyjaśnić, że jeżeli zatrzymałem się tak długo na pierwszym okresie i dążyłem do przykucia uwagi do tych pierwszych prób, to zrobiłem to dlatego, że one jedynie są czymś w rodzaju wojny, one jedynie są nacechowane jakąś nadzieją zwycięstwa, one jedynie są rzeczywistym przeciwstawieniem się sile rządowej; wreszcie dlatego, że wszystkie złe strony, wszystkie wady i słabości w tym właśnie pierwszym okresie mają swój początek i w nim dają się jasno określić. Cała podstawa słabości powstańczej już nie ustąpi i sytuacja powstania nie poprawi się w przyszłości, mimo, że nadeszła większa ilość broni, pomimo, że w dalszych walkach ludzie nabierają doświadczenia, stają się istotnie żołnierzami. Już tej słabości, idącej z pierwszych błędów, powstanie z siebie nie zrzuci.

Dlatego też ten pierwszy okres jest właściwie dla powstania decydujący; można było w nim albo wywalczyć w sobie możliwość prowadzenia dalszej wojny, albo też zginąć. Niewątpliwie można było zdobyć podstawy dla dalszych działań wojennych. Z chwilą, gdy powstanie tego nie uczyniło, sprawa jego pod względem wojennym została przegrana.

To samo się dzieje i dzieć będzie z każdą rewolucją. Pierwsze początki jej są decydujące, albowiem podstawą rewolucji jest tylko wiara. Gdzie wiara jest poderwana, tam nie może być mowy o zwycięstwie. Wiara była w początkach powstania; mógł jej nie mieć Padlewski, kiedy szedł ginąć; mogli jej nie mieć poszczególni dowódcy, ale mieli ją wszyscy spiskowi, ona trwała, dając spiskowym możność prowadzenia wojny z nadzieją i myślą zwycięstwa. Z chwilą, kiedy wiara została podcięta, kiedy pierwszy krok wykazał słabość, kiedy wszystkie pierwsze próby dają przewagę nieprzyjacielowi, wyjątkowe tylko wypadki i siła moralna dać mogły podniesienie moralne rewolucji.

Jeżeli zatrzymałem się na tym pierwszym okresie tak długo, zrobiłem to najzupełniej rozmyślnie, gdyż tu była kuźnia tej myśli wojennej, która ma nadal trwać w Polsce. Tu ważyły się losy powstania.

Streszczając pierwszy okres, przypomnieć muszę, co się złożyło na ten nieszczęsny stan powstania, na owo poderwanie wiary i nadziei na zwycięstwo, z powodu wadliwych przygotowań i wadliwego prowadzenia sprawy w jej początkach.

Przede wszystkim więc znajdujemy powstanie militarnie nieprzygotowane. Widzimy dbanie bardzo usilne o rozwój ducha, moralu, nadzwyczaj zaś małą dbałość o to, co jest techniką. Mamy bardzo małe przygotowania pod względem przerabiania materiału ludzkiego, mamy bardzo niewielkie przygotowanie pod względem broni, mamy wreszcie plany, nieoparte na rzeczywistych warunkach. Skutkiem tego stanu z chwilą sprowokowania ruchu zbrojnego przez rząd, do czego każda rewolucja musi być przygotowana, mamy uderzenie polskie nader słabe, nader mało podrywające moralną siłę nieprzyjaciela, a raczej zostawiające ją prawie nietkniętą, mamy uderzenie, niedające wyników, któreby nazwać można było zwycięstwem. Wobec zaś tego, że ówczesi powstańcy wyobrażali sobie wojnę i warunki wojenne całkiem inaczej, niż okazały się one w rzeczywistości, mamy natychmiast po tym słabym uderzeniu powszechną dezorientację, mamy rozchwiane i zepsute nawet te początki organizacji wojennej, które zostały założone w okresie przygotowawczym.

Powstanie zastaje brak myśli kierowniczej nie tylko w Warszawie, jako głównym centrum kraju, lecz i w ośrodkach władzy prowincjonalnej; skutkiem tego myśl wojenna

idzie na łaskę losu, rozpryskuje się na tyle kierunków, ilu jest dowódców, przez co do szeregów polskich wkrada się dezorganizacja, która najbardziej osłabia już i tak najsłabszą stronę każdej armii ochotniczej, mianowicie jej spójność organizacyjną i pewność siebie, zaufanie do dowódców i odwrotnie.

Powstanie ówczesne nie wyobrażało sobie realnie tych warunków wojny rewolucyjnej, w których z konieczności znaleźć się musiało, nie obrachowało ono należycie niezmiennie doniosłego czynnika wojennego, jakim jest rozgospodarowanie się nieprzyjaciela w kraju, przez co nie wzięło w rachubę faktu, że nawet najbardziej powstańcze usposobienie ludności potrzebuje czasu, by wyjść ze stanu niewoli do stanu walki; dzięki tym błędom nie zostały ze strony powstania przygotowane wszelkie sposoby do wygrania możliwie wielkiej ilości czasu w pierwszym okresie. Skutkiem tego zaś, że powstanie po pierwszym uderzeniu miało zbyt mało czasu, wytwarzają się w początkowym okresie tak małe siły, że w walce z równie małymi siłami rosyjskimi uległy one rozdarciu; przez to wiara i nadzieja na możliwość odniesienia zwycięstwa swoimi własnymi siłami znikła, a tym samym rewolucja została w korzeniu swoim podwana.

Następuje więc drugi okres wojny, który właściwie wojną już nie był. Jest to wojna tylko pod względem technicznym, trudno jednak nazwać wojną działanie, które jedna ze stron prowadzi nie dla zwycięstwa. W tych warunkach, w jakich powstanie istniało, wojna przeradza się w manifestację zbrojną, idzie tu bowiem jedynie o wywarcie wrażenia, o cele postronne, – nie o samą wojnę, lecz o pewną politykę. Więc dla stronnictwa „białych” będzie to manifestacja zbrojna, robiona dlatego, by wywrzeć wrażenie na gabinetach zachodniej Europy, by wywołać w ten sposób interwencję zbrojną mocarstw. Jeżeli weźmiemy stronnictwo demokratyczne, tzw. czerwonych, to i w tym stronnictwie powstanie stało się manifestacją, robioną dla tłumów włościńskich, by przygotować je moralnie do walki zbrojnej, zbliżyć i doczekać się owoców tej przemiany w postaci powszechnego poruszenia ludowego.

Mamy więc wojnę, której celem jest trwanie i to trwanie możliwie bez strat. Oto do czego doprowadził system wojny, w którym inicjatywa najzupełniej spoczywa w rękach Rosjan, nigdy nie przechodzi do rąk polskich (jeżeli pominiemy parę zaledwie wypadków ruchu zaczepnego ze strony polskiej); w którym za zwycięstwo uważane będzie jedynie odparcie wroga i szczęśliwe wycofanie oddziału bez rozsyпки; w którym bitwy przybiorą charakter bojów ariergardy, kiedy z jednej strony będzie pościg, z drugiej ucieczka.

Oto jest ten nowy okres walki, jako zbrojnej manifestacji, walki, zrodzonej w niewieźle, której już zwycięstwo własne nie przyświeca.

O ile zastanowimy się nad taktyką i sposobem walki ze strony Rosjan, to przede wszystkim zwracają uwagę skargi i narzekania na bezwzględność prowadzonej wojny, na okrucieństwa wojenne, popełniane na ludziach bezbronnych. Jest to jednak system wojny, sposób wojowania, którym zawsze muszą się odznaczać wszelkie wojny domowe. Bezwzględność nieprzyjaciela, chęć szybkiego zakończenia wojny, sterylizowanie ludności – oto jest jego racjonalna taktyka. Z punktu widzenia wojennego nie wolno na to narzekać, gdyż zawsze tego spodziewać się należy. To jest sposób wojenny, którym każdy, czy to będzie Rosjanin, czy Anglik, wszędzie i zawsze będzie dusić rewolucję. Sentymentalizm, który gwałtuje o te rabunki, nie jest na miejscu, gdy rozważa się sprawy wojny. Jest to bowiem sposób, za pomocą którego oddziaływa się na stan moralny ludności. Każda rewolucja otoczona jest najrozmaitszymi przejawami moralnej siły, która stanowi właściwą jej podstawę. I czyż można wymagać od przeciwnika, by on na tę właśnie siłę nie zwrócił uwagi? Bezwzględność stanowi wojenny sposób, skuteczny dla zwalczania rewolucji, i brak jej mógłby zawsze być postawiony jako zarzut złego sposobu wojowania.

WYKŁAD DZIEWIĄTY

15 maja 1912 r.

W zeszłym wykładzie mówiłem o systemie bezwzględności wojennej, jaki był zastosowany przez Rosjan. Ze strony polskiej nie umiano przeciwstawić odpowiedniej bezwzględności. Polacy cofali się przed tą koniecznością wojenną i stąd nawet celowość tej metody musieli Rosjanie rozumieć. Wkrótce po pierwszych wypadkach niszczenia wiosek i miasteczek wyszedł rozkaz Rządu Narodowego, aby dowódcy starali się unikać wszelkich bojów przy miastach i wsiach. Z tego powodu dowódcy nieraz musieli przyjmować bitwy w miejscach nieodpowiednich, często musieli się wycofywać z zajętych już pozycji, pomimo, że te wsie i miasteczka dawały dogodniejsze pozycje dla silnej obrony. Ta bezwzględność Rosjan byłaby niechybnie słabsza, gdyby Polacy przedstawiali odpowiednio wielką siłę i gdyby swoim cofaniem się nie dawali świadectwa swej słabości. Na wojnie na bezwzględność jedynie odpowiadać można bezwzględnością. Strona wahająca się okaże się zawsze słabsza w działaniach.

Przy analizie taktyki wojennej Rosjan uderza, że przeważnie starali się oni skoncentrować ruch różnych kolumn wojska do pewnego punktu środkowego, w którym przypuszczano istnienie siły polskiej. Ruchy te przedsiębrano na podstawie porozumienia, które świadczy o tym, że komunikacje rosyjskie nie były odpowiednio zagrożone przez siły powstańcze, nie było odpowiedniego przeciwdziałania skombinowanym ruchom rosyjskim. System powyższy należy również do tych, jakie stosować można tylko przeciw słabszemu przeciwnikowi, albowiem każda kolumna z osobna jest słabszą od nieprzyjaciela; siłę znacznie większą dają dopiero wtedy, kiedy są zebrane razem. Wobec tego oddział, poczuwający się do pewnej siły, ma możliwość wyjścia z takiej pozycji za pomocą bicia poszczególnych kolumn. System ten był w swoim czasie zasadą działania Napoleona, który nim świat cały przeszedł. Lecz na to zdobyć się można jedynie w poczuciu siły. W poczuciu słabości, jak to bywało u Polaków, ratowano się wymknięciem się z tej sieci. Nie było to znowu tak trudnym i zwykle się udawało.

Ze strony rosyjskiej innego systemu chwycić się nie można było z tego względu, że ludność odmawiała pomocy w służbie wywiadowczej; wprost przeciwnie, nieraz naprowadzała na fałszywe tory oddziały rosyjskie lub odmawiała wyjaśnień. Stąd wojsko musiało chwycić się tych środków. W wojnie angielsko-burskiej np. mamy także kolumny, idące dośrodkowo ku pewnym centrom. Tak samo Burowie, jak w 1863 r. Polacy, względnie łatwo wyslizgiwali się z tych sieci nieprzyjacielskich.

Po tym pierwszym okresie, którego analizie poświęciłem więcej czasu, następuje to, czego, jakby się zdawało, powstanie oczekiwało. Następuje wzrost sił, wzmocnienie stanu ilościowego jakością materiału żołnierskiego, następuje jakby zwiększenie potęgi, którą przedstawia powstanie. Jeszcze zatem trzy tygodnie przetrwania okresu bez rozbicia tych wszystkich usiłowań i próba tworzenia armii dałaby niechybnie wzrost potęgi jej związków w porównaniu z tym, co się stało w początkach marca; tu właśnie widzimy, jak ważną była kwestia czasu, o której poprzednio mówiłem.

Co prawda, przybytek sił nie idzie z tej strony, z której spodziewali się go kierownicy. Zwiększenie to powstaje wskutek przystąpienia do rewolucji stronnictwa umiarkowanego, które, dzięki nadziejom na interwencję mocarstw, schodzi z chwiejnego stanowiska, stając otwarcie po stronie rewolucji. Dzięki temu, iż była to warstwa majątniejsza i inteligentna, wzrasta potęga rządu cywilnego, który swoją siecią obejmuje cały kraj, który wszędzie ma swoich przedstawicieli, umiających nakazać sobie posłuszeństwo, który wreszcie staje się tym rządem, którego ani złapać, ani uchwycić nie można.

Z drugiej strony pomoc przychodzi z Galicji i Poznańskiego, gdzie nadzieje polityczne na interwencję są jeszcze żywsze i gdzie łatwiejszym jest przygotowanie się do walki, niż na terenie Królestwa. Stąd nadchodzi pomoc w ludziach i broni. Odtąd oddziały powstańcze są znacznie lepiej uzbrojone, niż w pierwszym okresie. Już teraz nie będziemy widzieli ogromnej przewagi ludzi nieuzbrojonych, uzbrojenie większości powstańców dorównywa jakością nieprzyjacielowi. Oddziały zaczynają liczyć do połowy uzbrojonych w sztucery i karabiny. W ustawicznej akcji wytwarza się prawdziwe rzemiosło żołnierskie; ludzie zyskują doświadczenie. Wreszcie zaczyna się dopływ sił fachowych, oficerów armij rosyjskiej, austriackiej i pruskiej; nadto dość znaczny jest przypływ emigracji z zagranicy. Mamy więc warunki, w których powstanie znacznie lepiej czuć się mogło i przedstawiało znacznie większą potęgę.

Lecz powstanie, jak skorupka w młodości nasiąkła, przeniknięte dezorganizacją, kiedy w samych początkach wiara i nadzieja zostały w nim poderwane, nie zdołało się już z konsekwencyj pierwszych swych kroków wyzwolić. Przede wszystkim ogromny brak kierownictwa wojennego pozostaje w całej sile, a nawet jeszcze bardziej daje się odczuć. Warszawa i ośrodki wojewódzkie tego kierownictwa w ręce swoje nie biorą. Istnieje, co prawda, Wydział Wojny, lecz zajmuje się on bardziej załatwianiem spraw bieżących administracyjnych, nominacjami, dostarczaniem broni, amunicji, mundurów etc.; Wydział ten zajmuje się całą kancelarią wojenną, a nie kierownictwem wojny w ścisłym jego znaczeniu.

Kierownictwo to próbują wziąć w swe ręce poszczególni wojewodowie. Jedni chcą zebrać całe siły zbrojne województwa w jednym miejscu, jak np. w Sandomierskim czy Lubelskim. Nie doprowadza to do niczego. Zebranie w jednym miejscu większej siły ściąga natychmiast uwagę wroga, który zmusza zebrane już oddziały do ponownego rozproszenia.

Z drugiej strony nawyczki do anarchii, uważanie oddziału za własność dowódcy, biorą górę, wytwarzając tarcia tak silne, że oddziały, raz zebrane, rozpryskiwały się na tyle części, ile ich było poprzednio.

Wojewoda mazowiecki, pułkownik Callier, organizując swoje województwo, sam na czele oddziału konnego przebiegał województwo, biorąc władzę nad poszczególnymi partiami na pewien czas i wkrótce rzucając je, aby iść gdzie indziej, a jednocześnie osłaniając w ten sposób rozdrobnione swoje siły ruchomymi oddziałami jazdy.

Lecz teraz wszystkie wysiłki pryskają dlatego, że wróg ma inicjatywę i każdy plan rozbija swoim działaniem, któremu przeciwstawić się strona polska nie jest w stanie. Widzimy zatem, jak myśl wojenna zostaje znowu bez kierownictwa, jak wyrabia się w kilkudziesięciu głowach dowódców, pozostawionych samym sobie. I oto myśl ta, jak mówiłem poprzednio, w ogólnym zarysie brzmi: trwać. Jedni będą mówili o przyszłej interwencji zbrojnej mocarstw, inni będą oczekiwać powszechnego powstania ludu. W owym trwaniu system wojny jest narzucony przez tych, którzy mają inicjatywę, którzy są, że tak powiem, na rękę, mając pierwsze wyjście, – przez Rosję. Do tego systemu walki przystosowują się w różny sposób Polacy. A wobec tego, że każdy oddział czuje się słabym, przeważnie jest to system marszów, system uciekinierstwa, który nuży wojsko, doprowadzając do tego, że każdy oddział w marszach traci od dezercji więcej, niżby stracił w najokrutniejszej walce. Oddziały po miesiącu takiego działania zostają zniszczone nie bojem, lecz nadmiernym trudem.

Mistrzem w tym wypadku niedoścignionym był stary Czachowski, który wytrzymał w najcięższych warunkach w województwie sandomierskim. Stanowił on ze swoim oddziałem długo jedyną siłę na przestrzeni dwóch województw i na tej przestrzeni odgry-

wał rolę wilka, pędzonego przez lasy i knieje. Był to bowiem jedyny może wódz, który walczył naprawdę ze znajomością terenu¹.

Rzadko więc będziemy w tym okresie spotykali boje, przyjęte z premedytacją, z postanowieniem zwycięstwa, boje przygotowane. Wszystkie one noszą cechę przypadkowości, bezmyślności. Nad wszystkim króluje nie siła, lecz ślepy traf. Rzadkie są walki, przyjęte z rozmysłem, i te doprowadzają zawsze do najdłuższych, najkrwawszych starć, które przynoszą zaszczyt młodemu wojsku. Takim np. jest bój pod Ignacem, przyjęty po długich marszach przez gen. Taczanowskiego. Był to jeden z bojów najkrwawszych w 1863 r. Drugim jest dwukrotny bój, stoczony przez gen. Jeziorańskiego pod Kobylanką, gdzie, dzięki dobrze wybranej pozycji i umiejętnemu zastosowaniu fortyfikacji, dwa razy odparto Rosjan, przy czym raz wzięto nawet ich artylerię. Trzecim jest bój, toczony pod wodzą Józefa Trąpczyńskiego w Płockim dwa dni przez małą garstkę 200 ludzi przeciw 1500 z czterema armatami, którymi przez dwa dni bombardują stanowiska powstańcze, by potem odejść ze wstydem. Te boje, przyjęte z postanowieniem walczenia, również pozwoliły wprowadzić system fortyfikacji.

Jeżeli rzadkimi były wypadki przyjęcia boju z rozmysłem, to jeszcze rzadszą była decyzja walki zaczepnej, rzucanie się do walki agresywnej. Na tę siłę, na tę odwagę wobec poczucia własnej słabości zdobywali się bardzo nieliczni. Tym przyjemniej mi tutaj oddać cześć ich imieniu. Do takich należeli Ignacy Mystkowski w województwie płockim, który śmiało rzucał się na najsilniejszego wroga, i Zygmunt Chmieliński w województwie sandomierskim, który z zasady szedł naprzód wstępnym bojem; do takich należał i Kruk-Heydenreich, który stoczył słynny bój pod Żyżynem, odnosząc najpełniejsze zwycięstwo w ciągu powstania, zwycięstwo zupełne, zadające oddziałowi rosyjskiemu absolutną klęskę. Inni próbowali niekiedy zaczepnych bojów, napadając na poczty, na magazyny, na patrole, nie prowadząc wszakże bojów w większym stylu.

Najrzadszymi jednak były te walki, które mogłyby dać największe powodzenie, walki, połączone z manewrem oddziałów, złączonych ze sobą jedną myślą, według jednego planu. Do tego poziomu wojny powstańcy z powodu dezorganizacji nie dorosli zupełnie. Nie było komu nakazać tych skomplikowanych manewrów, nie było autorytetu, któryby zmusił oddziały do tego. W każdej chwili wypowiedano posłuszeństwo. Był to zbiór oddziałów, nie mających ufności do siebie. A jednak te rzadkie wypadki koordynacji dawały zawsze piękne rezultaty. Takim np. działaniem są działania wspólne Younga i Ludwika Oborskiego, którzy wspólną akcją, wspólnym manewrem nie tylko rozbili, lecz wyrzucili za granicę państwa dość silny oddział rosyjski. Działo się to na polach Nowej Wsi. Lecz już nazajutrz po tym zwycięstwie oddziały te się rozpryskują z powodu niechęci poddania się pod ogólne kierownictwo, gdyż wodzowie pogodzić się nie byli w stanie. Tak samo bitwa drądzewska została wygrana przez Trąpczyńskiego nie jego własnymi siłami, lecz dlatego, że nadeszły na tyły przeciwnika inne oddziały powstańcze.

Jeżeli przebiegniemy historię powstania, to z wyjątkiem tych dwóch bitew oraz pewnych prób bezskutecznych, podejmowanych przez Heydenreicha i Czachowskiego, nie znajdziemy innych tego rodzaju wypadków. Można stąd wnosić, jak daleko sięgała dezorganizacja i jak mocno utrwalił się brak kierownictwa w powstaniu.

Jeżeli idzie o cyfry, to dają one siłę oddziałów już znacznie mniejszych, niż w pierwszym okresie. Zbiorowiska większego zaczątków armii już nie znajdziemy. Siły nawet zlanych oddziałów rzadko dojdą do 2.000, najczęściej są mniejsze niż 1.000.

Uzbrojenie jest znacznie wyższym. Sztucerami i karabinami, zdobytymi na powstańcach, zbrojono w broń palną kozaków. Jeżeli broni nie było pod dostatkiem, to jednak jej

¹ O działaniach jego por. studium Stanisława Długosza „Czachowski”, Poznań 1914.

nie brakowało w ten sposób, jak w pierwszym okresie. Jeżeli było czego brak, to tylko amunicji i to było nieszczęściem tego okresu. Trudność dostarczenia dostatecznej ilości amunicji, zabezpieczenia składów, trudność obciążania się taborami zaciążyła bardzo na losach powstania w tym okresie. To też bardzo często spotykamy się z faktem, że oddziały, mając nawet dobrą broń, stawały się bezbronne, zostawały właściwie z pałąk w rękę.

A teraz cyfry ogólne: obliczam, że w sierpniu, kiedy siła liczebna powstania stała najwyższą, wynosiła ona 30.000. Na to Rosjanie, zwiększając cyfrę wojska, wystawili mniej więcej 180.000. Mamy więc w porównaniu z niewielką armią polską sześciokrotną przewagę dobrze uzbrojonego wojska, któremu nigdy nic nie brak. I jeżeli się zapytamy, skąd pochodzi to zjawisko, że z tak znikomą siłą ta wielka armia tak długo rady sobie dać nie mogła, to jedynym wytłumaczeniem jest niesłychana moc, jaką wytworzyło powstanie w swojej organizacji cywilnej. Bez osłony, bez opieki tej organizacji, która, jak czuła matka, otaczała każdy oddział ciągłą troską, która poświęcała swoje siły na to, by nad nim czuwać, gdy oddział spoczywa, by mu dostarczyć wiadomości, jedzenia itp., bez tej pomocy powstanie by nie wytrzymało dwóch miesięcy. Tylko ta sprężystość rządu niewidzialnego, nie dającego się pochwycić, mającego tak ogromną powagę moralną wśród wszystkich ¹, ratowała trudną sytuację powstania. Tylko dzięki tej organizacji mogło ono trwać tak długo.

W końcu 1863 r. przychodzi do władzy centralnej – niestety, zbyt późno – człowiek, który swoją potęgą woli, swoją umiejętnością rządzenia potrafił utrzymać powstanie i to przez najtrudniejsze, bo zimowe miesiące. Był to jedyny w powstaniu dyktator faktyczny, który na swoich barkach zdołał je jeszcze przeciągnąć ku wiosnie. Był nim gen. Romuald Traugutt ². O jego ostatnich próbach reformy wojennej powiem w następnym wykładzie.

WYKŁAD DZIESIĄTY

17 maja 1912 r.

Już z chwilą nastania zimy 1863 r. warunki klimatyczne zmuszały do zmniejszenia rozpędu wojennego, tym więcej, że rozpęd ten stanowczo coraz bardziej z natury swej malał. W październiku przybywa do Warszawy Traugutt, który wziął władzę w swe ręce i swoją nadzwyczajną energią zdołał podtrzymać powstanie aż do wiosny 1864 r. Jego rządy była to jedyna dyktatura realna. On jeden faktycznie panował, stojąc na czele rządu cywilnego w Polsce. Był to zarazem po Padlewskim pierwszy wojskowy, który stał na czele rządu, – wojskowy, który doświadczenie swe zyskał w kilku wojnach, jakie Rosja od 1849 r. wiodła ³. Nic dziwnego, że musiał on zwrócić uwagę na dezorganizację, jaka się wkradła do całego kierownictwa wojny. To też zaraz po objęciu rządów próbuje reformować stan rzeczy, wprowadzając ład i porządek, z drugiej strony próbuje nadać pewne ogólne kierownictwo wojnie.

¹ Temu, zgoła wyjątkowemu autorytetowi Rządu Narodowego wśród ogółu ludności, poświęcił Marszałek Piłsudski jeden z piękniejszych swych odczytów publicznych, wygłoszony 20 stycznia 1924 r. w Warszawie, który następnie wydany został p. t. „Rok 1863”, Warszawa 1924. (Patrz t. VI).

² Romuald Traugutt (1826–1864), naczelnik Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym. Najwybitniejsza postać powstania, stracony na stokach warszawskiej cytadeli 5. VIII. 1864 r.

³ O tym por. Stefana Pomarańskiego „Wojskowa służba Traugutta” w zbiorowej księdze dla uczczenia 25-letniej działalności naukowej prof. Marcelego Handelsmana. Warszawa 1929.

W kwestii organizacji stara się on zbudować istniejące oddziały na podstawach armii regularnej. Więc dzieli oddziały na bataliony, szwadrony etc., które oddaje pod komendę oficerom, dzieli całość na korpusy, których tworzy cztery i w ten sposób stara się nadać wojnie trwałą hierarchię, któraby uniemożliwiała oddziaływanie zgubnych czynników dezorganizacji.

Jego próba ożywienia ruchu polegała na tym, że surowo w imieniu Rządu zabraniał rozpuszczać oddziały, zabraniał tzw. uciekinierstwa za granicę, które weszło w krew i życie powstania. Specjalnym dekretem Rządu skazywał na infamię i wyrzucenie oficerów, którzyby tym prawom poddać się nie chcieli.

Wreszcie wprowadził sanację w galicyjskich i poznańskich oddziałach. Oddziały te organizowały się szalenie długo i zostawały stale nad granicą. Skutkiem zbyt długiego okresu organizacji oddziałów samo organizowanie rozkonspirowywało je, tajemnica przechodziła przez kordony, dzięki czemu wojsko rosyjskie mogło być stale w pogotowiu. Traugutt zabronił formowania oddziałów w Galicji i Poznańskim, natomiast nakazał ochotników bezzwłocznie wyprawiać do oddziałów, już konsystujących w Królestwie.

Ta próba utworzenia armii na podstawach już zorganizowanych przyszła stanowczo za późno, kiedy mowy już nie było o tym, aby powstanie mogło odżyć do tego poziomu, jaki niedawno w lecie lub na wiosnę posiadało. Siła moralna narodu została w wielkim stopniu podwana i nadzieja, optymizm rewolucyjny już zdążył się zmienić w skrajny pesymizm. Dlatego też zaczęło brakować ludzi na wszelkich posterunkach. Rząd cywilny zaczynał odczuwać coraz większe luki, które wciąż wzrastały. Rząd Narodowy zmuszony był brać siły podrzędniejsze, mniej wprawne, aby jako tako na powierzchni się utrzymywać. Jednak niezłomna wola Traugutta nie dawała upaść powstaniu. Ostatnie jego zarządzenia dotyczyły pospolitego ruszenia. Opracowana przezeń instrukcja o powszechnym ruszeniu ludowym odznaczała się bezwzględnością rewolucyjną. Zdecydował się brać rekruta bez względu na to, czy on chciał, czy nie chciał.

Powtarzam, że ta siła woli Traugutta, jego energia i wiedza fachowa nie dały tych rezultatów, jakieby dały w początkach rewolucji. Powstanie chyliło się już nieodwrotnie ku upadkowi. Znikła siła moralna i cała siła materialna rewolucji zawisa najzupełniej w powietrzu. Widzimy postępujący szybko upadek rządu cywilnego i upadek zaczątków wojny polskiej, jaką toczono w 1863 r. W ten sposób powoli gaśnie i sama demonstracja zbrojna. Jednak dzięki pewnej tężyznie żołnierskiej, dzięki temu, że walki 1863 r. przeżyli najsilniejsi, najtężsi, najbardziej do sprawy przywiązani, dzięki temu nawet w ostatnich chwilach powstania są boje tęgie, boje silne. Kampania zimowa gen. Bosaka-Haukego przy czynnym udziale pułkownika Chmielińskiego należy do najlepszych w tej wojnie. Daje ona bitwy, które odznaczają się większą wartością militarną, niż poprzednie boje powstania. Jeszcze w lutym 1864 r. jeden z oddziałów Haukego szturmem bierze Opatów; wojsko rosyjskie ponosi duże ofiary, aby ponownie odzyskać to miasto, przy czym zażarta bitwa trwa kilkanaście godzin. Jednak z chwilą upadku bazy rewolucyjnej, jaką była siła moralna, nie ma żadnej nadziei na odżycie powstania z wiosną 1864 r.

Ostatecznym ciosem było aresztowanie 11 kwietnia Traugutta, przez co ostatni Rząd Narodowy zostaje zdeorganizowany. Powstanie w ten sposób upadło.

Jeżeli chciałbym streścić główny błąd myśli wojennej powstania, to powiedziałbym, że błędem tym jest niezdanie sobie sprawy z roli spisku w rewolucji. Mówiłem już o podziale ludzi na zorganizowanych i niezorganizowanych, o tym, że zorganizowanym jest tylko właściwy spisek. W powstaniu 1863 r. mieliśmy zorganizowanych dwadzieścia parę tysięcy, wobec czterech i pół miliona ludności niezorganizowanej. Tym czasem siła ruchu rewolucyjnego nie odpowiada najzupełniej tej nielicznej garstce zorganizowanych ludzi. I oto powstaje iluzja, że istniejąca siła moralna jest znacznie większa od siły, reprezentowa-

nej przez zorganizowanych, że ta siła moralna, rozsiana w otoczeniu, daje się zużytkować materialnie dla celów wojny; że daje się zorganizować jakimś cudownym sposobem dla celów walki, jakby to była już gotowa materialnie siła.

Tę iluzję, ten mylny rachunek bardzo często spotykamy u rewolucjonistów. Rok 1863 pod tym względem nie jest wyjątkiem. Jednak rok ten również dowodzi, że dla celów wojny nie można liczyć na siłę moralną, jako na konkretną wartość materialną. Dla celów wojny należy liczyć na to, co się ma w ręku i odpowiednio do tej siły planować swoje ruchy. Stąd wynikało tak jaskrawe przeliczenie się powstańców co do swoich sił, tak jaskrawa nieumiejętność zdania sobie sprawy z tego, w jakim położeniu znajdzie się powstanie nazajutrz po wybuchu; stąd wynika niechęć do szczegółowego rozplanowania swoich zamierzeń. Jest to poczucie, że się rośnie; czy warto planować coś z tym, co się ma w ręku dziś, kiedy to, co będzie jutro, będzie znacznie większe?

Dlatego też siła zorganizowana, czyli spisek, nie dał tego rezultatu, jaki dać był powinien. Dać zaś powinien był kilka koniecznych elementów: rozplanowanie wybuchu rewolucji, który mógłby być niespodzianką zarówno dla wrogów, jak dla przyjaciół, i w ten sposób dać wygraną w czasie dla przejścia niezorganizowanych ludzi od stanu w sensie wojennym biernego do stanu czynnego. Wreszcie musiał dać ramy, chociażby nieliczne, lecz gęsto w kraju rozsypane, dlatego, by niezorganizowany element miał oparcie dla organizacji.

Bez tego powstanie wybuchło, jak proch rozsypany, nie jak proch nabity; wybuchło bez celu, jak ten proch, eksplodujący w nieokreślonej sile w tym czy innym miejscu, zależnie od przypadkowego rozsypania.

To jest zasadniczy błąd rewolucji, który przyczynił się w wielkim stopniu do tak słabego rozwoju wojennego powstania.

Jeżelibyście państwo zwrócili do mnie pytanie, czy przy wszelkich poprawkach powstanie byłoby zwycięskim, to, sumiennie powiedziawszy, nie mógłbym na pytanie takie odpowiedzieć twierdząco, bowiem warunki polityczne nie upoważniały do optymistycznych pod tym względem przypuszczeń.

Główna podstawa demokratów – rewolucja rosyjska – zupełnie zawiodła; główna podstawa umiarkowanych – interwencja Zachodu – zawiodła również. Siły zaś polskie były tak dysproporcjonalne do rosyjskich, że trudno było nimi doprowadzić do zwycięstwa.

Jeżeli jednak szło mi o tę krytyczną ocenę wypadków i sytuacji wojennych, to dlatego, że, jak przypuszczam, przy lepszym prowadzeniu wojny, niż w 1863 r., powstanie umarłoby z innymi tradycjami, niż te, jakie synom zostawiło; umarłoby nie tak prawie bezpotomnie, jak skończyło.

Wreszcie pozwólcie na dygresję. Cały czas w swoich wykładach trzymałem wszystko, co jest uczuciem, na uwięzi. Starałem się możliwie obiektywnie przedstawić błędy; starałem się usunąć na bok wszelką sympatię dla tych, którzy walczyli. Lecz w każdym wypadku, gdy z ust moich padało słowo krytyki, stale się obawiałem, że mogę być zaliczony do rzędu tych, którzy tak haniebnie krytykowali to powstanie, a którym poświęciłem słów kilka na wstępie, którzy r. 1863 z pamięci, z serc chcieliby wymazać, a nad całym tym okresem wyręć słowo: zbrodnia.

Wyznaję otwarcie, że rola moja była bardzo trudna. Pocieszałem się tym, iż panowie zechcecie zrozumieć moją intencję, że zechcecie zrozumieć, jak szczerze pragnę zbudować most między teraźniejszym pokoleniem a pokoleniem 1863 r. I sądzę, że gdybym miał przed sobą ludzi z tamtych czasów, to powiedzieliby mi tak, jak ja to sobie nieraz sam mówię: „Zginęliśmy niedarmo i nauka dla was ze śmierci naszej płynąć może”.



BRONISŁAW DESKUR (*rys. E. Rydza-Śmigłego*)



ZYGMUNT PADLEWSKI (rys. E. Rydza-Smigłego)



MARIAN LANGIEWICZ (rys. E. Rydza-Śmigłego)



Rogiński rozstawia wedety (rys. E. Rydza-Smigłego)

